

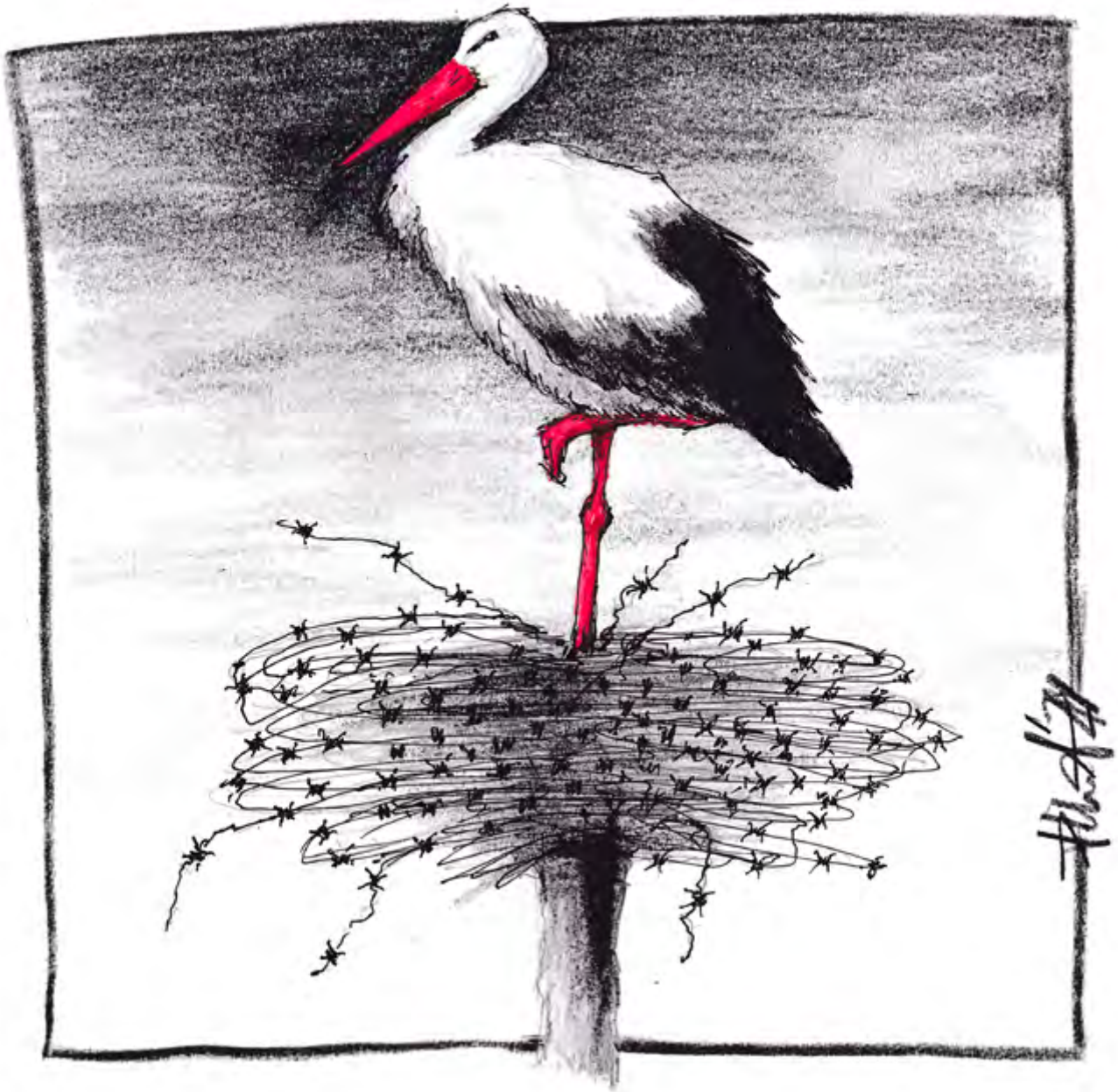
MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Cena 7 zł (w tym 5% VAT)

KRAKÓW

www.miesiecznik.krakow.pl

Nr 11 (203) Listopad 2021



Janusz Majcherek: Nieradosne świętowanie

Jak walczyć z nacjonalizmem?

Adam Daniel Rotfeld o zagrożeniach naszego czasu

Marcin Wicha o Kazimierzu Malewiczu



9 771733 045101 10

ISSN 1733-0459 Indeks 388726

Drodzy Przyjaciele i Prenumerotorzy, Szanowni Czytelnicy miesięcznika „Kraków”!

Od blisko czterech lat, odkąd miałem honor zostać redaktorem naczelnym „Krakowa”, szczególny nacisk kładę na kontakt z Państwem, naszymi Czytelnikami. Wierzę, że dostrzegacie nasze starania i jednocześnie przepraszam za wpadki, które nam się zdarzają.

Piszę dziś do Państwa w sprawie podwyżki ceny pisma i pewnych zmian w jego dystrybucji.

Następny numer naszego pisma, który ukaże się 15 grudnia, będzie nosił datę „grudzień 2021/styczeń 2022” i będzie półtora raza większy (aż 144 strony dobrej lektury!), a w sprzedaży detalicznej będzie kosztował tylko 10 złotych - czyli właściwie tyle, ile dziś (7 złotych za 96 stron).

Niestety, jednak już pierwszy numer przyszłoroczny (ukaże się 30 stycznia z datą „luty 2022”) - oraz kolejne - choć standardowej objętości, też będą kosztować 10 złotych za egzemplarz. Natomiast numery podwójne (lipiec/sierpień oraz grudzień 2022/styczeń 2023) będą kosztować po 15 złotych.

W związku z tym musimy również podnieść cenę prenumeraty zamawianej bezpośrednio w redakcji.

I tak, w prenumeracie krajowej dziesięć numerów (w tym dwa podwójne), które ukażą się w przyszłym roku, kosztować będzie 100 złotych. Zakup pisma w prenumeracie i tak jest tańszy niż w kioskach czy sieci EM-PiK (gdzie trzeba będzie zapłacić 110 złotych). Wysyłka pozostaje darmowa!

Prenumerata zagraniczna natomiast (zarówno do Europy, jak do Stanów Zjednoczonych i Kanady) kosztować musi teraz

200 zł. W tym przypadku do ceny pisma dochodzą bowiem koszty pocztowe (przesyłki priorytetowej).

Mamy też gorącą prośbę do naszych Przyjaciół z Klubu Miesięcznika - zarówno osób fizycznych, jak firm - by od dziś zechcieli wspierać nas rocznie kwotą 200 złotych.

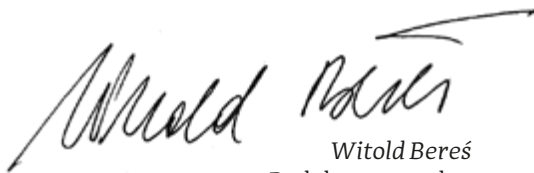
Oczywiście będziemy wielce wdzięczni tym spośród Przyjaciół, którzy zechcą utrzymać roczną wpłatę w wysokości tysiąca złotych - w zamian nadal dostawać będą od nas pamiętki, książki i zaproszenia na ważne imprezy organizowane przez „Kraków” bądź objęte patronatem miesięcznika.

Serdecznie zapraszam też innych naszych Przyjaciół, dotychczas niezrzeszonych w naszym klubie, o wstąpienie doń i wsparcie nas.

Powód tych zmian jest niestety prozaiczny - drożyzna postępuje również na rynku wydawniczym.

Mam nadzieję, że pomimo tych kłopotów nie tylko zostaniecie z nami, ale i będziecie utrzymywać aktywny kontakt z „Krakowem”.

Z góry dziękuję za życzliwość i zrozumienie.



Witold Bereś
Redaktor naczelny

PS Szczegółowe informacje dotyczące prenumeraty można znaleźć na stronie 91 „Krakowa”, zaś zasady działania Klubu Przyjaciół - na stronie 95.



Wojciech Kossak, *Piłsudski na Kasztance*, 1928 rok, 108,5 x 92,5 cm, Muzeum Narodowe w Warszawie / Wikimedia (domena publiczna)

Data 11 listopada jest jedną z najgorszych, jakie można wybrać na święto narodowe. Dotychczasowa formuła jego celebracji dodatkowo skutecznie zniechęcała do uczestnictwa. Zdominowanie jej kilka lat temu przez środowiska nacjonalistyczno-kibolskie bodaj definitywnie zraziło i odstręczyło pozostałych obywateli.

Czytaj esej Janusza Majcherka na następnej stronie.

Nieradosne świętowanie

Tekst: Janusz A. Majcherek

11 listopada to data znana i celebrowana w całej Europie, a także w Stanach Zjednoczonych, Australii i wielu państwach brytyjskiej Wspólnoty Narodów jako rocznica zakończenia I wojny światowej. Na obchodzenie jej w Polsce jako partykularnego święta niepodległości za granicą nikt więc nie zwraca (ściślej: nie zwracał do niedawna) uwagi. Można było, przynajmniej, wybrać gorzej, ustanawiając polskie święto narodowe w Boże Narodzenie lub sylwestra – chyba nawet sami Polacy by go nie zauważyli.

A przecież to data wskazana całkiem arbitralnie, bo nie bardzo wiadomo, co miałyby upamiętniać. Owszem, koniec I wojny światowej oznaczał zapoczątkowanie nowego – chwiejnego i tymczasowego, jak się okazało – ładu politycznego w Europie, opartego na formule państwa narodowego. Ale jego pojawienie się było wiadome i antycypowane znacznie wcześniej, dlatego proklamacje niepodległości własnych państw narodowych,

Krypty, groby, wieńce to nie są elementy zachęcające do radosnego świętowania. Niestety, dość typowe jednak dla polskiej celebry patriotycznej, martyrologicznej, męczeńskiej, żałobnej w tonie i formie.

na gruzach przedwojennych imperiów cesarskich, następowały w wielu miejscach znacznie szybciej niż w Polsce. Litwini czynili to 16 lutego 1918 roku, Estończycy 24 lutego, Czesi i Słowacy 28 października (na podstawie porozumienia o wspólnym państwie, zawartego w maju), a Finowie dokonali tego już w grudniu roku 1917.

Gdyby więc traktować 11 listopada 1918 jako proklamację polskiej niepodległości, to można odnieść wrażenie, że Polakom bynajmniej do niej nie było tak spieszo, jak o tym piszą w podręcznikach.

Przyjazd Piłsudskiego do Warszawy z internowania w Magdeburgu bywa przedstawiany jako to newralgiczne wydarzenie, symbolicznie upamiętniane 11 listopada. Po pierwsze jednak, ten powrót z Magdeburga nastąpił dzień wcześniej. Po drugie, nie miał żadnego istotnego znaczenia i tak też został potraktowany przez ówczesnych Polaków, którzy na dworzec po prostu nie przyszli, poza garstką najbliższych współpracowników Piłsudskiego. Powielana przez lata fotografia, rzekomo ukazująca ten moment, została zidentyfikowana jako wykonana w 1916 roku, podczas zupełnie innej podróży Piłsudskiego. 10 listopada roku 1918 prawdopodobnie na dworcu warszawskim wśród witających Piłsudskiego nie było żadnego fotografa i tylko jeden dziennikarz – to też świadczyłoby o potraktowaniu przez ówczesne media tego wydarzenia, a raczej epizodu.

Święto Niepodległości w listopadzie, w jesiennych szarugach, nie sprzyja masowemu udziałowi obywateli w publicznych uroczystościach. Ale przez lata skutecznie zniechęcał do nich przede wszystkim program: złożenie kwiatów w kryptach wawelskich, zwłaszcza na grobie Marszałka, msza za ojczyznę, apel poległych i złożenie wieńców przy Grobie Nieznanego Żołnierza... Krypty, groby, wieńce to nie są elementy zachęcające do radosnego świętowania. Niestety, dość typowe jednak dla polskiej celebry patriotycznej, martyrologicznej, męczeńskiej, żałobnej w tonie i formie.

Jan Jakub Rousseau napisał ponad 250 lat temu (w 1758 roku) rozprawkę zatytułowaną *List o widowiskach*, w której wskazywał na konsolidującą dla obywatelskiej wspólnoty rolę organizowanych i przeprowadzanych w publicznej przestrzeni capstrzyków, festynów, zabaw i innych radosnych czy wręcz rozrywkowych spektakli o patriotycznej, ale i ludycznej wymowie i formie. Polska tradycja cmentarno-grobowych i żałobnych uroczystości, nawet w rocznice radosnych wydarzeń, jest dokładnym zaprzeczeniem tych zaleceń jednego z klasyków europejskiej i światowej myśli polityczno-społecznej. A ciekawostką niech będzie, że jego *List o widowiskach* jest często wydawany wraz z *Uwagami o rządzie polskim*, które spisał na prośbę światłych reformatorów doby stanisławowskiej.

Lecz Święto Niepodległości w szczególnie dotkliwy sposób zostało zdezawuowane i – trzeba to tak ująć – skompromitowane przez dominujący od kilku lat udział nacjonalistów, kiboli, neofaszystów kroczących w Marszu Niepodległości. To w wyniku ich nachalnej, agresywnej aktywności obchody tego święta trafiły do zagranicznych mediów i serwisów informacyjnych oraz zwróciły uwagę międzynarodowej opinii publicznej. Ukazały obraz Polski jako kraju rasistów, ksenofobów, szowinistów, homofobów.

Niepodległość to w dzisiejszym świecie pojęcie nacechowane dwuznacznością, podobnie jak suwerenność. Talibowie po podbiciu Afganistanu obwieścili przywrócenie niepodległości, bo obce wojska opuściły kraj, niepodległe są Korea Północna czy Kuba, nie mówiąc o Chinach i ich suwerennej władzy nad Hongkongiem, a w Rosji ogłoszono doktrynę suwerennej demokracji, czyli rodzimego zamordyzmu. Wiele niepodległych i suwerennych państw to paskudne reżimy. Do tego rodzaju niepodległości i suwerenności odwołują się też obecnie rządzący Polską, mając na myśli jej uniezależnienie i odizolowanie od instytucji i jurysdykcji Unii Europejskiej, aby móc samowolnie zaprowadzić i sprawować autorytarną władzę w kraju.

Znakomity historyk Henryk Wereszycki proponował odróżniać posiadanie własnego państwa, niepodległość i wolność. Szkoci nie mają własnego, niepodległego państwa, ale korzystają z pełni wolności, podobnie jak

Niepodległość to w dzisiejszym świecie pojęcie nacechowane dwuznacznością, podobnie jak suwerenność. Wiele niepodległych i suwerennych państw to paskudne reżimy.

Katalończycy czy Flamandowie. Chińczycy zaś czy Rosjanie mają własne i niepodległe państwa, ale wolności niewiele. Polacy po I wojnie światowej uzyskali własne i niepodległe państwo, z wolnością bywało różnie (a w Galicji chyba gorzej niż za cysorza), podobnie jak na ówczesnej Litwie, a inaczej niż u Ukraińców, po II wojnie Polacy własne państwo zachowali, przeciwnie niż Litwini, ale bez niepodległości i z niewielką dozą wolności. Jak jest z wolnością obecnie we własnej i niepodległej Polsce, każdy może ocenić.

Znakomity historyk Henryk Wereszycki proponował odróżniać posiadanie własnego państwa, niepodległość i wolność.

O wiele wartościowsza od niepodległości jest natomiast idea praworządności, czyli konstytucjonalizmu. Tym samym jako bardziej odpowiedni do świętowania jest 3 maja – rocznica konstytucji XVIII-wiecznej, ale też okazja do przypominania istoty konstytucjonalizmu.

No i przypada w dni wiosenne, nastrajające o wiele radośniej niż listopadowe szarugi.



Janusz A. Majcherek jest profesorem w Instytucie Filozofii i Socjologii Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie.

TEMAT MIESIĄCA:

Nieradosne świętowanie

Janusz A. Majcherek **S. 1**
*Niepodległość to w dzisiejszym świecie
 pojęcie nacechowane dwuznacznością,
 podobnie jak suwerenność. Wiele
 niepodległych i suwerennych
 państw to paskudne reżimy.*

Listopad 1918 – świętowanie nieoczywiste
 Krzysztof Jakubowski **S. 50**



ŁUDZIE, MIEJSCA, WYDARZENIA

Pogrzeb Jacka Malczewskiego
 Krzysztof Jakubowski **S. 10**

Nigdy więcej? Jak walczyć z nacjonalizmem
 Sylwia Anna Pyzik **S. 12**

Świat rozmagnetyzowany
 Prof. Adam Daniel Rotfeld/Witold Bereś i Krzysztof
 Burnetko **S. 20**

Godność z Bodnarem
 Magda Huzarska-Szumiec **S. 28**

Mowa podczas wręczenia Medalu
 „Za mądrość obywatelską” Adam Bodnar **S. 31**

Kraków zubożał – zmarł Jerzy Huczkowski
 Janina Górka-Czarnecka **S. 55**

Kronika kulturalna
 Krakowski łącznik **S. 87, 89**

Kraków (Główny)
 Linia A-B **S. 90**

„KRAKÓW” MÓWI
S. 91

Wrażliwość. Rozmowa przyjaciół
 Jarosław Mikołajewski i Paweł Smoleński **S. 35**

Malewicz się wymyka
 Marcin Wicha/Magda Huzarska-Szumiec **S. 40**

REKOMENDACJE
S. 40

Romanowski: Historia odtruta
 Krzysztof Burnetko **S. 33**

Szpiedzy, bolszewicy i... bieda
 Konrad Trojański **S. 59**

Stanisławski. Gigant teatru
 Anna Stafiej **S. 60**

OBYWATELE KRAKOWA
S. 60

Suszek Books Sylwia Pyzik **S. 48**

PORTRETY 2021
S. 48

Lityński i Wujec **S. 27**

HISTORIA

Hobby ziemianina – Piotr Michałowski
 Ewa Danowska **S. 57**

Prasa sprzed stu lat Krzysztof Jakubowski **S. 62**

FILM
S. 62

Czas złotej analogii Maria Malatyńska **S. 74**

Aida Łukasz Maciejewski **S. 78**

TEATR
S. 78

Bardzo stary sweter Paweł Głowacki **S. 67**

KSIĄŻKI
S. 67

Dante Alighieri Boska komedia
 przeł. Jarosław Mikołajewski **S. 70**

Nasza biblioteka **S. 84**

Moja Krakowska Książka Miesiąca
 Janusz M. Paluch **S. 88**

GALERIA „KRAKOWA”
S. 88

Marta Antoniak Magda Huzarska-Szumiec **S. 46**

FELIETON
S. 46

NA CZERWONYM ŚWIETLE Ewa Lipska **S. 5**

OKIEM BERESIA Witold Bereś **S. 6**

Z NAJWYŻSZEJ PÓŁKI Krzysztof Burnetko **S. 9**

SMOCZE JAJO Mieczysław Czuma **S. 81**

WARSZAWSKI AFISZ KULTURALNY **S. 82**

DZIENNIKI PANDEMICZNY Iga Dzieciuchowicz **S. 83**

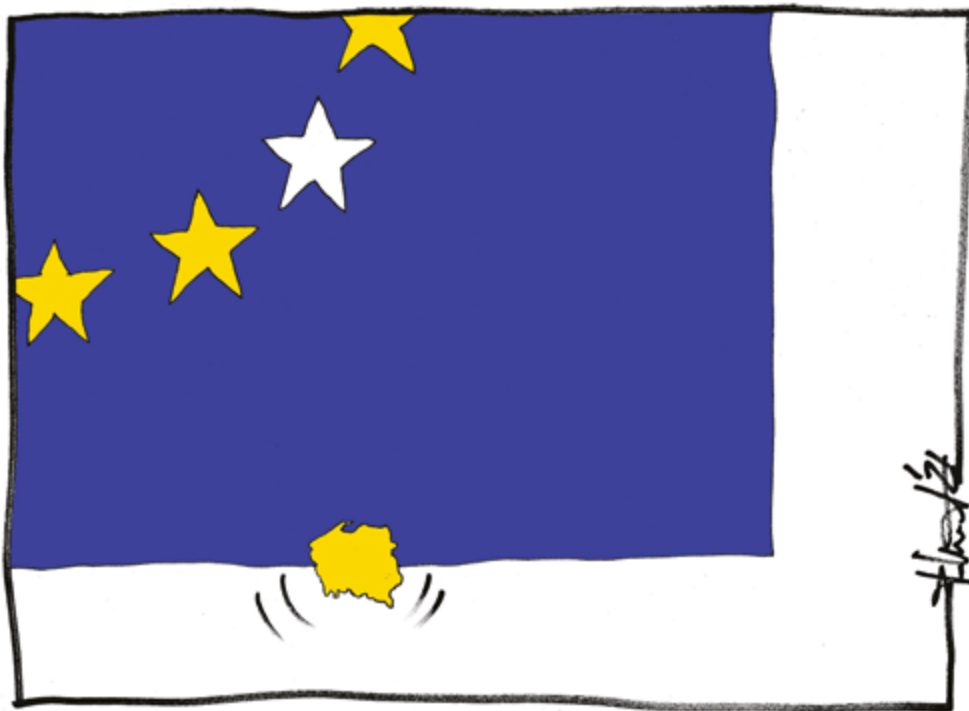
LUBIĘ LUBIĆ Agnieszka Kosińska **S. 96**

OKŁADKA
 Rys. Piotr Błachut

Z ostatnich wiadomości: „Nie pozwolimy na okupację brukselską”, woła wybitny polityk, a ludowe przysłowie dodaje: „Polska z Unii, Europie lżej”.



Ewa Lipska – poetka. Studiowała na ASP w Krakowie. Wieloletni redaktor Wydawnictwa Literackiego, w latach dziewięćdziesiątych wicedyrektor i dyrektor Instytutu Polskiego w Wiedniu. Członek Polskiej Akademii Umiejętności i PEN Clubu.



Rys. Piotr Błachut

Nieopłakane

Tekst: Witold Beres

Gdy wiatr za oknem i szelest liści, i mgła krakowska... jak nie myśleć o tym, co ostateczne?

Amnie ciekawi, jaką muzyką opisać ostatnie dwadzieścia miesięcy śmierci po polsku. To nie będzie monumentalne Mozartowskie *Requiem*, *Dies irae, dies illa*. To nie będzie też banalny w swej powadze Szopenowski *Marsz żałobny*. Ani *Danse Macabre* Camille'a Saint-Saënsa, który niby napisał walca, ale rozpoczął go upiornym intro na skrzypcach. Może to winien być polonez? Ale nie ten Ogińskiego, niby dostojny, a jednak radosny. Ten Ogińskiego może panował przed marcem roku 2020. Bo od 12 marca tamtego roku, kiedy w poznańskim szpitalu zmarła 57-letnia kobieta, pierwsza ofiara koronawirusa w Polsce, śmierć *alla polonaise* opisuje jakieś ponure muzyczne tworzywo od Cage'a pochodzące: „szuru buru, psst, on już odszedł, ona też”, dreptający prapolonez, tworzywo powracające lodowatą falą, podmywające stopy, które coraz bardziej się zapadają w piasek i uniemożliwiają nam ruch.

Bo od tej pierwszej ofiary covidu śmierć w Polsce przestała być opłakiwana.

Jest jej za dużo. A też za mało.

*

Mało kto sobie zdaje sprawę, że te 598 dni od tamtego marca 2020 do 1 listopada 2021 roku, kiedy powinniśmy nareszcie móc pochylić się nad grobami ludzi bliskich i dalszych, że ten czas zmienił nie tylko nas, ale przeorał Polskę. A luka, która powstała, jest wielkości uskoku w Rowie Mariańskim. Najbardziej, i zrozumiecie to wkrótce, bolesny będzie ubytek w kulturze...

Oto na przykład jeden tylko sierpień roku 2020: odchodzi człowiek, którego nie mam w swym elektronicznym kalendarzu, rozmawiałem z nim raz tylko, ale był cały czas ze mną. „Żal nic tu nie pomoże, łyż twoje i mój płacz”. Piotr Szczepanik (lat 78). W tym samym sierpniu umiera Ewa Demarczyk (lat 79). Też nie mam jej komórki w swej komórce, ale jaki impuls dała kulturze, naszym sercom – każdy wie. Albo wraz z nimi Styks przekracza wtedy, nie, nie pisarz, nie piosenkarz... lecz ktoś dla Polski ważniejszy: Henryk Wujec, Heniek (lat 80). Chodzące dobro, mąż Ludki, ojciec Pawła, a dla mnie i Krzyśka Burnetki wzór prawości. Tak jak i Maria Janion (lat 94), wielka, posągowa prof. Janion, której przedstawiła mnie niezwykła Kazia Szczuka, a której myślenie o kulturze, sztuce, równości i płci zmieniło mnie dogłębnie. Też w sierpniu, co za fatalny miesiąc tamtego roku, gaśnie Józefa Hannelowa. Pani Ziuta. Nieprzemijający, wieczny skarbiec mądrości, dobroci. Prawdziwe dziennikarstwo uczciwe, choć tak skrzywdzone przez byłych kolegów... I nagle jej nie ma.

*

A tuż u początków pandemii, jeszcze przed pierwszą ofiarą covidu, umiera wielki Krzysztof Penderecki. I Ludwik Stomma, profesor, niezwykły i dowcipny. Kiedyś pisywał w „Tygodniku Powszechnym”, później w „Polityce”. A potem, 18 marca, „Brunner, ty świnió”, zostawiłeś nas... Dawniej śmierć Emila Karewicza (97 lat) byłaby przyczynkiem wielkich marszy płaczących nad stratą kultury polskiej. A teraz? Zniknął wśród tego lasu zgonów nieprze-cierpianych.

W marcu umierają też Stefan Papp (lat 88). Niedługo też w „Tygodniku”. I prof. Bogdan Ney (lat 86), wybitny specjalista geodezji, kartografii, tato wspinał się Danusi Ney-Smolarskiej i teść Krzyśka Smolarskiego, moich przyjaciół wielkich.

Nie zdążyliśmy i ich opłakać, bo zaraz przyszła pandemia.

A w kwietniu, gdy już pandemia trwała na całego, nadeszła tragiczna śmierć Witka – Wiktora Batera (lat 54). Witii, mojego przyjaciela, uczciwego dziennikarza, wielkiego specjalisty od Rosji. I niewolnika swoich demonów, demonów, które zniszczyły go tak, jak zniszczyły innego mojego wielkiego przyjaciela Jurka Pilcha (lat 69). Ten wielki, wspaniały pisarz, przyjaciel, odszedł w maju i wtedy zrozumiałem, że mój świat będzie już inny...

Jesienią 2020 nie było lepiej. Z Wojtkiem Pszoniakiem (lat 78) planowałem zrobić spektakl teatralny według tekstu Mikołaja Lizuta. Z Darkiem Gnatowskim, Panem Boczkim (lat 61), kolejnym wielkim kolegą, pijaliśmy niedługo wódkę po nocach, planując wielkie spektakle. Zrobiliśmy w końcu tylko jeden czy dwa filmiki, ale wdzięczny jestem losowi, że choćby i tyle. I co? Mam usunąć teraz i jego komórkę?

No i listopad, kiedy odchodzi profesor Marcin Król. Nasz guru, mistrz, przyjaciel przyjaciół. Człowiek, który potrafił postawić i poukładać wszystko.

Czy zdążyliśmy ich wszystkich opłakać?

Nie.

*

A kończący się rok 2021, kto wie, czy nie jeden z najgorszych, jakie pamiętam? Z tym, że to jest tak, jak to mój dziadek powiadał: jeśli myślisz, że ten rok jest najgorszy, pomyśl, jaki będzie następny. Bo, niestety, nic się nie kończy – nie tylko covid, nie tylko chory system zdrowotny, ale rakotwórcza władza.

W styczniu roku 2021 – Papcio Chmiel, Henryk Jerzy Chmielewski, rysownik, autor komiksów. I Maria Koterbska (lat 96), autorka hitów, które przejdą do historii muzyki pop w Polsce. I mało

znany Witek Kon. Człowiek, który był alfą i omegą niezależnego ruchu filmowego i naszym, może nie mentorem, ale kolegą dobrym. Jego też wymagamy z naszej książeczki telefonicznej?

Potem jest cieplej. Wiosna? Będzie lepiej? Nie, wtedy właśnie usuwam z komórki Alicję Helman. Wybitną teoretyczkę i historyczkę filmu, eseistkę. Moją panią profesor, u której pisałem pracę magisterską o ideologii w filmie i która była dla nas wszystkich wzorem mądrości. I nagle, chyba ból największy. Biegnie za swoim psem Janek Lityński. Idą nad Narwią z żoną na spacer. Psy, ich ukochane, wokół biegają i jeden z nich wpada do wody. A Janek? Jak to Janek. Nie patrzyna nic, skacze za psem. Jak napisała żona Janka: „W przerębli znaleźliśmy się razem, bo pobiegłam go ratować. My żyjemy. (...) Był w znakomitej formie, acz nie na tyle by się stamtąd wydostać” (<https://www.facebook.com/elzbieta.bogucka.56/posts/1110936862750793>).

Wspomnieć wszystkie wieczory z nim przegadane, to za mało, to za mało...

*

A pierwszego dnia wiosny roku 2021 odchodzi Adam Zagajewski (lat 76). Powiedzieć, że jego numer w swej komórce noszę z największą pieczołowitością, to nic nie powiedzieć. I te rozmów kilka czy kilkanaście, i tych kilkanaście spotkań. I te tomiki, i ten jego takt, jego dowcip, jego uśmiech. Dobrze napisał Wojtek Ornat: „Zostaliśmy nagrodzeni Twoją obecnością, Adamie. I teraz tylko ból został”.

W ogóle środowisko Austerii, które Wojtek tworzy z mozołem, ale ze wspianymi efektami, cierpi w pandemii szalenie. Oprócz Adama Z. odchodzi Adam Wodnicki. Lat ma 90, a odchodzi 9 czerwca 2020 roku. Że pisarz? Profesor sztuk plastycznych? Tłumacz literatury francuskiej? Artysta plastyk? To wszystko nie to. To, w pogłębiony sposób, wielce wrażliwy człowiek, eseista rangi światowej. Jego nieobecność jest jedną z największych strat kultury polskiej. Niestety, tej samej kultury, która go nie dość doceniła za jego życia.

I nie usiądzie też w Austerii Leopold Neuger (lat 73), wybitny historyk literatury polskiej i szwedzkiej.

*

W kwietniu 2021 odchodzi blisko stuletni Władysław Klimczak. Krakus co się zowie, założyciel Muzeum Historii Fotografii i twórca kultowej wystawy VENUS. I Stefan Bratkowski. Jeden z moich mistrzów. Moich i całej generacji dziennikarzy, którzy wchodzili w stan wojenny z doświadczeniem Bratkowskiego na plecach.

Ta wiosna to także ciąg moich wielkich osobistych strat. Stanisław Dziedzic (lat 67). Dyrektor Biblioteki Kraków, historyk literatury, publicysta, kulturoznawca. Odszedł 8 kwietnia. Był wydawcą miesięcznika i człowiekiem, który przy całej swojej niezwyklej erudycji był niezwykle taktowny. Uwielbiałem rozmowy z nim o jego – i moich – doświadczeniach. O Gołębniku. O profesorach. O Krakowie i sztuce.

2 maja 2021 roku odchodzi Sławek, Bronisław Cieślak, aktor znany z ról kiedyś wykpiwanych, a dziś oglądanych przeze mnie ze wzruszeniem.

I mój wielki ból osobisty, bo znałem Sławka i miałem książkę o nim pisać. Książkę, a przynajmniej artykuł, a przynajmniej wspomnienie. I nic nie zrobiłem.

I data, której nie zapomnę, 27 maja 2021 roku, kiedy w środę po południu dowiaduję się, że nie ma już wydawcy, twórcy wydawnictwa Wielka Literatura Pawła Szweda. Nawet teraz, gdy kreślę te słowa, jedyne, co jestem w stanie napisać, to – Przyjaciel. Wielką literą.

A coś dusi wtedy gardło. I wkrótce za nim odchodzi jego żona...

*

Chciałoby się powiedzieć, że wraz z odejściem Pawła kończy się pewien czas. Bo jego śmierć jest jedną z ostatnich w Wielkiej Fali. Ale przecież ludzie umierają nadal, kultura polska cierpi nadal.

Ot, choćby 28 września odchodzi Piotrek Bratkowski. Strata bolesna, porównywalna dla mnie osobiście do największych nieszczęść, które mogły mnie spotkać. I tajemniczo, niespodziewanie, Ania Szulc. Boże, ileż tygodni, miesięcy przegadanych z Anią przy kawie i papierosach...

*

Kiedy 1 listopada będę się pochylał nad tymi lampkami, zniczami, pochylę się też nad babcią Gienią. Wiem, nie słyszeliście o niej. Ręczę wam, że to jeszcze jedna z tych milionów Polek dobrych, które budują nas codziennie. To mama mojej I. Zgasła 27 marca 2020, gdy zaczynała się dopiero pandemia i my sami, szczerze mówiąc, ukrywaliśmy skalę zagrożeń i chorób przed mamą, bo była kobietą już mocno wiekową. Nigdy w życiu bym nie powiedział o niej bezosobowo „teściowa”. To była dla mnie mama. Druga mama po mojej mamie. Odchodziła z uśmiechem, bo też i serca sama dała dużo, to i dostała dużo serca od najbliższych. Od mojej I., która była przy niej, trzymała ją za rękę, gasnącą, do ostatniej chwili.

Ale to był wtedy marzec 2020 roku i ja akurat nie mogłem się dostać na cmentarz, bo przy grobie mogło stać tylko pięć osób. Później się dowiem, że niektórym to cmentarze specjalnie otwierali po to, żeby mogli pamiętać o tych, którzy odeszli. Nie zazdroszczę im tego prawa do bycia świnią, choć mnie akurat bolało to, że ja opłakać nie mogłem.

Więc jeżeli chciałbym pamiętać mamę-babcię Gienię, to wiem, że takich ludzi, cudownych, odeszło w ciągu minionych dwu lat może i kilkadziesiąt tysięcy. I wszyscy są godni zapamiętania. Ale nie tak, pobieżnie, nerwowo i szybko, jak to było w tym strasznym, czarnym czasie, który się kończy chyba.

Musimy ich opłakać.

Nauczmy się znowu opłakiwać.



Witold Bereś – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków”.

Problemem nie jest obecna władza – są nim sami Polacy

KRZYSZTOF BURNETKO
miesięcznik „Kraków”



Książka już dostępna na
www.austeria.pl

Patronat medialny

KRAKÓW

Polska, czyli statek głupców

Tekst: Krzysztof Burnetko

W Polsce roku 2021 i wśród Polaków, którzy ponoć wstali z kolan, wstyd jest żyć.

Doszło już do tego, że Polska i Polacy z orłami na mundurowych czapkach wysyłają na poniewierkę w głodzie, zimnie i nieznanym terenie tych, którzy widzieli w jej granicach szansę na ocalenie od wojny bądź nadzieję na lepszy los. Czasem są to dzieci – te z Michałowa stały się już symbolem. I czasem kończy się śmiercią – jak w przypadku 16-letniego chłopca z Iraku.

Doszło do tego, że Polskę – tę, która powinna pamiętać zasieki żelaznej kurtyny odgradzające wolny świat zachodniej Europy od zniewolonej Europy sowieckiej – otaczać zaczynają druty kolczaste i ostrzowe. Więcej, wódz partii rządzącej zapowiada wzniesienie „bardzo poważnej zapory, którą będzie bardzo trudno sforsować” – może więc betonowego muru jak ten berliński – na wschodniej granicy.

Co najgorsze, doszło do tego, że takie działania Polaki i rządzących nią Polaków akceptuje, a nawet pochwała, większość rodaków.

Doszło do tego, że Polska i jej polskie władze próbują cwaniacko – w typowo polskim właśnie stylu – grać z innymi państwami Europy. Władza – premier i inni jej funkcjonariusze, także ci ulokowani nielegalnie w organie zwanym wciąż przez niektórych Trybunałem Konstytucyjnym – w żywe oczy chcą zakpić z przyjętych umów: łamią prawo, a równocześnie domagają się doli ze wspólnych pieniędzy, bo – jak mawia choćby tata pełniącego urząd prezydenta – Polsce się należy.

Doszło do tego, że ulicami polskich miast pod osłoną policji maszerują tabuny nowych faszystów.

Witold Bereś swój ostatni esej (wydany nakładem krakowskiej Austerii) rozpoczyna od odwołania do znanego obrazu Hieronima Boscha *Statek głupców*. Przytoczmy tylko pierwsze zdania: „Mordy zachwycone same sobą. Pijane, oślizgłe, nabite szamą i wódą. A na mordach tych odbite ślady oszczędnego gospodarowania mózgową substancją szarą i niezbyt zacnego prowadzenia się: są oznaki chciwości, obżarstwa, łajdactwa, kurestwa, i chorób wszelakich, a wszetecznych”. Kończy zaś ów opis tak: „Stańcie, drodzy Polacy, przed wielkim lustrem. I zobaczycie »statek głupców«. Zobaczycie ludzi, którzy zachwyceni rzucanymi przez władzę ogryzkami i koralikami, zataczają się jak w czasach króla Sasa od lewej do prawej, czkając, defekując i kopulując – konsumując, konsumując, konsumując... Polskę, której jest obojętne, co się dzieje wokół, kto cierpi, i Polaków, którzy mają gęby pełne podłości. I, co najważniejsze, mają w głębokim poważaniu, co będzie z tą krainą za lat dwadzieścia-trzydzieści”.

Po czym dowodzi precyzyjnie, jakie, nie tylko polityczne, ale historyczne czy wręcz cywilizacyjne skutki dla Polski i Polaków będzie miało akceptowanie coraz bardziej szalonych poczynań obecnej władzy. Bądź wobec nich obojętność – czyli brak zdecydowanego sprzeciwu.

Bereś nadaje swojemu tekstowi znamienne – bo odwołujący się do głośnego swego czasu tekstu prof. Jana

Błońskiego o stosunku Polaków do zagłady Żydów – podtytuł *Biedni Polacy patrzą na Usnarz*. Otóż właśnie – nasz wspólny mistrz Marek Edelman, komendant powstania w getcie warszawskim, powtarzał: jak jesteście świadkami zła i nie reagujecie, to zawsze jesteście współwinni. I nie ma znaczenia, czy powodem jest obojętność, wygodnictwo czy zwykły strach. Bo w istocie obojętność oznacza, że staje się w jednym szeregu z bandytą, a nie z ofiarą. Inny nasz mistrz – co tu ważne: katolicki ksiądz Józef Tischner mówił w takich przypadkach o grzechu zaniechania.

Wzywa więc Bereś do działania. Oczywiście, krajowych – opozycyjnych, jak się deklarują – polityków oraz ludzi mediów. Pisze: „Przyznając zawsze rację głupocie (bo jest w większości, i nie trzeba sondaży by to udowodnić) narażamy się na fatalne praktyczne skutki dalekosiężne. Okaże się za chwilę bowiem, że bezwarunkowa zgoda na głupotę, przyniesie łajdactwienie moralne społeczeństwa i przemysłową hodowlę egoizmu i ksenofobii. A potem będziemy się dziwić, dlaczego autorytarnej władzy nie szkodzi ujawniane łajdactwa i dlaczego wygrywa w cuglach kolejne wybory, a jedyna alternatywa wobec niej jest jeszcze gorsza”. Apeluje w rozpaczliwym niemal tonie: „Co robić dzisiaj, tymczasem? Nie kalkulować. Być człowiekiem”.

Ale apeluje też – słusznie, choć pewnie wielu to oburzy – by z Polską PiS nie cackała się Europa. Dowodzi: „Jeśli Polska nie wypełni paktu zawartego przy wchodzeniu do Unii Europejskiej, nie przestanie łamać wymiaru sprawiedliwości, nie skończy z truciem środowiska naturalnego i nie zacznie przestrzegać praw człowieka i obywatela, to musi ponieść tego konsekwencje”.

Więc uderz, Europo, każdą pokojową bronią jaką masz: twardym słowem, politycznym bojkotem, wszelkimi karami finansowymi, a przede wszystkim – sankcjami gospodarczymi, sankcjami i jeszcze raz sankcjami.

To prawda, rząd się wyżywi sam, a my, obywatele będziemy cierpieć. Ale to tak jak z sankcjami gospodarczymi Reagana po wprowadzeniu stanu wojennego: bolały zwykłych ludzi, ale *per saldo* odwróciły się na ich korzyść, bo przyspieszyły upadek komunizmu”.

Acz prawdziwym problemem jest to, że kiedyś mawiało się o życiu godnym i solidarności, a dziś mówi się co najwyżej o życiu dobrym. Czyli o piwie i kiełbasie z grilla w gronie kumpli bądź rodzinie. Cały problem tkwi zatem w naszej polskiej mentalności. W tym, że na wierzch wyszła jej brudna twarz. I że tak wielu nie czuje już w tym obciachu.



Krzysztof Burnetko – niegdyś wieloletni dziennikarz „Tygodnika Powszechnego”, później tygodnika „Polityka” (z którym współpracuje do dziś), pasjonat nart i autor wielu książek, z których najmilej wspomina te o Marku Edelmanie.



Eksportacja trumny z domu przy ul. Anczyca 7, gdzie parter zajmował Jacek Malczewski, 1929 rok, NAC

Pogrzeb Jacka Malczewskiego

Tekst: Krzysztof Jakubowski

Jacek Malczewski pojawił się w Krakowie jesienią 1871 roku. Jako 17-latek kontynuował naukę w Gimnazjum św. Jacka przy ul. Siennej, lecz już wkrótce został przyjęty do Szkoły Sztuk Pięknych. Początkowo nie przerwał nauki w gimnazjum, zostając wolnym słuchaczem. Odmienił to dopiero list jednego z nauczycieli chłopca – Jana Matejki – do jego ojca: „Rysunki kreślone ręką syna Pańskiego Jacka zdają się wskazywać i obiecywać niepośledni talent malarski, którego rozwinięcia nie należy może zbyt długo przetrzymywać”... Później wszystko potoczyło się już właściwym trybem.

Nieoczekiwanie jednak, kilka lat później wywiązał się konflikt młodego studenta z tymże Matejką, który zabronił mu przyjęć zamówienia na kilka obrazów o tematyce religijnej. Spowodowało to wyjazd Malczewskiego do Paryża, gdzie doskonalił swój warsztat w École des Beaux-Arts.

Już jako rozpoznawalny artysta, po wielu peregrinacjach po Polsce i świecie – odwiedził między innymi Grecję z wyspą Rodos i Bliski Wschód – w 1886 roku Malczewski

znów pojawił się w Krakowie. Tu, na weselu córki prof. Edwarda Janczewskiego poznał 20-letnią Marię. Ojciec dziewczyny, Fortunat Gralewski prowadził aptekę Pod Żółtym Tygrysem u zbiegu ulic Szczepańskiej i Sławkowskiej. Dziś jest to jedyna apteka z historyczną przeszłością w obrębie Plant (rok założenia 1814!).

Ślub odbył się w kościele Mariackim w październiku 1887 roku. Rok później Malczewscy cieszyli się córką Julią, a w 1892 roku



Dom przy ul. Anczyca 7, 2021 rok, fot. Krzysztof Jakubowski

urodził się Rafał, który miał pójść w ślady ojca. Z czasem ujawniły się spore różnice w usposobieniu małżonków i przewrotny los nie omieszkał tego wykorzystać. Około roku 1900 Malczewski poznał Marię Bałową, żonę starosty i właściciela majątku Tuligłowy pod Lwowem.

Zauroczenie starszego o ćwierć wieku artysty rudowłosą pięknnością odcisnęło trwałe piętno na jego twórczości. To wtedy powstały najwspanialsze, przesycone symbolizmem dzieła, a skala jego artystycznej wyobraźni zdawała się być niezmierną. Odwzajemniająca uczucie, zafascynowana Bałowa wcielała się w Ellenai, chimery, harpie i inne piękności z niezliczonych płócien. To ona zerwała ten specyficzny związek jeszcze przed wybuchem Wielkiej Wojny.

Nieco wcześniej Malczewscy przeprowadzili się z podmiejskiej willi przy ul. Księcia Józefa 29 na ul. Krupniczą 8. Po wojnie artysta zamieszkał w Lusławicach w dworze przyjaciół jego córki (tym samym, który w 1975 roku odkupili Elżbieta i Krzysztof Penderecy). Jesienią 1926 roku Malczewski powrócił do Krakowa i wraz z żoną zamieszkał przy ul. Anczyca 7. Postępująca utrata wzroku sprawiła, że malował już niewiele.

Zmarł 8 października 1929. Fotografia, pochodząca z 12 października tegoż roku, przedstawia eksportację trumny ze zwłokami malarza z domu przy Anczyca. Ponad tłumem widać sylwetkę najbliższego przyjaciela Malczewskiego, reprezentującego zbliżony nurt twórczości Vlastimila Hofmanna. W bramce ogrodzenia stoi syn artysty Rafał, a w centrum kadru, na prawo od trumny Karol Hubert Rostworowski i prezydent miasta Karol Rolle. Z Salwatora kondukt udał się do kościoła Franciszkanów, stamtąd do Krypty Zasłużonych na Skałce.



Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.

Nigdy więcej? Jak walczyć z nacjonalizmem

Tekst: Sylwia Anna Pyzik Zdjęcia: archiwum Stowarzyszenia „NIGDY WIĘCEJ”

Łuków. 19 marca 2020 roku trzech nastolatków, uczniów jednej z miejscowych szkół podstawowych, zaatakowało pochodząca z Wietnamu 59-letnią mieszkankę miasta. Krzyczeli do niej, że „jest z Chin”, „ma koronawirusa”, „K..wo won!” oraz „Spierd..., k..wo, Chinko jeb.na”, obrzucili ją też kamieniami i śmieciami, spluwali w jej stronę, a jeden z nich ją popchnął. Gdy kobieta próbowała odejść, podążali za nią. Młodzi napastnicy byli w wieku od 10 do 14 lat (Wirus nienawiści: „Brunatna Księga” czasu epidemii).



Na festiwalu Woodstock 2019

M yślę, że w pewien sposób udało nam się uniknąć dużej skali ataków fizycznych tylko dlatego, że byliśmy pozamykani w domach. Ta niechęć i wrogość rozlała się jednak szeroko w internecie. To obserwujemy do dziś. Zjawisko początkowo odnoszące się do osób pochodzących z Azji szybko zaczęło dotyczyć wszelkich innych mniejszości: Żydów, Romów, osób LGBT, Afrykanów, Rosjan czy muzułmanów. Te grupy mniejszościowe zostały obwinione, oskarżone i utożsamione z chorobą – mówi dr Anna Tatar.

Stowarzyszenie „NIGDY WIĘCEJ” obchodzi właśnie 25-lecie działalności. To duży sukces, choć jak podkreślają jego członkowie,

sytuacja w kraju nie nastraja do radosnej celebracji, a listopad jest czasem wzmożonej pracy. – Raczej skłania nas to do tego, żeby angażować się mocniej w próby stawienia czoła tym wyzwaniom, które przez 25 lat nie zanikły, a wręcz przeciwnie, wydaje się, że dzisiaj są jeszcze bardziej aktualne niż wtedy, kiedy rozpoczynaliśmy działalność – podkreśla Rafał Pankowski, socjolog i politolog, profesor nadzwyczajny Collegium Civitas w Warszawie, zastępca redaktora naczelnego magazynu „Nigdy Więcej”.

Inicjatorem i dobrym duchem organizacji był Marcin Kornak. Choć los nie był dla niego łaskawy (jako piętnastolatek na skutek

wypadku stał się osobą niepełnosprawną ruchowo), był niezwykle zdeterminowany do pozytywnego działania społecznego. Jego wrażliwość objawiała się także w działalności artystycznej. – Kornak pisał część tekstów dla zespołu Schizma w początkowym okresie istnienia tej kapeli. To jest jedna z najważniejszych grup punkowo-hardcorowych w Polsce, które powstały po 89 roku. Taki zespół-fundament, którego w początkowej fazie z pewnością by nie było bez wrażliwości Marcina Kornaka – wspomina dziennikarz i pisarz Michał Olszewski. Artysta, poeta i autor tekstów do piosenek rockowych zmarł w 2014 roku. Od tej pory członkowie stowarzyszenia

czują się zobligowani, by kontynuować jego dzieło.

Księga, ale nie tylko

Kluczowym elementem działalności „NIGDY WIĘCEJ” jest prowadzenie „Brunatnej Księgi” stanowiącej dokumentację monitoringu przestępstw popełnionych przez neofaszystów i skrajną prawicę oraz incydentów na tle rasistowskim, ksenofobicznym i aktów dyskryminacji na terenie Polski. Księga prowadzona jest nieprzerwanie od 1996 roku. – To jest codzienna, benedyktyńska praca, polegająca na wyszukiwaniu i redagowaniu informacji o takich zdarzeniach.

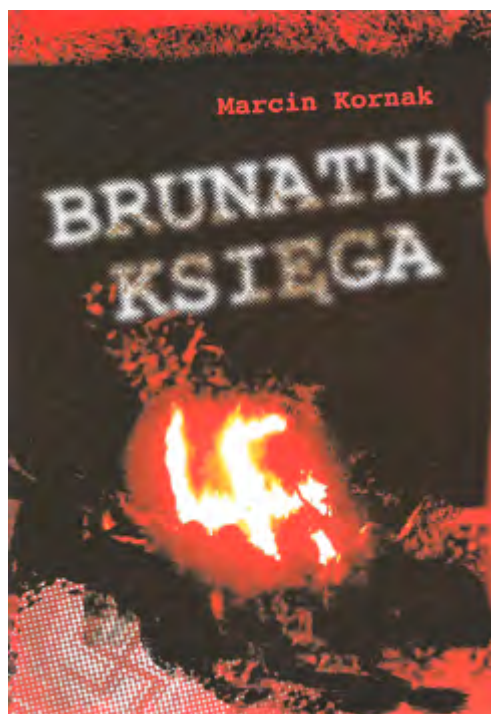
Skinheadzi atakują

CZECHOWICE-DZIEDZICE. 6 stycznia 1999 roku grupa około trzydziestu nazi-skinów napadła na grupę młodzieży wracającej z pogrzebu kolegi, 18-letniego punka, który zginął w niewyjaśnionych okolicznościach w wyniku obrażeń głowy. Doszło do walki z użyciem między innymi kamieni.

WAŁBRZYCH. 10 stycznia 1999 roku podczas koncertu Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy grupa około 20 nazi-kibiców Górnika Wałbrzych, znanych z manifestowania rasistowskich postaw, „zabawiała się”, wyciągając z tańczącego tłumu pojedyncze osoby, których wygląd im się nie spodobał, a następnie bijąc je dotkliwie. Obrażenia odniosło przynajmniej sześć osób.

LUBLIN. 27 stycznia 1999 roku, około 15.30 kilku nazi-skinów ciężko pobiło studenta wracającego po egzaminie do domu. Mężczyzna bity i kopany po głowie do nieprzytomności doznał ciężkich obrażeń. („Brunatna Księga” 1987–2009).

Lata 90. były specyficzną dekadą. Wtedy w Polsce licznie pojawili się skinheadzi tworzący rasistowską subkulturę. – Przemoc także pojawiła się na dużą skalę, ale to była przemoc niezauważana przez opinię publiczną, polityków i duże media – podkreśla prof. Rafał Pankowski, zwracając uwagę na kontrast z sytuacją w Niemczech, gdzie opinia publiczna była wrażliwa na zjawiska tego typu i szeroko je komentowała. – Chcieliśmy przełamać złą milczenie wokół tego problemu – mówi. Michał Olszewski po latach zauważa odwagę, jaką leżała u podstaw tych działań. – „NIGDY WIĘCEJ” zostało założone przez ludzi niesłychanie odważnych. Szli na konflikt z niebezpiecznymi ludźmi – w tamtym czasie koncerty muzyki niezależnej były regularnie rozbijane przez bojówki skinheadów. Wdali się w ryzykowną grę i wydaje mi się, że Marcin Kornak był tego świadomy. To zresztą było widać na części koncertów, które były



opatrzone logiem „Muzyka przeciwko rasizmowi” – mówi. Sytuacja jest dziś zgoła inna. Dzięki łatwości w komunikowaniu treści o charakterze rasistowskim czy ksenofobicznym za pośrednictwem internetu liczba takich aktów jest niepoliczalna. – Dziś mamy mnóstwo przykładów mowy nienawiści, w tym wypowiedzi osób odpowiedzialnych za kształtowanie debaty publicznej, czyli polityków, a także celebrytów, sportowców, muzyków. Na kartach „Brunatnej Księgi” opisujemy też ataki słowne na ulicy, ksenofobiczne demonstracje czy nienawistne symbole eksponowane na stadionach – podkreśla dr Anna Tatar. Twórcy „Brunatnej Księgi” w czasie ćwierćwiecza udokumentowali tysiące zdarzeń dyskryminacyjnych.

O ile do 2015 roku docierały do nas informacje przeważnie o około 30 incydentach miesięcznie, o tyle od czasu kryzysu humanitarnego i wyimaginowanego wówczas problemu uchodźców mamy zalew zarówno mowy nienawiści, jak i zwielokrotnienie liczby napaści fizycznych na osoby należące do mniejszości, które były utożsamiane z uchodźcami. Ze skutkami nienawiści z 2015 i 2016 roku zmagamy się do dziś – podkreśla dr Anna Tatar, współredaktorka monitoringu „Brunatna Księga”.

Stowarzyszenie zajmuje się także szeroko rozumianą edukacją nieformalną, stąd między innymi akcja pod hasłem „Wykop rasizm ze stadionów”. Działania te poparł

jeden z najwybitniejszych graczy w historii piłki nożnej, były szef UEFA Michel Platini, który stwierdził: „Współpraca PZPN i Stowarzyszenia „NIGDY WIĘCEJ” – polskiego reprezentanta sieci Futbol Przeciwko Rasizmowi w Europie (FARE) – stanowi przykład modelowego współdziałania”. Z kolei kampania „Muzyka przeciwko rasizmowi” promuje tolerancję wśród słuchaczy niemal wszystkich gatunków muzycznych. W ramach tej akcji stowarzyszenie wydaje płyty, organizuje koncerty, a także zachęca samych artystów, by umieszczali logo kampanii na swoich krążkach. Od 1994 roku wydawany jest także magazyn „Nigdy Więcej”, który jest jednym z niewielu periodyków w całości

Winył też jest przeciwko!



Na dwupłytowym albumie znajdziecie utwory różnorodnych wykonawców. Swoje piosenki przekazały brytyjskie zespoły znane z zaangażowania w sprawy społeczne: Chumbawamba i Zion Train, a także artyści polscy tacy jak Lech Janerka, Kuba Sienkiewicz, Robert Brylewski (pod szyldem Falarek), Tymon Tymański (pod szyldem Kury), grupy Alians i Sweet Noise, a nawet ówczesna gwiazda polskiego hip-hopu Liroy (rapujący antyfaszystowski tekst Bertolta Brechta). Zespół Trebunie-Tutki, założony przez muzykującą od pokoleń rodzinę, połączył folklor góralski z jamajskim reggae w utworze zainspirowanym twórczością Boba Marleya.

Tak to w lipcu 2021 rok po raz pierwszy na płycie winylowej ukazał się album „Jedna Rasa – Ludzka Rasa. Muzyka Przeciwko Rasizmowi, część 2”.

Pomysłodawcą kompilacji był Marcin Kornak, założyciel Stowarzyszenia „NIGDY WIĘCEJ”, działacz społeczny i poeta, zmarły

w 2014 roku. Jak podkreślają jego przyjaciele, „to Jemu dedykowany jest ten wznowiony na winylu album”.

Materiał wydany był poprzednio w 1998 roku na CD i kasecie nakładem QQRQYQ Productions jako druga pozycja z cyklu „Muzyka Przeciwko Rasizmowi”. Przeszedł do historii jako wyraz sprzeciwu wobec nietolerancji i przemocy.

Album zawiera ponadto specjalną piosenkę „Wykopmy Rasizm ze Stadionów”, nagrałą pod szyldem WRS Band przez muzyków wielkopolskich formacji punkrockowych: Robotnika i Ulicznego Opryszka. Słowa napisał Marcin Kornak. Stały się one manifestem zainicjowanej przez niego już w 1996 roku kampanii społecznej „Wykopmy Rasizm ze Stadionów”: „Miejsce na faszyzm jest w śmietniku, wykopmy rasizm ze stadionów, odbierzmy futbol z rąk bandytów”.

Marcin Kornak w odezwie zamieszczonej na okładce płyty przestrzegał: „Rasizmowi najbardziej sprzyja ignorancja i głupota. Jest to ten typ ideologii, który zawsze prowadzi do zbrodni, ponieważ jego głównym składnikiem jest nienawiść wobec odmienności. A przecież ludzie, choć w swej naturze są tacy sami, to jednak różnią się kulturą, religią, przekonaniem, kolorem włosów, oczu, skóry... I to wspaniałe, bo dzięki temu świat i życie są takie ciekawe”.

Płytę wydano we współpracy z firmą Jimmy Jazz Records ze Szczecina specjalizującą się w promocji muzyki alternatywnej. Wydawnictwo ma charakter pamiętkowy i nie jest przeznaczone do sprzedaży komercyjnej.

Osoby zainteresowane wsparciem Stowarzyszenia „NIGDY WIĘCEJ” i otrzymaniem pamiątkowej płyty winylowej mogą skontaktować się z wydawcą pod adresem: redakcja@nigdywiecej.org.

poświęconych tematyce zachowań na tle ksenofobicznym i rasistowskim. Organizacja podjęła również unikatową współpracę z serwisami aukcyjnymi Allegro i OLX. W ramach kooperacji z portali usuwane są oferty sprzedaży wyprodukowanych współcześnie przedmiotów niosących treści faszystowskie, nazistowskie i antysemickie. Każdego miesiąca z rekomendacji stowarzyszenia z Allegro znikną około pół tysiąca takich ofert.

Słodko-gorzkie zwycięstwo

Zaczęli ambitnie, działając u samego źródła, zaangażowaniem w kwestię tworzonej wtedy konstytucji. W projekcie, który był publicznie ogłoszony przez Komisję Konstytucyjną Zgromadzenia Narodowego, nie było zapisu zakazującego działalności rasistowskiej i faszystowskiej. Rozpoczęli więc akcję na rzecz wprowadzenia go, w którą włączyło się wiele organizacji, między innymi Polska Unia Studentów Żydowskich. Działania te wsparł także Jacek Kuroń, który doprowadził do spotkania przedstawicieli „NIGDY WIĘCEJ” – Rafała Pankowskiego i ówczesnego studenta prawa Adama Bodnara z przewodniczącym komisji Markiem Mazurkiewiczem i Tadeuszem Mazowieckim. – Udało nam się przekonać twórców konstytucji do utworzenia art. 13. To był dla nas olbrzymi sukces. Grupa młodych ludzi zetknęła się z takimi postaciami jak Kuroń czy Mazowiecki i udało nam się je przekonać

do naszego postulatu – wspomina prof. Pankowski. Patrząc jednak z perspektywy czasu, trudno zachować optymizm. Choć zapis istnieje, to przez wymiar sprawiedliwości jest stosowany niezwykle rzadko, żeby nie powiedzieć incydentalnie. – Znane mi są tylko dwa wyroki, kiedy sąd powołał się na niego. Pierwszy wyrok wydał w 2009 roku Sąd Rejonowy w Opolu, który zdelegalizował Obóz Narodowo-Radykalny z Brzegu. Dzisiaj, jak wiemy, ONR znowu działa i to w całym kraju, niestety ten wyrok jakoś znacząco długoterminowo nie wpłynął na tę sytuację. Drugi wyrok zapadł w 2019 roku w sprawie organizacji Duma i Nowoczesność, która była pokazana w reportażu „Superwizjera TVN” – wyjaśnia prof. Pankowski.

Multi-kulti, czyli normalność

Prof. Pankowski podkreśla, że w rozmowie o ksenofobii warto nawiązywać do historii naszego kraju. – Uważam, że historia wielokulturowości w Polsce powinna być przywoływana w dyskusjach na ten temat. Jednak warto sobie przypomnieć o czasach, kiedy ten stereotyp Polaka-katolika nie był tak powszechnie obowiązujący, a nawet dominujący. Oczywiście wielokulturowość na historycznych ziemiach polskich też nie była idyllą i także nie warto popadać w jakiś jednostronny obraz niczym niezakłóconej harmonii, bo nigdy tak nie było. Gdybyśmy jednak spojrzeli na wielowiekową historię Polski,

Wirus nienawiści

WARSZAWA. 11 stycznia 2020 roku w rozmowie wyemitowanej w Polskim Radiu 24 dr Jerzy Targalski, współpracownik redakcji „Gazety Polskiej” i wykładowca Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego, na antenie radia publicznego powiedział: „Zobaczymy, na ile ta epidemia przedostanie się poza granice Chin, dlatego że jak dotychczas to się okazuje, że przede wszystkim Chińczycy są bardziej podatni niż przedstawiciele rasy białej”.

WARSZAWA. 30 stycznia 2020 roku na antenie Radia RMF FM Główny Inspektor Sanitarny Jarosław Pinkas w rozmowie na temat koronawirusa oświadczył, że „w Polsce nie ma tego wirusa. W związku z tym zagrożenie jest zbliżone do zera”, a następnie powiązał ten problem wyłącznie z pochodzeniem narodowym. Na pytanie dziennikarza: „Czyli jeśli mam 38 stopni gorączki, kaszel i duszności, a nie byłem w Chinach, to nie powinienem podnosić alarmu?”, odpowiedział bowiem następująco: „Nie powinien pan podnosić alarmu. Proszę przeanalizować, gdzie pan był i czy rzeczywiście

w pana otoczeniu nie było osoby z Chin. [...] Czy nie rozmawiał pan z Chinką czy z obywatelkiem Chin, który jeszcze przed dwoma tygodniami był w Chinach. Jeżeli nie ma pan tego w swojej świadomości, to jest pan absolutnie bezpieczny”.

Te i wiele innych wypowiedzi utrzymanych w podobnym tonie wyraźnie trafiły na podatny grunt. Najpierw zaobserwowano wrogość i agresję wobec Chińczyków, później wobec osób posiadających azjatyckie rysy. Byli opluwani, bici, atakowani, łaczeni w swoisty sposób z koronawirusem. – Jeżeli ktoś usłyszał pod swoim adresem wyzwisko „ty koronawirusie” albo „ty Chińczyku”, mimo że mógł pochodzić z innego kraju, oznacza, że był w jakiś sposób utożsamiany z chorobą – zauważa dr Anna Tatar. – Przesuwane są kolejne granice. Kiedy atakowana jest jedna grupa, dużo łatwiej zaatakować przedstawicieli innej grupy – dodaje. Istotnym skutkiem ksenofobicznej nienawiści, a nawet nienawiści jest także zalew teorii antyszczepionkowych, które uderzają w zdrowie publiczne.

to okazuje się, że powrót do wielokulturowości byłby po prostu powrotem normalności – mówi.

– Tolerancja, która rodziła się w Polsce w wielkich bólach, jest również zasługą pracy organicznego stowarzyszenia „NIGDY WIĘCEJ” oraz organizacji, które wyrastają z jego doświadczeń – ocenia Michał Olszewski, dodając: – Wykonali naprawdę świetną pracę u podstaw polskiej mentalności, która miała uwrażliwić nas na pewne kwestie i nauczyć szacunku dla inności. Myślę, że w jakiejś mierze to się powiodło. Polska byłaby dziś gorszym krajem, gdyby nie „NIGDY WIĘCEJ”.

„Bądźcie czujni”

„NIGDY WIĘCEJ” od początku istnienia uzyskało poparcie największych moralnych autorytetów tamtych czasów. – Myślę, że rozpoczynając naszą działalność w latach 90., mieliśmy szczęście polegające na tym, że mogliśmy mieć bezpośrednio do czynienia z ludźmi, którzy opowiadali nam o pewnych doświadczeniach historycznych, zarówno

tych heroiczych, jak i trudnych czy nawet niechlubnych. To byli między innymi Marek Edelman, Szymon Wiesenthal, Jerzy Giedroyc, Władysław Bartoszewski czy Jan Karski, który w jednym z listów do nas napisał: „Bądźcie czujni, bo moje pokolenie było nie dość czujne”. W pewnym sensie czujemy się spadkobiercami tej odchodzącej generacji – podkreśla prof. Pankowski. – To było pierwsze stowarzyszenie w Polsce, które w tak jasny i zdecydowany sposób przestrzegało przed ryzykiem odrodzenia się neofaszyzmu oraz wzrostem liczby zachowań ksenofobicznych i rasistowskich. Można powiedzieć, że antycypowało to, co dzieje się dzisiaj – mówi Michał Olszewski, redaktor naczelny krakowskiego oddziału „Gazety Wyborczej”.



Sylwia Pyzik – dziennikarka i filolożka. Absolwentka Uniwersytetu Jagiellońskiego, wychowanka Gołębnika.

Czy antysemityzm jest antysemitowski? (przed sądami)

W maju 2021 roku w warszawskim Sądzie Okręgowym rozpoczęła się sprawa wytoczona Stowarzyszeniu „NIGDY WIĘCEJ” przez Wydawnictwo 3DOM. Wydawca podał organizację do sądu w związku z usunięciem, po zgłoszeniu przez Stowarzyszenie, ofert antysemitowskich publikacji z serwisu Allegro.

W 2020 roku platforma Allegro, po zgłoszeniu przez Stowarzyszenie nienawistnych treści, usunęła kilkanaście pozycji sprzedawanych przez firmę 3DOM. Wśród nich były między innymi współczesne wydania książek przedwojennego antysemity ks. Stanisława Trzeciaka *Program światowej polityki żydowskiej. Konspiracja i dekonspiracja, Kartki z więzienia* – antyżydowskie tyrady Eligiusza Niewiadomskiego (zabójcy prezydenta Gabriela Narutowicza), negująca Holokaust książka Douglasa Reeda *Strategia Syjonu. Nieznana historia narodu wybranego*, a także powtarzająca średniowieczne oskarżenia książka *Mord rytualny – przyczynki historyczne*, której współautorem był poseł Konfederacji Grzegorz Braun.

Przedstawiciel wydawnictwa twierdzi, że nazywanie powyższych publikacji antysemitowskimi narusza dobre imię i renomę wydawnictwa. Domaga się zadośćuczynienia finansowego, przeprosin oraz zagwarantowania, że w przyszłości Stowarzyszenie nigdy nie zgłosi rekomendacji usunięcia z Allegro jakiegokolwiek produktu sprzedawanego przez to wydawnictwo.

Wówczas jednak dr Marchwicki, adwokat z warszawskiego oddziału międzynarodowej kancelarii Hogan Lovells, reprezentujący Stowarzyszenie „NIGDY WIĘCEJ”, słusznie zauważył, że działalność Stowarzyszenia, przejawiająca się w dążeniu do usuwania treści o charakterze rasistowskim czy dyskryminacyjnym, służy interesowi społecznemu.

I dodawał, że takie właśnie są publikacje wydawnictwa.

A i prawo, i regulamin Allegro zabraniają obrotu przedmiotami zawierającymi treści propagujące totalitarny ustrój państwa lub nawołujące do nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość.

Kilka cytatów?

„ (...) żydzi (sic! – taka pisownia) mieszkający w krajach chrześcijańskich i obok narodów chrześcijańskich są elementem wysoce niepożądanym. Są oni obce ciało w organizmie, które zawsze, o ile nie natrafi na silniejszy opór, wywołuje zaburzenia. Narody chrześcijańskie powinny dokładać usilnych starań, by rozwiązać kwestię żydowską, która nigdy nie traci na swej żywotności” (Józef Kruszyński, *Talmud. Co zawiera i czego naucza*);

„Od dzumy moralnej żydostwa naród musi się odgradzić murem chińskim. (...) Świat aryjski czeka w przyszłości straszliwa, śmiertelna



Jurek Owsiak i „NIGDY WIĘCEJ” na festiwalu Woodstock 2018

walka ze stunogim polipem żydowskim” (Eli-
giusz Niewiadomski, *Kartki z więzienia*);

„Odżydzenie bowiem prasy i odżydzenie ra-
dia, odżydzenie filmu i kinematografu, a przez
to odżydzenie i mentalności polskiej jest rów-
nie wielkim i wzniosłym zadaniem jak odżydze-
nie handlu, rzemiosła i przemysłu. (...) Niechże
otworzą się oczy wszystkim, a szczególnie tym,
którzy »mają oczy, ale nie widzą« i niech pobudzą
cały Naród do samoobrony, by Polskę uwolnić od
żydów jako od elementów obcych, szkodliwych
i wrogich” (Stanisław Trzeciak, *Talmud o gojach*

a kwestia żydowska w Polsce); „A zatem nie Hitler,
ale Talmud prześladowa Żydów. Hitler jest tylko
narzędziem w rękę Sprawiedliwości Bożej” (Sta-
nisław Trzeciak, *Mesjanizm a kwestia żydowska*).

Nie ulega też wątpliwości, że publikacje roz-
powszechniane przez wydawnictwo nie mają
jakiegokolwiek wartości naukowej, a tezy za-
warte w komentarzach wydawcy wpisują się
dyskurs antysemitki o charakterze spiskowym,
którego centralny element stanowi figura Żyda
jako wroga.

Sprawa w toku.

Inni też walczą

Stowarzyszenie Otwarta Rzeczpospolita po-
wstało w odpowiedzi na ksenofobię, któ-
ra w latach 90. odżyła w Polsce. Duchowymi
przyjaciółmi „Otwartej” byli między innymi
prof. Władysław Bartoszewski, Irena Sen-
dlerowa, Marek Edelman, ks. Stanisław Mu-
siał czy Teresa Torańska. Dziś wiceprezesa
organizacji Magdalena Czyż zwraca uwagę
na zmianę atmosfery, która nastąpiła w pol-
skiej policji. – Kiedy około 10 lat temu przyszed-
łam do Otwartej, to organy ścigania, prokuratorzy,
policjanci, detektywi traktowali nas jak brzę-
czące muchy, które im zawracają głowę jakimś
pseudoproblemami. Nawet jeśli dziś większość
wszczynanych postępowań jest nadal umarza-
na, to mowa nienawiści przestała być postrze-
gana jako wydumany kłopot. A to oznacza, że
upierdliwe szarpanie za rękaw wymiaru spra-
wiedliwości zaczęło przynosić efekty. Paula Sa-
wicka [była prezes stowarzyszenia – red.] często
za Markiem Edelmanem powtarzała mi, że zło
może urosnąć, zatem na mowę nienawiści na-
leży reagować bardzo szybko, bo nie wiadomo
kiedy przeradza się w czyn – dodaje.

Czyż podkreśla, że jej zdaniem polskie spo-
łeczeństwo jest otwarte i tolerancyjne, ale
zbyt łatwo ulega manipulacji. – W 2015 roku,
na początku kryzysu migracyjnego, 70 proc.
społeczeństwa opowiadało się za przyjmowa-
niem uchodźców, uważało, że to zwykły, ludzki
obowiązek. Po rozpętaniu kampanii szczucia
przeciw uchodźcom ta tendencja odwróciła
się o 180 stopni.

*

Ogromna część dyskryminacji dzieje się
w przestrzeni internetowej. Konrad Dulko-
wski z Ośrodka Monitorowania Zachowań Ra-
sistowskich i Ksenofobicznych sprzeciwia się
jednak podziałowi na świat realny i wirtualny. –
Media społecznościowe są po prostu, jak wska-
zuje pierwszy członek, mediami – mówi. – Zresztą
sądy dzielają nasze zdanie. Bo nie ma zna-
czenia, czy treść ksenofobiczna została napi-
sana w gazecie, wykrzyczana przez megafon
czy opublikowana w internecie. Sąd Najwyż-
szy stwierdził, że internet jest miejscem pu-
blicznym i powinien być tak traktowany przy

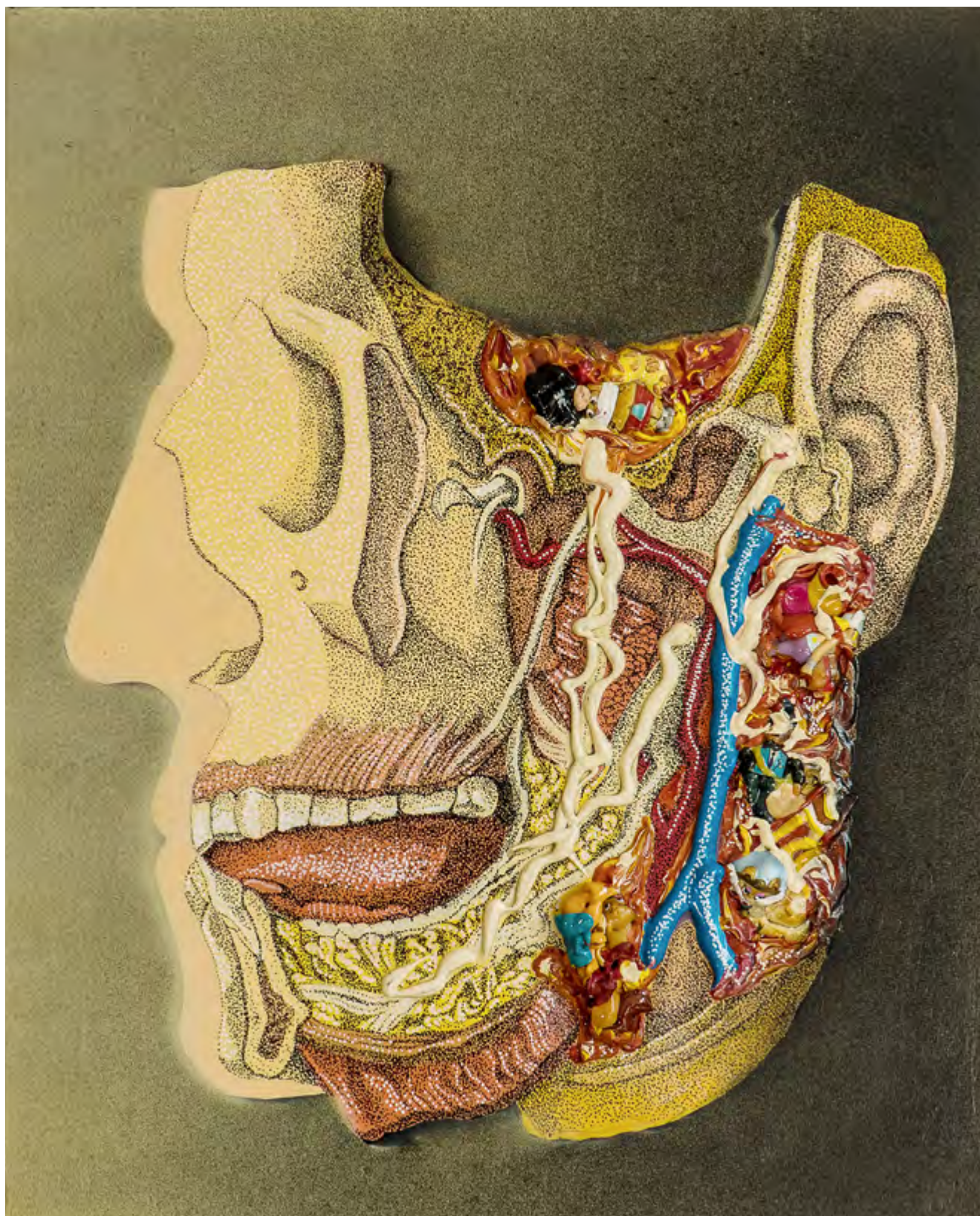
interpretowaniu przepisów prawa. Niestety,
homofobowie często czują się w Polsce bez-
karni, szczególnie ci na stołkach władzy.

Ale wydeptaliśmy nową ścieżkę orzecznic-
twa sądowego. Oskarżamy osoby, które na-
wołują do przemocy wobec osób LGBT o prze-
stępstwo z art. 255 kodeksu karnego, czyli
o nawoływanie do popełnienia przestępstwa.
Już mamy takich wyroków kilkadziesiąt.

– Cały czas mam przed oczami to, co wyda-
rzyło się podczas Marszu Równości w Białym-
stoku. Mnie nie przerażali ci „kibole”, którzy
tam wrzeszczeli i rwali się do bicia, tylko ten
tłum tak zwanych porządnymi obywateli, któ-
ry stał za ich plecami i wrzeszczał „Białystok
wolny od pedałów”. To oni, mimo że sami so-
bie nie pobrudzili rąk, byli winni ataków i po-
bić – dodaje Dulkowski.

*

W Polsce od ponad trzydziestu lat działa także
międzynarodowa organizacja Amnesty Inter-
national, która bada, dokumentuje i publikuje
raporty o przypadkach naruszeń praw czło-
wieka na całym świecie. Jedną z ich ostatnich
akcji w naszym kraju była kampania „Odważ
się poznać!”, która jest skierowana do każdego,
komu nie jest obojętna sytuacja osób queero-
wych w Polsce. W ramach akcji na stronie in-
ternetowej można podpisać petycję, która ma
na celu między innymi wprowadzenie prze-
słanek orientacji seksualnej, tożsamości płcio-
wej i cech płciowych do kodeksu karnego w ra-
mach tak zwanych przestępstw z nienawiści
i nawoływania do nienawiści. „Seksualna rela-
cja pomiędzy osobami tej samej płci jest uzna-
wana za przestępstwo w 68 krajach i może
skutkować karą śmierci w 9, między innymi
w Iranie, Arabii Saudyjskiej, Jemenie i Suda-
nie” – wylicza Amnesty International. „Czasa-
mi wrogość skierowana przeciw osobom LGB-
TI jest podsycana przez te same rządy, które
powinny je chronić. (...) W wielu państwach
Afryki Subsaharyjskiej członkowie społeczno-
ści LGBTI żyją w ciągłym strachu przed tym, że
ktoś odkryje ich orientację seksualną, co może
doprowadzić do ataków, a nawet morderstw” –
przestrzega organizacja.



Marta Antoniak, *Astral body*, technika własna na płótnie, 50 x 40 cm, 2020, fot. Michał Sosna

Świat rozmagnetyzowany

Rozmawiali Witold Bereś i Krzysztof Burnetko Zdjęcie: Kancelaria Senatu/licencja Wikimedia Commons

Prof. Adam Daniel Rotfeld: W 1993 napisałem, w „Roczniku SIPRI” (Stockholm International Peace Research Institute), że kończy się świat wielkich wojen, takich jak I czy II wojna światowa. Zaczyna się okres konfliktów wewnętrznych, wojen domowych, które będą rozszerzać się na subregiony i regiony. Główna teza była taka, że kończy się okres wojen między państwami, a zaczyna się okres konfliktów i wojen domowych, wewnętrznych. Nie zdawałem sobie wtedy sprawy z tego, że dożyję czasów, gdy stanie się to rzeczywistością w skali globalnej. Zagrożenie polega na tym, że wielkie mocarstwa będą wciągane w te konflikty i będą prowadzić między sobą małe wojny *per procura*.

Witold Bereś, Krzysztof Burnetko: Panie Profesorze, czy kres wielkich wojen oznacza również kres mniejszych konfliktów?

Prof. Adam Daniel Rotfeld: Przeciwnie. To, co obserwujemy, jest w pewnej mierze realizacją innego scenariusza. Od ponad 75 lat nie ma wielkich wojen globalnych, toczą się wojny domowe, które często się nigdy definitywnie nie kończą. Rządy uzgodniły pewne sposoby pokojowego rozstrzygania sporów, ograniczania i zapobiegania wojnom między państwami. Wypracowane zostały procedury, mechanizmy, instytucje, jednak nie dotyczą one konfliktów wewnątrz państw. Jakkolwiek zaciera się granica między tym, co wewnętrzne, a tym, co zewnętrzne. Barięą jest zasada niemieszania się w sprawy wewnętrzne, chociaż przestrzeganie przyjętych politycznych i prawnych aktów, które zobowiązują państwa do respektowania zasad, norm i reguł, na przykład w zakresie praw człowieka i ochrony praw grup mniejszościowych, zapobiegłoby wielu wewnętrznym konfliktom.

Konflikty toczą się w gruncie rzeczy na całej kuli ziemskiej, zwłaszcza w Afryce, Azji, Ameryce Łacińskiej. Ich podłożem jest bieda, brak wody, animozje plemienne. Często przybierają charakter wojen religijnych. Inaczej w świecie bogatej Północy – w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Francji czy Holandii i innych państwach „starych” demokracji. Tam źródłem konfliktów jest nierówny podział bogactw, zagrożenia cywilizacyjne i spory kulturowo-tożsamościowe. Dodatkowymi źródłami napięć w państwach bogatej Północy jest poczucie „wykluczenia” wielkich grup społecznych, niepewność jutra, zagubienie i narastająca frustracja.

Na początku października świat poruszyła kilkugodzinna awaria Facebooka, która kosztowała Marka Zuckerberga, właściciela tej korporacji, kilka miliardów dolarów. Na mnie zrobiło wrażenie późniejsze przesłuchanie współpracownicy tej firmy przez jedną z komisji Senatu USA. Francis Haugen odpowiadała za walkę z dezinformacją. Przekazała ona prasie amerykańskiej tysiące stron dokumentów świadczących o szkodliwym wpływie platform FB na społeczeństwa różnych państw. Rok wcześniej zwracał na to uwagę Marian TurSKI w liście otwartym do Zuckerberga, opublikowanym w światowej prasie. Celowo zamieszczone

szkodliwe i prowokacyjne treści (fake newsy, zaprzeczanie prawdziwej historii, informacje o akcjach antyszczepionkowców, agresywna retoryka) podsycają przemoc, ale przynoszą tej transnarodowej korporacji astronomiczne przychody. Giganci z tej branży dysponują majątkiem większym niż wiele razem wziętych państw świata. Bezkarność transnarodowych gigantów stanowi zagrożenie, któremu społeczność międzynarodowa powinna definitywnie położyć kres.

Nowe linie podziału przebiegają między tymi, którzy bronią demokratyczno-liberalnego ustroju, a populistami i zwolennikami autorytarnego sposobu sprawowania władzy. Nie są to spory o terytoria i granice, ale coraz częściej o wartości i prawo do kultywowania własnej tożsamości, tradycji, kultury, języka. Przykładów mamy co niemiara: w Hiszpanii o prawo do oderwania się dopominają się bogate prowincje – Katalonia i Kraj Basków, w Wielkiej Brytanii – Irlandia Północna i Szkocja, w Belgii nie ustają spory między Flamandami a Walonami. W państwach autorytarnych problemy rozstrzygane są siłą – w Chinach (represje wobec Ujgurów), w Rosji (wojny w Czeczenii), w Turcji (dyskryminacja Kurdów i Ormian).

Wyborcy dają tym przywódcom do tego legitymację? Czy winny jest internet, propaganda czy odwieczna ludzka głupota?

Pytanie proste, ale odpowiedź jest złożona. Ludzie, którzy nie zajmują się zawodowo procesami społecznymi, poszukują – taka jest właściwość umysłu ludzkiego – prostych odpowiedzi na trudne pytania. Przywódcy światowi nie zawsze reprezentują wysoki poziom przywództwa, bardziej zabiegają o swoją popularność i pozyskanie elektoratu w najbliższych wyborach niż o rozwiązywanie ważnych i trudnych problemów. W efekcie podejmują decyzje o charakterze doraźnym, z myślą o najbliższych wyborach. Nie znaczy to, że nie zdarzają się w historii takie momenty, że na czele państw stają przywódcy, o których mówimy nawet wiele lat po ich odejściu, że byli to prawdziwi mężowie stanu. Taką pamięć pozostawili po sobie między innymi de Gaulle, Roosevelt, de Gasperi. W Niemczech takim przywódcą był Willy Brandt. Miał odwagę podejmować i brać odpowiedzialność za decyzje niepopularne, ale zgodne z dalekosiężnymi interesami narodu.

Prof. Adam Daniel Rotfeld (ur. 4 marca 1938 w Przemyslanach k. Lwowa), badacz stosunków międzynarodowych, negocjator międzynarodowy. W 2005 w rządzie Marka Belki minister spraw zagranicznych; sekretarz stanu w MSZ i zastępca ministra spraw zagranicznych Włodzimierza Cimoszewicza (2001–04); wieloletni dyrektor Sztokholmskiego Międzynarodowego Instytutu Badań nad Pokojem – SIPRI (1989–2002).

Przeżył wojnę – po śmierci rodziców zamordowanych przez Niemców – w greckokatolickim klasztorze Studytów w Uniowie k. Przemyslan; po repatriacji do Polski – w Państwowym Domu Dziecka w Krakowie. Ukończył V Liceum Ogólnokształcące im. Augusta Witkowskiego (1955).

Uzyskał magisterium z zakresu prawa międzynarodowego publicznego na Wydziale Dyplomatyczno-Konsularnym Szkoły Głównej Służby Zagranicznej w Warszawie (1955–60); studiował na Podyplomowym Studium Dziennikarskim Uniwersytetu Warszawskiego (1960–62); uzyskał stopień doktora nauk prawnych na podstawie dysertacji o prawie międzynarodowym do samostanowienia we współczesnym prawie międzynarodowym na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego (1969); habilitował się na podstawie monografii *Europejski system bezpieczeństwa in statu nascendi* z zakresu nauk humanistycznych (1989). W 2001 roku otrzymał tytuł naukowy profesora nauk humanistycznych.

W latach 1961–1989 pracował w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych w Warszawie. W latach 1974–1975 brał udział w pracach drugiej fazy Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie jako członek polskiej delegacji w Genewie oraz w Spotkaniach KBWE w Belgradzie (1977–78), Madrycie (1980–83) oraz Wiedniu (1986–88). W 1989 roku został kierownikiem projektu badawczego w Międzynarodowym Instytucie Badań nad Pokojem w Sztokholmie (SIPRI), gdzie w 1991 roku wybrano go dyrektorem na pięcioletnią kadencję oraz powtórnie na następną kadencję (przedłużoną do czerwca 2002 roku).

W latach 1992–1993 (na wniosek min. Krzysztofa Skubiszewskiego) mianowany osobistym przedstawicielem przewodniczącego KBWE ds. polityczne rozwiązania konfliktu w Naddniestrzu. W 2000 roku został powołany przez prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego do Rady Bezpieczeństwa Narodowego. W 2006 roku mianowany przez sekretarza generalnego ONZ członkiem, a w 2008 przewodniczącym Kolegium Doradczego Sekretarza Generalnego ONZ do spraw Rozbrojenia (w składzie ABDM do 2011). Współprzewodniczył Polsko-Rosyjskiej Grupie do Spraw Trudnych (2008–15).

Był członkiem między innymi Międzynarodowego Instytutu Studiów Strategicznych (IISS) w Londynie, członkiem Rady Naukowej Instytutu Badań nad Pokojem i Polityką Bezpieczeństwa przy Uniwersytecie Hamburgskim oraz Centrum Demokratycznej Kontroli nad Siłami Zbrojnymi (DCAF w Genewie), Szwedzkiej Królewskiej Akademii Wiedzy Wojskowej, a także Genewskiego Centrum Polityki Bezpieczeństwa i wielu innych instytucji krajowych oraz zagranicznych (między innymi zasiadał w radach naukowych Instytutu Studiów Politycznych PAN, Instytutu Spraw Publicznych i Komitetu Nauk Po-



litycznych PAN). Wchodził w skład międzynarodowych gremiów przygotowujących strategię NATO na dekadę 2010–20 oraz zalecenia dla Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie: *Back to Diplomacy* (OSCE–Wiedeń 2015).

Jest współzałożycielem i członkiem władz kilku fundacji, między innymi Centrum im. prof. Bronisława Gremka, wiceprzewodniczącym Fundacji Aleksandra Kwaśniewskiego „Amicus Europae”, Fundacji W Służbie Rzeczypospolitej, Międzynarodowej Rady Muzeum Historii Żydów Polskich Polin w Warszawie, członkiem Rady European Leadership Network, Aspen Minister Forum.

Autor ponad 450 publikacji naukowych, w tym ponad 10 książek, a także współautor ponad 20 monografii oraz wielu prac zbiorowych, między innymi redaktor naukowy pracy *Dokąd zmierza świat?* (PISM, Warszawa 2008), *Białe plamy. Czarne plamy. Sprawy trudne w relacjach polsko-rosyjskich 1918–2008* (red. naukowa wspólnie z Anatolijem Torkunowem (PISM, Warszawa 2010), autor monografii *W poszukiwaniu strategii* (BoSZ, Olśzanica 2018)

Pracuje na Wydziale Artes Liberales Uniwersytetu Warszawskiego.

A Churchill? Czytam jego wspomnienia z okresu wojny – trudno o lepszy przykład i cynizmu, i skuteczności, i wielkości...

Świadomie nie wymieniłem Churchilla. Był niewątpliwie mężem stanu, ale miał też głęboko zakorzoną świadomość, że jest przywódcą imperium i to na plan dalszy odsuwało sprawy moralności i etyki w procesie podejmowania decyzji.

Prawdziwi przywódcy, jakkolwiek muszą często podejmować decyzje niesprawiedliwe albo oceniane jako wątpliwe z moralnego punktu widzenia, to jednak kierują się pewnymi zasadami moralno-etycznymi i sami sobie wyznaczają nieprzekraczalną linię. Na przykład de Gaulle mógł przecież nadal – po dziesięciu latach prezydentury – pozostać głową państwa, wystarczyło, by spełnił choćby nie-

Konflikty toczą się w istocie rzeczy na całej kuli ziemskiej, zwłaszcza w Afryce, Azji, Ameryce Łacińskiej. Ich podłożem jest bieda, brak wody, animozje plemienne. Inaczej w świecie bogatej Północy – w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Francji czy Holandii i innych państwach „starych” demokracji. Tam źródłem konfliktów jest nierówny podział bogactw, zagrożenia cywilizacyjne i spory kulturowo-tożsamościowe. Dodatkowymi źródłami napięć w państwach bogatej Północy jest poczucie „wykluczenia” wielkich grup społecznych, niepewność jutra, zagubienie i narastająca frustracja.

które oczekiwania swoich krytyków. Nie uczynił tego, ponieważ miał w sobie ten element powagi i moralnego osądu spraw. De Gaulle był i pozostał dla Francuzów swoistą ikoną. Wcześniej od innych dostrzegł zagrożenia ze strony niemieckiego faszystwu, stawiał czoło hitlerowskiej III Rzeszy przez cały okres wojny. W niektórych sprawach intuicyjnie wyczuwał nastroje społeczne i dla utrzymania jedności narodu uznał, że trzeba postawić – używając języka z naszej najnowszej historii – „grubą kreskę” pod sprawą rozliczenia tych, którzy poszli na kolaborację z Niemcami pod rządami gen. Petaina. Konsekwencją tej decyzji jest to, że dopiero wiele lat po wojnie zaczęły wypadać szkielety schowane wcześniej w szafie. Efekt: od kilkudziesięciu lat Francja się z tym boryka. To samo dotyczy Austrii, której powojenne elity – w tym kanclerz Bruno Kreisky (po powrocie z emigracji) uznały, że społeczeństwo nie jest gotowe do spojrzenia historycznej prawdzie w oczy. W efekcie Austriacy po dziś dzień nie przetrwali tego, jaki był ich udział w zbrodniach hitlerowskiej Rzeszy. Chętnie przyjęli legendę, jakoby Austria była pierwszą ofiarą II wojny światowej.

A Niemcy?

W Niemczech tego problemu nie było, ponieważ to nie Niemcy podejmowali decyzje. Podejmowały

je mocarstwa okupacyjne w imieniu Niemiec i dla Niemiec. W rezultacie dopiero w 1985 roku, a więc 40 lat po zwycięstwie nad III Rzeszą, prezydent Richard von Weizsäcker (chadecja) miał odwagę powiedzieć, że klęska i bezwarunkowa kapitulacja to nie był podbój ani zniewolenie, ale wyzwolenie narodu niemieckiego z nazistowskiej niewoli. Co prawda naród poddał się tej niewoli bez większego oporu. Wyjaśnieniem przyczyn dojsia Hitlera do władzy zajmowały się całe zastępy badaczy – historyków, socjologów, politologów, ekonomistów i psychologów społecznych. Nie bez znaczenia było upokorzenie Niemiec po przegranej I wojnie, narzucone po konferencji wersalskiej warunki spłaty kontrybucji i odszkodowań, słabości Republiki Weimarskiej, wreszcie terror, który Hitler narzucił własnemu narodowi – w połączeniu z decyzjami o całkowitej zmianie systemu społecznego, politycznego i gospodarczego. Wszystko to sprawiło, że społeczeństwo niemieckie udzieliło Hitlerowi poparcia. W swej drodze po władzę napotkał na opór nieznaczny. I to głównie ze strony tych, którzy znaleźli się poza krajem, bo wyemigrowali lub zostali wypędzeni, a później tych, którzy przejrżeli na oczy i ratowali honor Niemiec, chcąc zapobiec katastrofie, gdy losy wojny już były przesądzone. Był to spisek arystokracji i generalicji z 20 lipca 1944 roku, który dla młodych oficerów Bundeswehry ma stanowić wzór i przykład, że w demokratycznym państwie obywatel w mundurze powinien kierować się prawem i zasadami moralnymi.

Rozumiem. Wróćmy do współczesnych wyzwań stojących przed politykami świata...

Wielcy przywódcy odznaczają się tym, że mają odwagę podejmować decyzje niepopularne, świadomi tego, że mogą przegrać wybory, ale podejmują je zawsze w interesie własnego społeczeństwa, narodu i państwa. Niestety, dzisiaj przeważają w świecie politycy – na ogół dobrze wykształceni, absolwenci najlepszych uniwersytetów, kompetentni, ale często są to ludzie, których egotyzm, a niekiedy narcyzm pozostają w rażącej dysproporcji do oczekiwań i norm stawianych głowom państw i szefom rządów. Mówię ogólnie, bo zdarzają się i tacy, którzy nie tylko są małego charakteru, ale traktują władzę jak zarządzanie korporacją. Mają doświadczenie w spekulacjach giełdowych, a potem starają się to doświadczenie przełożyć na sposób kierowania państwem. Takim przykładem byłby Donald Trump, który nigdy nie sprawował żadnego stanowiska państwowego, ale Partia Republikanska i znaczna część amerykańskiego elektoratu powierzyli mu urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych. Najwyraźniej dostrzegli w nim człowieka, który z racji swego doświadczenia biznesowego będzie w stanie rozwiązać problemy, które stoją przed Ameryką.

Byłoby jednak błędem sądzić, że głównym elementem nieuporządkowania świata jest niski poziom przywództwa. Ważniejsze są nowe problemy i wyzwania, które stoją przed światem: zmiana klimatu, konieczność fundamentalnych zmian w pozyskiwaniu czystej i odnawialnej energii, pilna potrzeba radykalnie nowego stosunku do środowiska, robotyzacja, cyberprzestrzeń, braki wody pitnej i puścynienie wielkich obszarów Afryki, a także innych

regionów świata oraz związane z tym przemieszczenia ogromnych mas ludzi, czyli masowe migracje. Lista problemów natury globalnej jest znacznie dłuższa. Każdy z nich mógłby i powinien być przedmiotem wspólnego namysłu i współdziałania.

Tymczasem prezydent najpotężniejszego mocarstwa Trump wycofał Stany Zjednoczone ze współpracy uzgodnionej w Karcie Paryskiej, dotyczącej zmiany klimatu, zawiesił – w czasie pandemii COVID-19 – współpracę z WHO, czyli Światową Organizacją Zdrowia, i ogłosił jako główny cel swojej prezydentury hasło *Make America Great Again!* – czyli powrót do unilateralizmu.

Czym, Pana zdaniem, jest przywództwo, co jest jego istotą?

Przywództwo to zdolność do formułowania daleko sięgających celów dla społeczeństw, narodów i państw oraz planowanie i określanie sposobu realizacji tych celów. A miarą wartości tego przywództwa jest jego skuteczność we wcielaniu w życie przyjętych założeń. Zilustruję te uwagi pewną dygresją. Przypominam sobie rozmowę z niemieckim dyplomatą, a zarazem wybitnym krytykiem muzycznym i znawcą opery na marginesie obrad Spotkania Belgradzkiego KBWE (1978), którego zadaniem była ocena realizacji postanowień Aktu Końcowego podpisanego trzy lata wcześniej w Helsinkach na najwyższym szczeblu. W przerwie mój niemiecki rozmówca zagadnął: „Czy może Pan zdefiniować, na czym polega istota systemu w ZSRR i państwach Europy Środkowo-Wschodniej?”. Zaskoczony tym pytaniem odpowiedziałem żartobliwie i „dyplomatycznie” znanym cytatem z przedoświeceniowej encyklopedii ks. Benedykta Chmielowskiego *Nowe Ateny*: „Koń, jaki jest, każdy widzi”. Mój rozmówca powiedział, że – jego zdaniem – najkrótszą definicję systemu w naszej części Europy określają dwa słowa: „zinstytucjonalizowana nieskuteczność”. Zapamiętałem jego definicję nie tylko dlatego, że była lapidarna, ale – co istotniejsze – była trafna.

Wróć jednak do amerykańskiego przywództwa w świecie. Po Trumpie w Stanach zwyciężył Biden, który ma nieporównanie większe doświadczenie polityczne niż jego poprzednik. Jest dziś ostro krytykowany za wycofanie obecności amerykańskiej w Afganistanie. I słusznie. Należy jednak pamiętać, że decyzję w tej sprawie podjął jego poprzednik. Biden przejął w schedzie zobowiązania, które mu utrudniają działanie. Pamiętajmy przy tym, że elektorat Trumpa nie wyparował. I to nie jest elektorat racjonalny, refleksyjny, pokojowy. To, co się stało 6 stycznia tego roku – była to, jak zapewne napisałby Sienkiewicz – erupcja czerni, tłuszczu, motłochu. A motłoch i w Ameryce, i wszędzie na świecie jest po prostu poważnym zagrożeniem.

Wartości i nowe linie podziału

Co gorsza, motłoch tworzy też problemy w wielu innych państwach.

Żyjemy w diametralnie innych uwarunkowaniach niż czasy, w których istniał Związek Radziecki, a ponad jedna trzecia kuli ziemskiej była pod rządami totalitarnego reżimu bezprawia. Było to ubierane w jakieś tam formy prawne, ale chyba nikt nie miał złudzeń, że to fasada. Rządy partii były ponad i poza

prawem. Przecież wszyscy akceptowali, że przywódcą ZSRR był Stalin, który przed śmiercią nie pełnił już żadnych funkcji państwowych – był „tylko” sekretarzem generalnym partii. W Polsce Gomułka był „tylko” jednym z członków Rady Państwa, ale wszyscy wiedzieli, że to on sprawuje władzę, ponieważ jest I Sekretarzem KC PZPR. Dotyczyło to właściwie wszystkich przywódców w krajach zależnych od ZSRR, gdzie funkcje partyjne były kluczowe, państwowe zaś pełniły rolę wykonawczą, a często teatralną, dekoracyjną. O Prusach Fryderyka Wielkiego powiadano, że pod jego rządami to armia posiadała państwo – a nie odwrotnie. Można to powiedzieć sparafrazować: w Związku Radzieckim i krajach „demokracji ludowej” partie posiadały państwo, a nie odwrotnie. Był to oksymoron, bo prze-

Nowe linie podziału przebiegają między tymi, którzy bronią demokratyczno-liberalnego ustroju, a populistami i zwolennikami autorytarnego sposobu sprawowania władzy. Nie są to spory o terytoria i granice, ale coraz częściej o wartości i prawo do kultywowania własnej tożsamości, tradycji, kultury, języka.

cież sam termin „partia” (z łac.) oznacza część, a nie całość. Cały świat budowany był po II wojnie światowej wokół zderzenia symplifikatorskiej marksistowsko-leninowskiej doktryny, będącej spoiwem państw reżimu totalitarnego ze wspólnotą demokratycznych państw Zachodu, które kierowały się zasadami liberalnej demokracji.

Wtedy ta sprzeczność dotyczyła ideologii: demokracje vs dyktatury; pluralizm vs reżimy monopartyjne; komunizm vs antykomunizm. Antagonistyczne ideologie określały linie podziału w kształtowaniu dwubiegunowego porządku światowego, czyli bipolarizmu.

Dla zrozumienia istoty tego dwubiegunowego porządku można rozsypać na stole metalowe opiłki i po umocowaniu pod blatem magnesu opiłki ułożyć się na stole wokół obu biegunów: plus i minus. Dzisiejszy świat – po wyczerpaniu się siły magnetycznej ideologii marksizmu, którego doktryna się wypaliła – uległ rozmagnetyzowaniu. Powrotu do tej idei porządkującej nie ma.

Dzisiejsze spory nie wynikają z ideologii. W centrum uwagi są wartości: prawa człowieka, poszanowanie jego tożsamości, przyrodzonej godności, swobód i wolności myśli, słowa, sumienia, przekonań i religii. Świat autokratyczny, despotyczny, a niekiedy totalitarny – jak na przykład w Chinach czy Korei Północnej – odrzuca ten system wartości. Określa je, jako obce i narzucane przez Zachód. Ignoruje przy tej sposobności prosty fakt, że są to wartości uniwersalne. Co więcej – znalazły się i zostały uznane w Karcie Narodów Zjednoczonych, Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka i wielu innych fundamentalnych dokumentach. Są to zatem wartości uniwersalne i obowiązujące.

W Europie takie państwa jak Turcja, Węgry i Rosja odwołują się do własnych narodowych wartości. Nie dostrzegają, że ich argumentacja i słowotwórcza inwencja zaprzecza istocie twierdzenia: na przykład oksymoron „demokracja nieoliberalna” na Węgrzech Orbana to jakby powiedzieć „niesłona sól”. Ta gra słów przywołuje na myśl okres słusznie miniony, gdy demokracja była „ludowa” albo „socjalistyczna”. Dziś ma być w Rosji „suwerenna”, a na Węgrzech – „nieoliberalna”.

Samo słowo „demokracja” jest potrzebne nawet jej przeciwnikom – bo społeczeństwa potrzebują demokracji od zawsze, już od czasów starożytnej Grecji. Taka jest najwyraźniej widoczna potrzeba natury ludzkiej.

Rosyjski minister spraw zagranicznych Siergiej Ławrow opublikował ostatnio artykuł zatytułowany *O prawie, prawach i prawidłach* („Kommiersant”, 28.06.2021, nr 109), w którym podważył sens odwoływania się do reguł, norm i zasad, które „zbiorowy Zachód od 500 lat” ustala i narzuca Rosji w sposób arbitralny i jednostronny. Ławrow wdał się w se-

Na kształtowanie nowego światowego porządku wpływa nie jeden czy dwa czynniki. Jest ich nieporównanie więcej. Przy tym sytuacja jest płynna i zmienna.

mantyczne rozważania: „W języku angielskim »prawo« to *law*, »reguła« to *rule*. Wyczuwacie tę różnicę?” – pytał retorycznie Ławrow. Jeszcze dalej poszedł w swej argumentacji szef rosyjskiego wywiadu Siergiej Naryszkin, któremu dzisiejszy Zachód kojarzy się z „późnym Związkiem Radzieckim”, a Stany Zjednoczone „błyskawicznie przekształcają się w liberalno-totalitarny reżim” (RIA Nowosti, 24.06.2021). Państwa autorytarne oferują dziś światu taką, powiedzielibym, chińską podróbkę. Czasami, gdy kupujemy zegarki dobrych szwajcarskich marek, to po bliższym przyjrzeniu okazuje się, że są to plastikowe podróbki, których czas trwania jest krótki. Wszystkie te „nie-liberalne”, „suwerenne” i „narodowe” pseudodemokracje oraz wartości ukrywają w swej istocie próby utrzymania autorytarnych rządów bezprawia i ograniczania swobód obywatelskich.

Co po geopolityce?

A co z geopolityką? Czy ona nadal ma znaczenie?

Geopolityka kiedyś oznaczała, że jednym z kluczowych czynników kształtowania polityki jest geografia. Była to koncepcja z przełomu XIX i XX wieków, która miała uzasadniać potrzebę przestrzeni (*Lebensraum*) dla niemieckiej ekspansji na Wschodzie. Brała też pod uwagę, że często granice przebiegały wzdłuż linii wielkich rzek lub niedostępnych gór, bo utrudniało to napaść przez sąsiadów. Ale dziś? Można zaatakować każdą wioskę czy miasteczko w Afganistanie lub Jemenie raketami czy dronami kierowanymi z Nevady, Archangielska lub jakiegokolwiek innego punktu na kuli ziemskiej. W tym sensie geografia straciła na znaczeniu. Przed laty

papież Franciszek w swojej adhortacji (*Evangelii gaudium*) zdefiniował cztery reguły prymatu. Pierwsza – to prymat czasu nad przestrzenią; druga – rzeczywistości nad ideami; trzecia – pokoju nad konfliktami; i czwarta – całości nad częścią. Częste odwoływanie się w naszych czasach do geopolityki świadczy bardziej o nieporadności intelektualnej autorów niż pozwala wyjaśnić złożoności nowej rzeczywistości. **Karierę zrobiło też pojęcie „wojny hybrydowej”.**

Co znaczy to określenie?

Jest to próba zdefiniowania złożonych form interwencji zewnętrznej – informacyjnej i wojskowej – za pomocą technologii cyfrowych czy udziału nieoznakowanych formacji (na przykład w inkorporacji Krymu czy podobnego typu zaangażowanie na południu Ukrainy); niedozwolonych działań zmierzających do destabilizacji sytuacji wewnętrznej państwa, przeciwko któremu skierowane są „hybrydowe” formy prowadzenia wojny – z wykorzystaniem konfliktów wewnętrznych.

Zwykle myślenie polityków i wojskowych biegnie wydeptanymi ścieżkami. Wiele decyzji jest efektem pewnego utrwalonego sposobu myślenia, wynikającego z doświadczenia, które jest powielane. Tymczasem dynamika zmian jest szybsza niż nasza zdolność percepcji tego procesu.

Często przeszkodą w rozumieniu procesów są słowa. Przyzwyczajamy się do jakiegoś terminu i nie zdajemy sobie sprawy z tego, że nie do końca rozumiemy – funkcjonujący przez setki lat – jego zakres znaczeniowy. Na przykład Unia Europejska nie jest federacją ani konfederacją. Federacją są Stany Zjednoczone, a konfederacją Szwajcaria. Mylą się ci, którzy sądzą, że z Unii Europejskiej ukształtują się w przyszłości Stany Zjednoczone Europy. Unia jest związkiem państw, a nie państwem związkowym. Powstała w Europie, a nie w Ameryce; każde z państw członkowskich ma swoją długą historię, Unia ma więc zupełnie różną od Stanów przeszłość. Czekają też inna przyszłość. Ale skoro w naszym myśleniu federalizm jest pojęciem prawnym, głęboko zakorzenionym w sposobie myślenia, prowadzi to do wielu nieporozumień. Wiele obaw wynika po prostu z tego, że boimy się rozwiązań nieznanymi i w Europie niewypróbowanych. Na przykład centralnego rządu, który mógłby dyktować, jak mamy kultywować swoje tradycje, zwyczaje itd. I ci, którzy są przeciwni Unii, na tym bazują, świadomie czyniąc z Unii straszaka. Powtarzam: rozwój różnych instytucji wymuszają potrzeby życia. Zmiany – często podyktowane koniecznością – są szybsze i bardziej radykalne niż nasza zdolność percepcji. Innymi słowy, terminami zaczerpniętymi ze starych określeń opisujemy czasami nową rzeczywistość, co budzi z kolei uzasadnione społeczne opory. Potwierdza się znana mądrość, że generałowie przygotowują się do wojen, które minęły.

O profilu świata decyduje zatem dziś brak przywództwa i dysonans poznawczy?

To nie tak. Świat jest bardziej złożony i proszę nie oczekiwać gotowych banalnych odpowiedzi. Na kształtowanie nowego światowego porządku wpływa nie jeden czy dwa czynniki. Jest ich nieporównanie więcej. Przy tym sytuacja jest płynna i zmienna. Nie jest zdeterminowana jakimś jednym

kwantyfikatorem. Dawniej określaliśmy na przykład siłę państw wielkością ich produktu krajowego brutto. Dziś są państwa lub wspólnoty, które mają wysoki poziom PKB, ale niewspółmiernie mały wpływ na sytuację światową.

Takim związkiem państw jest Unia Europejska: ma wyższy PKB niż Stany Zjednoczone, ogromny ludzki kapitał intelektualny, zdolności innowacyjne, potencjał naukowy, wielką kulturę i autorytet w świecie powiązany z wysoką jakością życia. Jednak Unia nie jest postrzegana jako globalne mocarstwo. To czego Unii brakuje, tkwi swoimi korzeniami w wydarzeniach sprzed stu lat. W psychospołecznych skutkach Wielkiej Wojny. Wojna ta wybuchła co prawda w roku 1914, ale jej konsekwencje sprawiły, że dwadzieścia lat po jej zakończeniu Europa nie była w stanie stawić czoła Niemcom, czyli państwu, które było pokonane w tej wojnie, a w ciągu pięciu lat (1933-38) – po dojściu Hitlera do władzy – odbudowało swój potencjał militarny. Ale przecież i wtedy zjednoczony potencjał wojskowy Europy był nieporównanie większy od potencjału Rzeszy. Przyczyny tego fenomenu były różne: Europa nie była zjednoczona, co więcej – nie miała siły ducha, woli i determinacji, by walczyć. Szukała rozwiązań, które „upokojowałyby” Hitlera (ilustracją była konferencja monachijska w 1938 roku).

Powiedzmy jasno: wielu krytyków polskiej polityki w okresie międzywojennym, a zwłaszcza krytyków ówczesnego sanacyjnego rządu, zapomina, że wszystkie państwa Europy Zachodniej ustępowały Hitlerowi właściwie bez walki, a państwa Beneluksu i Francja opierały się Niemcom krócej niż Polska, chociaż Polska była przecież znacznie słabsza.

Na czym polegała ówczesna przewaga Polski, czego nie miała tamta Europa?

Jedynym czynnikiem, który stanowił o polskiej przewadze – w porównaniu z Francją czy państwami Beneluksu – była determinacja i gotowość społeczeństwa, by bronić niepodległości odzyskanej po 123 latach zaborów. Gotowość, by oddać życie za swoje państwo. Tej woli walki nie dostrzegam w dzisiejszej Europie, która traktuje Sojusz Północnoatlantycki i amerykański parasol obronny jak polisę ubezpieczeniową.

Tyle że poziom polskiej armii był niski, a sposób dowodzenia anachroniczny i komunikacja w niej fatalna?

To wszystko prawda. Katalog krytycznych uwag jest znacznie dłuższy. Jednak moje nawiązanie do doświadczeń 1939 roku miało ilustrować to, czego Europie wtedy zabrakło: jednoświ i woli walki. Wbrew temu, co pisze wielu historyków, Polacy zademonstrowali bohaterstwo i wielką motywację, czyli to, czego na Zachodzie zabrakło. Tam przeważały postawy ugodowe i przystosowawcze. To od tamtych powersalskich czasów Europa była – i jest – nastawiona na szukanie kompromisów, na układanie się, na negocjacje. Innymi słowy, wielu zachodnich Europejczyków pragnęłoby mieszkać w Europie, która będzie postrzegana jako Szwajcaria świata. Taka autopercepcja jest dosyć infantylna, nie do pogodzenia z realnym miejscem, potęgą gospodarczą i rolą naszego kontynentu, co nie znaczy, że mieszkańcy Unii powinni rezygnować z bezpiecznego życia

w dostatku. By ten komfortowy cel osiągnąć, Europa potrzebuje zarówno amerykańskiej potęgi wojskowej, jak i własnej strategii nadania instytucjom wspólnej polityki zagranicznej i bezpieczeństwa realnego znaczenia w swoich relacjach z NATO. Z kolei Stany Zjednoczone nie mogą być osamotnione, zwłaszcza dziś – po sromotnym wyjściu z Afganistanu – potrzebują silnego europejskiego wsparcia i solidarności. I to nie tylko ze względów moralnych, ale dla umocnienia ich przywództwa w całej demokratycznej transatlantyckiej wspólnotcie. Jak pisała Szymborska: „Nic dwa razy się nie zdarza...”. Z historii nie ma powtórki. Bez Stanów Zjednoczonych Europa może okazać się osamotniona w konfrontacji z autorytarnymi reżimami, których celem jest osłabienie transatlantyckich więzów i destabilizacja Europy.

Religia i polityka

Czy nie uważa Pan, że ogromnym zagrożeniem dla demokracji liberalnej są systemy wyrastające z fundamentalizmów religijnych? Bo one mają świat wartości za sobą, a jednocześnie pozbawiają człowieka wolności. Myślę nie tylko o świecie muzułmańskim, ale i o państwach, które – tak jak Polska – wyrastają z chrześcijaństwa, a stają się w gruncie rzeczy systemami fundamentalistycznymi, niszczącymi wartości liberalne. A jeśli korzenie religijne – w jakiejś mierze wynikać to może z wyrobionych przez setki lat klisz kulturowych? Ryszard Kapuściński kiedyś mówił, że za wszystkim stoi kultura.

Samuel Huntington twierdził to samo. Tyle że Kapuściński opisywał to na podstawie intuicji i kontaktu z kulturami, do których miał ogromny szacunek. Sprawilo to, że był kimś więcej niż reporterem czy publicystą. Był pisarzem, a często – poetą. Szczególnie cenne i profetyczne są jego rozważania na temat Innego. Natomiast Huntington, którego *Zderzenie cywilizacji* jest w dzisiejszych debatach rzadko przywoływane, miał wiele bardzo trafnych spostrzeżeń i prognoz na temat wojen peryferyjnych, kresowych. Natomiast, moim zdaniem, błędnie utożsamiał wielkie religie z cywilizacjami.

O ile jego oceny świata islamu, a w szczególności krajów arabskich, trafiły mi do przekonania, to rozważania na temat zasadniczych różnic w trzech nurtach cywilizacji chrześcijańskiej wydają mi się wyolbrzymione i dosyć sztuczne. Rzecz jasna, kiedy myślimy o cywilizacjach, to obejmują one również religie, ale nie są z nimi tożsame. Chrześcijaństwo jest w Europie religią dominującą, ale podziały przebiegają inaczej, niż pisał o tym Huntington, który uważał, że prawosławie to odmienna cywilizacja. A jeszcze inna jest cywilizacja protestancka. W Europie Zachodniej łatwo dostrzec linie podziału między Europą „Marty” (protestantyzm) a Europą „Marii” (katolicyzm) – te linie nie przebiegają między państwami, ale wewnątrz państw i poprzez państwa. Prawdą jest, że między Rosjanami a Grekami i Serbami jest więcej wzajemnego zrozumienia i zapewne w tym przypadku prawosławie odegrało historycznie swoją ważną rolę. Narody te są sobie bliskie i mają poczucie duchowej wspólnoty. Historycznie bardzo złożone były relacje katolików

i protestantów. We Francji i Niemczech oraz Austrii i Szwajcarii protestantyzm i rzymski katolicyzm nie wpływają na podziały polityczne w tych państwach, jakkolwiek stanowią istotny składnik różnicowania kultury i tożsamości wyznawców tych odłamów chrześcijaństwa. Francja uważana jest za najstarszą córkę Kościoła katolickiego, ale znaczna część tego kraju jest protestancka. Podobnie w Austrii i Niemczech. W Europie Środkowej katolicyzm dominuje w Polsce, Słowacji i Chorwacji, W Czechach od czasów Husa – protestantyzm, w Rumunii, Bułgarii i Serbii – cerkiew prawosławna.

A gdzie w tym jest Polska? Czy nie jest przykładem społeczeństwa złożonego z dwu społeczeństw? Z jednej strony jest ten wielki krok do mądrej westernizacji. Ale z drugiej to nie tylko obsesyjni politycy, to całe olbrzymie pokłady kulturowych uprzedzeń, miazmatów, niechęci, fobii wobec obcych. Takie, przepraszam, orientalne podejście...

Polska jest bardzo pozytywnym przykładem pokojowego sprzeciwu społeczeństwa wobec narzuconego Polsce reżimu monopartyjnego. I nie tylko dlatego,

Państwa autorytarne oferują dziś światu chińską podróbkę. Czasami, gdy kupujemy zegarki dobrych szwajcarskich marek, to po bliższym przyjrzeniu okazuje się, że są to plastikowe podróbki, których czas trwania jest krótki. Wszystkie te „nieoliberalne”, „suwerenne” i „narodowe” pseudodemokracje i wartości ukrywają w swej istocie próby utrzymania autorytarnych rządów bezprawia i ograniczania obywatelskich swobód.

że uważało go za sowiecki czy też rosyjski – co gorza, uważało go za bolszewicki, pamięć o którym stała się od wojny 1920 roku częścią narodowej świadomości. Krótko mówiąc, zdecydowana większość społeczeństwa postrzegała narzucony system jako obcy. Elity liberalno-demokratyczne, które zjednoczyły się w ruchu „Solidarności” i przewodziły procesowi przemian w ciągu 25 lat, zdołały zapewnić Polsce ćwierć wieku spokojnego, dynamicznego i bezkrawawego rozwoju. Co więcej, Polska dokonała – zaskakującego obserwatorów – skoku cywilizacyjnego. I oto nagle, w ostatnich latach następuje pod hasłami „dobrej zmiany” odwrót od tego, co było bezprecedensowym sukcesem i zapewniło Polsce respekt oraz uznanie w świecie. Do roli symbolu prowincjonalności urosło pojęcie Pcmia. Przez znaczącą część społeczeństwa jest to postrzegane jako zejście z drogi przemian demokratycznych i praworządności.

Krokiem, który może prowadzić do marginalizacji i osamotnienia Polski, jest orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego z 7 października, jakoby przepisy Traktatu o Unii Europejskiej są sprzeczne z naszą konstytucją. Tak nie jest. Trybunał wyraził swoje stanowisko polityczne, a nie prawne. W narodowym sporze wokół miejsca i roli Unii stanął po stronie jej

przeciwników. Decyzja ta może mieć dalekosiężne negatywne skutki i zapoczątkować Polexit.

Takie wewnętrzne podziały nie dotyczą tylko naszego regionu. Niepokój demokratycznego świata budzą wyniki wyborów w USA – wygrał Biden, ale Trump uzyskał poparcie blisko połowy amerykańskiego elektoratu.

Europejczycy pocieszają się tym, że coś takiego nie wydarzyło się w najważniejszym kraju europejskim, jakim są Niemcy. Również wyniki wyborów w Norwegii i innych krajach skandynawskich są znakiem, że sygnały o zmierzchu demokracji są przedwczesne. **To kto lub co ponosi winę, że w Polsce, dziś kraju jednolitym narodowo i kulturowo, dość zamożnym, istnieją takie dziwaczne, tak mocne podziały?**

Sytuacja u nas trochę przypomina tę w Stanach Zjednoczonych. Pisze o tym interesująco Jarosław Bratkiewicz w wydanej ostatnio przez krakowską oficynę Universitas książce *Eurazjyzm na wspak. Polscy tradycjoniści przeglądają się w zwierciadle Eurazji i udają, że to nie oni*. Polecam lekturę. Mamy znaczną część społeczeństwa, którego dziadowie cierpieli. I to nie przypadek, że w ostatnim czasie pojawiło się u nas kilka książek, które opisują po raz pierwszy w sposób niezwykle syntetyczny i pogłębiony, udokumentowany, jak dalece pańszczyzna zmieniła mentalność polskiego społeczeństwa. To nie było niewolnictwo, ale – powiedzmy sobie szczerze – to było bardzo bliskie zniewoleniu. I jeśli uważamy, że w Stanach Zjednoczonych podział społeczeństwa sięga korzeniami tamtego okresu, tej dyskryminacji egzystencjalnej, gdy znaczna część narodu nie była traktowana jak równi obywatele, to trzeba pamiętać, że w Polsce przetrwała ta dyskryminacja do końca zaborów, a nawet częściowo i okresu międzywojennego. Pewne postawy były utrwalane w Polsce Ludowej, której propagandowe hasło – „rządy Partii – rządami Narodu” – nie sprzyjało kształtowaniu postaw obywatelskich. Była też w Polsce silna tradycja swobód szlacheckich, ale też swobód bogatego chłopstwa, która stała się podstawą anarchizacji życia – „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie”. To wszystko ma długie trwanie i głębokie korzenie. To nie jest wynik jakiegoś zdarzenia. Powiem żartobliwie: to nie jest wina Tuska...

Panie Profesorze, dziękujemy bardzo za rozmowę.



Witold Beres – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków”.



Krzysztof Burnetko – niegdyś wieloletni dziennikarz „Tygodnika Powszechnego”, później tygodnika „Polityka” (z którym współpracuje do dziś), pasjonat nart i autor wielu książek, z których najmilej wspomina te o Marku Edelmanie.

PORTRETY 2021

Opracował Krzysztof Burnetko

Oto kolejne propozycje do trzeciej już edycji organizowanego przez „Kraków” konkursu na najlepsze dzieło biograficzne roku – PORTRETY. Przypomnijmy: chodzi o książkę, spektakl, film, wystawę bądź inną formę przedstawiającą ludzi, środowiska, pokolenia, wreszcie miejsca z mniej lub bardziej odległej przeszłości, które mogą wciąż na nas oddziaływać bądź po prostu i dziś być ciekawe. Spośród ponad setki kandydatów trójkę laureatów wybiera jury związane z kręgiem naszego miesięcznika, a niezależnie swoją nagrodę przyznają też Czytelnicy.

Kiedy minionej zimy tragicznie zginął, ratując z nurtów Narwi swojego psa, w wielu wspomnieniach padała uwaga, że umarł tak, jak żył – próbując pomagać innym. Faktycznie, cała jego (niemal trzydziestoletnia!) aktywność w opozycji demokratycznej czasów PRL, prócz naturalnego w autorytarnym państwie wymiaru politycznego, polegała w istocie na wspieraniu krzywdzonych – choćby robotników Ursusa i Radomia nękanych po strajkach 1976 roku (w ramach KOR) czy więźniów politycznych (tu począwszy od lat 60. ubiegłego wieku). Sam też oczywiście musiał kryć się przed policją i wielokrotnie trafiał „pod celę”.

Co ważne, wszystko to robił z wielką naturalnością, bez cienia zadęcia, nawet w realnym socjalizmie ciesząc się życiem: rozmowami z przyjaciółmi (głównie warszawskimi, ale i krakowskimi, rosyjskimi oraz czeskimi), towarzystwem pięknych kobiet, słuchaniem rocka, winem.

Na dodatek do antykomunistycznej opozycji trafił z komunistycznego domu – jak wielu innych przedstawicieli pokolenia Marca '68, co też jest ciekawym wątkiem.

On też był jedną z najpiękniejszych postaci opozycji demokratycznej i prawdziwej „Solidarności” czasu PRL. Dowodem – tym wymiernym – są kolejne odsiadki w więzieniach i na „dołkach”, ale też ucieczki policji i skala knucia. Także w świecie polityki III RP, tym jeszcze pełnym ideałów i klasy, urzekał tyleż niebywałą pracowitością, ile wielką skromnością oraz determinacją połączoną z optymizmem – także w złych czasach. Mawiał – i to z dumą – że to wszystko jest wynikiem jego chłopskiego pochodzenia.

W wydanym wyborze tekstów zmarłego przed rokiem Henryka Wujca (i wspomnień jego przyjaciół) są opowieści o dawnych czasach – tych spędzonych na wsi pod Biłgorajem, a potem w opozycyjnych kręgach Warszawy. Jest o inspiracjach myślowych i duchowych. Heniek (miałem zaszczyt go znać, stąd ta forma) nie krył przywiązania do wiary – jak

O wszystkim tym Jan Lityński pisze nie dość, że warto, to uczciwie. Anegdoty z więzień, opozycyjnych (a często też kulturalnych) salonów i barwne opisy współtowarzyszy przeplatają się uwagami dotyczącymi rodzimej historii. Są wspomnienia historycznych wydarzeń – pierwszego pocałunku, kabaretów STS, spektaklu *Dziadów* 30 stycznia 1968, spotkania działaczy KOR z ludźmi Karty 77 – w tym z Václavem Havlem na Śnieżce, Sierpnia 1980. Są próby wyjaśnienia ludzkich wyborów – zaangażowania i poświęcenia, ale także małostki czy zdrady. Jednym słowem: kawał dziejów Polski, relacja o ważnym dla niego środowisku i pokoleniu, świadectwo pięknego, bo mądrego, odważnego i radosnego życia.

Tym większa szkoda, że pisanie tych wspomnień przerwała śmierć – kończą się na 13 grudnia 1981 roku, a przecież Janek udzielał się też w podziemnej „Solidarności”, przy Okrągłym Stole i w wolnej Polsce.

Jan Lityński, *Ucieczka do wolności. Autobiografia*, Znak, Kraków 2021.



przyznawał: „trudnej, poszukującej, niekonsekwentnej”. W Ewangelii i chrześcijaństwie – niekoniecznie w wersji najpopularniejszej nad Wisłą – szukał wartości i siły.

Są też uwagi o polityce w wolnej już Polsce – te z czasem coraz smutniejsze. Jednak Heniek nie byłby sobą, gdyby nie zasugerował sposobu na wyjście z zapaści: „Nie mogę myśleć tylko o sobie, nie mogę zostawić innych. Póki to jest w mojej mocy, muszę z innymi razem pokonywać bezsens tego świata”.

A wśród kilku wierszy – bo ich też próbował – jest *Bełzec '42* o żydowskiej dziewczynie z dzieckiem, która próbuje uciec przed oprawcami i szuka schronienia w polskim domu. Wstrząsający zwłaszcza dziś.

Henryk Wujec, *Nadać sens temu światu. Felietony, wiersze, wspomnienia*, Znak, Kraków 2021.



Godność z Bodnarem

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcia: Grzegorz Kozakiewicz

Adam Bodnar odebrał z rąk prezydenta Jacka Majchrowskiego przyznawany przez redakcję miesięcznika Kraków Medal „Za mądrość obywatelską” przy dźwiękach hejnału mariackiego, gitary Leszka Wójtowicza i poetyckich strof Macieja Stuhra.



To była uroczystość w iście krakowskim stylu, poprzedzona hejnałem mariackim, który w sali obrad magistratu o godzinie 12 uroczystość odtrąbił strażak. No, ale jaki charakter mogło mieć wręczenie nagrody tak znakomitej osobistości jaką jest Adam Bodnar. I to nagrody, którą prof. Jacek Majchrowski publicznie uznał za jedną z najlepszych wizytówek miasta. – Medal „Za mądrość obywatelską” to odznaczenie będące symbolem nowoczesnego patriotyzmu, podkreślające rangę Krakowa jako współczesnego, otwartego miasta, opowiadającego się po stronie pluralizmu i wspierającego „pozytywistyczny” model miłości i pracy dla kraju – dodał w swoim wystąpieniu prezydent, zwracając się do bohatera wydarzenia i zaproszonych gości.

Zanim to jednak nastąpiło, mogliśmy usłyszeć dźwięk gitary i mocny głos Leszka Wójtowicza, który wykonał *Moją litanię*. Nie

bez powodu redakcja miesięcznika zaprosiła na to spotkanie piwnicznego barda. Od lat śpiewa on o sprawach trudnych, ale bardzo istotnych dla Polski, a jego teksty, choć pisane w innej epoce, są niestety wciąż aktualne. Wójtowicz niczego nie owija w bawełnę i wprost mówi o tym, co szwankuje w naszym państwie. Podobnie jak laureat naszego odznaczenia Adam Bodnar, który wysłuchał ballady w skupieniu, tak jak słów Jacka Majchrowskiego. Prezydent Krakowa przedstawił bohatera uroczystości jako wybitnego prawnika i działacza na rzecz praw człowieka w latach 2010–2015, a także wiceprezesa Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka i najdłużej urzędującego rzecznika praw obywatelskich od momentu powstania tego urzędu w Polsce.

– Zadaniem rzecznika praw obywatelskich jest zawsze patrzenie władzy na ręce

i interweniowanie, gdy przynależne ludziom prawa nie są respektowane – mówił prezydent. – Rzecznik praw obywatelskich to ktoś, kto zawsze staje po stronie słabszego w nierównej walce z instytucjami państwa. Adam Bodnar dbał o to, by słabsi nie pozostawali bezsilni i niewidoczni. Po objęciu stanowiska zatroszczył się o najbardziej potrzebujących, powołując Komisję ds. Przeciwdziałania Bezdomności. Apelowwał do ministrów

człowieka w Polsce. Aby przeciwdziałać zagrożeniom dla demokracji, był skłonny pracować ze wszystkimi organizacjami i działaczami upominającymi się o najuboższych. W przeciwieństwie do jego krytyków nigdy nie kierował się kryteriami natury ideologicznej, na pierwszym miejscu stawiając dobro obywatela. Na koniec prezydent zacytował Deklarację Światowej Konferencji Praw Człowieka w Wiedniu z 1993 roku: „Wszyst-



Leszek Wójtowicz

w sprawach świadczeń dla osób z niepełnosprawnościami i ich opiekunów, ratował przed eksmisjami i podnosił temat pomocy medycznej dla seniorów. Dbął o zapewnienie ochrony danych osób poddawanych badaniom genetycznym, walczył o poprawę wyżywienia w szpitalach i postulował o opiekę nad rodzinami marynarzy, którzy zginęli na morzu. Wyróżnił się jako rzecznik praw obywatelskich nie tylko długością kadencji. Liczba jego interwencji i środowisk, o które się troszczył, jest znacznie większa od działań jego poprzedników na tym stanowisku.

Prof. Jacek Majchrowski podkreślił też, że Adam Bodnar z odwagą i determinacją walczył o zapewnienie ochrony zagwarantowanych przez Konstytucję RP praw socjalnych. Piętnował systemowe uchybienia, wieloletnie zaniedbania władzy i ostrzegał przed prawnymi lukami w ochronie praw

człowieka są uniwersalne, niepodzielne oraz współzależne i wzajemnie powiązane”. I dodał, że jej słowa doskonale pasują do postawy Adama Bodnara nie tylko jako rzecznika, społecznika i prezesa Fundacji Helsińskiej, ale przede wszystkim jako człowieka i świadomego obywatela Rzeczypospolitej Polskiej.

O wyjątkowości Adama Bodnara mówił także w swojej laudacji Maciej Stuhr. – Zastanawiając się, jak w lapidarny sposób oddać rangę tej chwili i powiedzieć coś o laureacie i naszych uczuciach z nim związanych, doszedłem do wniosku, że odpowiednią formą tego przemówienia będzie poezja. W końcu jesteśmy w Krakowie, gdzie poezja jest zaraźliwa. Jest dużo bardziej zaraźliwa niż homoseksualizm, którym mimo wielu lat i kontaktów, czasami uporczywych, nie udało mi się do dziś zarazić. A poezją, owszem.



Maciej Stuhr

„Marzę o Bodnarze”

Gdy w narodzie ciuteńkę zachwieje się wiara, wołać Bodnara.
Gdy za twe poglądy spotyka cię dziś kara, wzywaj Bodnara.
Gdy kobita zbyt przykuta do gara, dzwoń po Bodnara.
Gdy policjant ci pałą niewinnie przydzwoni, powiedz to Bodnarowi.
Gdy nieletnim alkohol serwują za barem, łap kontakt z Bodnarem.
Gdy buldożer chce lasów zagarnąć hektarów, szykuj patrol Bodnarów.
Jak nazwisko Szpakowski pasuje do Darka, tak prawo do Bodnarka.
Jak Pałac Zimowy kojarzy się z carem, tak godność z Bodnarem.
Jak przebranie kibola zdobi wielka dziara, tak szlachetność Bodnara.
Jak wysokiej sztuce brakuje pijarów, tak Polsce Bodnarów.
Nie drzyj się Wisła, Legia, Arka, krzycz kocham Bodnarka.
Gdy polityk bezwstydnie podwaja swe gaże, przybądź Bodnarze.
A że majątkiem on chętnie dzieli się z żonką, możesz przybyć z małżonką.
Wdzięczność składamy Ci w darze, Bodnarze.
Czy jestem na marszu, czy na zakupach w Zarze, myślę o Tobie Bodnarze.
Trafiasz w okienko ze swą każdą opinią, niczym jakiś Bondarinio.
Upadała z hukiem madame Bovary (i), nie znał jej Bodnari.
Italia z mafią przegrała z kretesem, nie było tam Bodnaresa.
W Rosji Putin, w Rosji Stalin, przydałby się aviomarin, a najlepiej Bodnarin.
Po Krakowie dzisiaj łązę, dobrze, że jesteś Bodnarze.
Bo dna żem jeszcze nie dotknął, Bodnarze.
A że nadziei na czas lepszy trochę posiadam,
Niech żyje długo Bodnar!
Niech żyje Bodnar Adam!

Wiersz, który napisałem, jest wstrząsający i wzruszający, więc jeśli ktoś dozna wzruszenia lub wstrząsu, jest to efekt zamierzony przez poetę. Wiersz posiada również wiele środków wierszotwórczych i lingwistycznych, o czym świadczy już jego tytuł *Marzę o Bodnarze* – wyznał aktor, którego recytacja szczerze rozbawiła laureata i siedzących w magistrackich ławach gości.

Bohater utworu podziękował za niekonwencjonalną laudację, sam wygłaszając

równie nietypową mowę. Złożyło się na nią kilka zaskakujących scen, które pozwalamy sobie przytoczyć na naszych łamach.



Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Mar-ki Radia Kraków. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...

Mowa Adama Bodnara

wyłoszona podczas wręczenia Medalu „Za mądrość obywatelską”

Te prawie sześć lat wykonywania zadań w charakterze rzecznika praw obywatelski było niezwykle intensywnym doświadczeniem, pełnym wzruszeń i sytuacji zaskakujących. Chciałem się z Państwem podzielić kartkami z kalendarza, które mam przed oczami, kiedy wspominam czas pełnienia tej funkcji.

Kartka pierwsza

Jest lipiec 2017 rok. W całej Polsce trwają bardzo intensywne protesty dotyczące niezależności sądownictwa. W tym czasie w senacie toczą się prace nad ustawą o Sądzie Najwyższym, którą już przyjął sejm. Chodziło w niej o to, że wszyscy sędziowie Sądu Najwyższego mieli odejść natychmiast w stan spoczynku, a później minister Ziobro miał ręcznie wskazywać tych, którzy zostaną. Kiedy przyszedł moment mojego przemówienia, za oknami tłum zaczął skandować: „Będziesz siedział, będziesz siedział...”. To było ciekawe doświadczenie, choć tak naprawdę od razu pomyślałem, że te głosy jednak nie są chyba na mój temat.

Kartka druga

Początek 2018 roku. Trwają manifestacje przeciwko tak zwanym miesięcznikom smoleńskim. Do biura rzecznika praw obywatelskich zwraca się pewien dżentelmen, prosząc nas o interwencję. Twierdzi, że jest szykanowany za swój udział w demonstracji. Wysłałmy więc w jego sprawie profesjonalne pismo. Chciałbym Państwu zacytować tu odpowiedź, którą dostaliśmy od inspektora policji w Warszawie. Píše on tak:

„Odpowiadając (...) na korespondencję (...) dotyczącą skargi R...S... z dnia 18.01.2018 roku informuję, że w dniu 10.07.2017 roku w godzinach 20.25 w Warszawie na ul. Plac Zamkowy 1 policjanci podległej mi jednostki podjęli i n t e r w e n c j ę oraz wykonali czynności służbowe z udziałem R.S., który w trakcie zabezpieczenia zgromadzenia publicznego wykrzykiwał słowa, cyt. »Lech Wałęsa«, czym dopuścił się popełnienia czynu zabronionego o znamionach wykroczenia określonego w art. 52 § 2 pkt 1 ustawy z dnia 20.05.1971 roku Kodeks wykroczeń, cyt. »Kto: przeszkadza lub usiłuje przeszkodzić w organizowaniu lub w przebiegu niezakazanego zgromadzenia«”.

Jak widać, w naszych czasach skandując słowa „Lech Wałęsa”, można dopuścić się wykroczenia.

Kartka trzecia

Rok 2016. Jestem w Suwałkach na jednym ze spotkań regionalnych. Obywatele, którzy się na nim pojawili, mówią o różnych rzeczach. Jeden mówi o wiatraku, który jest za blisko, drugi o nowo wybudowanej drodze, która narusza prawo, trzeci o braku jakichś świadczeń, czwarty o złym przeliczeniu emerytury, piąty przedstawia kwestie związane z działalnością prokuratury. I nagle pojawia się pani, która prosi, żeby w wypowiedzi pomógł jej tłumacz języka migowego, bo ona sama jest osobą niesłyszącą. Migając, opowiada nam o swoim synu, który jest szykanowany w szkole za to, że jego mama jest osobą niesłyszącą. Koledzy powtarzają mu: „Twoja mama mówi jak pies”. I ona prosi nas o radę, bo nie wie, jak ten problem rozwiązać. Nagle wszyscy ludzie w sali zamilkli, gdyż zorientowali się, że ich problemy życiowe są nieważne w porównaniu z traumą tej pani.

Na koniec spotkania moja koleżanka z biura powiedziała: „Słuchajcie, to może podziękujemy tej pani wszyscy, używając języka migowego”. I proszę sobie wyobrazić ponad 60 osób, które nagle zaczęło wykonywać ruchy, jakby wkręcało żarówki, bo tak się w języku migowym mówi „brawo”. To było wzruszające, pokazało, z jakimi problemami mierzą się w Polsce osoby niesłyszące.

Po powrocie do biura stwierdziliśmy, że musimy coś z tym zrobić. Odwiedziłem więc tego chłopca w domu. Zorganizowałem też dla całej jego klasy wycieczkę do Warszawy, by dzieci zobaczyły, w jaki sposób pomaga się osobom z niepełnosprawnościami, jak tworzy się dla nich normalne warunki funkcjonowania. Pamiętam wzruszenie tych dzieciaków, kiedy zwiedzały Stadion Narodowy i oglądały różne udogodnienia dla osób z niepełnosprawnościami. A ten chłopiec, który był szykanowany, dzięki tej wycieczce stał się bohaterem w swojej szkole.

Kartka czwarta

Rok 2021. Kołobrzeg. Trwa Tour de Konstytucja. Na sam koniec kadencji mocno się zaangażowałem w tę akcję. Było mnóstwo wrażeń, mnóstwo spotkań, ważnych momentów, ale zapamiętałem najlepiej scenę właśnie z Kołobrzegu. Przyszło jakieś 150 osób, naprawdę sporo ludzi. Na koniec podchodzi do mnie pewna pani i zaczyna opowiadać taką historię: „Panie rzeczniku, chciałam podziękować za to, że państwo pomogli mojemu synowi. Dziękuję za to, że podjęliście interwencję,



kiedy media poinformowały, iż policja znęcała się nad nim przy pomocy paralizatora. Dzięki temu sprawa nie została zamieciona pod dywan. Policjantów skazano, a syn uwierzył w sprawiedliwość. Przeszedł odpowiednią terapię i teraz jest studentem na jednym z uniwersytetów”. To co się stało, jest dowodem na to, że jeżeli wszystko jest w Polsce poustawiane tak jak trzeba i reagujemy stosownie do sytuacji, to jesteśmy w stanie pomóc komuś wyjść nawet z potężnych traum. Bardzo byłem wzruszony po tym spotkaniu.

Kartka piąta

Warszawa, lipiec 2021. Dom na Żoliborzu. Zamieszanie, gwar, aparaty, kamery. W kuchni krząta się Madina, uchodźczyni z Czeczeni, która przygotowuje pochodzące z jej rodzinnych stron potrawy i częstuje nimi obecnych. Pomaga jej w tym gospodyni domu. Okazuje się, że właśnie razem przygotowują książkę kucharską z potrawami kuchni czeczeńskiej. Wszystko to było możliwe, ponieważ pewna warszawska rodzina z Żoliborza, ale także częściowo z Krakowa, postanowiła wziąć pod swój dach uchodźców, udzielić im schronienia, wsparcia, zrozumieć potrzeby. Trochę tak, jakby ta rodzina stosowała się do zasady: „Kto ratuje jedno życie, jakby cały świat ratował”.

To był dla mnie zaszczyt, że mogłem gościć u nich w domu i poznać rodzinę czeczeńską.

Jak widzę takie postawy, to zdaję sobie sprawę, że ta moja codzienna rzeczniczka krzątająca, te różne codzienne sprawy, interwencje, działania miały tak naprawdę niewielkie znaczenie. Bo w gruncie rzeczy chodzi o to, jak my wszyscy będziemy zachowywali się w obliczu kryzysu, jak będą zachowywali się sędziowie, którzy są poddani presji, jak będą się zachowywali obywatele, którym rzeczywistość mówi, że to jest ten moment, kiedy trzeba okazać solidarność, empatię. Jak będziemy pomagali osobom, które są dyskryminowane ze względu na swoją orientację seksualną, tożsamość płciową. Czy będziemy w stanie wyjść poza własne ograniczenia, obawy, lęki, poza własną strefę komfortu. Słowem, jakimi będziemy ludźmi i czy swoimi czynami, czasami drobnymi, a czasami wielkimi, jak przyjęcie pod dach rodziny uchodźców, będziemy pokazywali, że na tym polega rzeczywista służba prawom człowieka. Mam nadzieję, iż moja praca i działania na rzecz społeczeństwa obywatelskiego spowodują, że może trochę więcej osób będzie w ten sposób myślało i dzięki temu uratujemy nasze wartości demograficzne i nasze człowieczeństwo.

Historia odtruta

Tekst: Krzysztof Burnetko

Szkice te możliwe są tylko dzięki erudycji i świetnemu pióru. Wszystko bliskie jest zasadom i stylowi nieodżałowanych mistrzów rodzimej historiografii: Pawła Jasienicy czy Pawła Zaremby.

Zaczyna się od rachunków. Dość zdumiewających. Autor pisze: „Obliczyłem: moje dotychczasowe życie to prawie siedem procent całej historii Polski – poczynając od Mieszka I. Czyli nasza historia jest wciąż jeszcze bardzo krótka. Ale to tłumaczy także śmiałość, z jaką w tej książce poruszam się w czasie od XI do XXI wieku. Oraz osobisty ton, przybierający nierzadko charakter wspomnienia”.

Faktycznie, Andrzej Romanowski (dla niezorientowanych: literaturoznawca z UJ i historyk PAN oraz szef *Polskiego Słownika Biograficznego*, a także członek zespołu „Krakowa”) zaczyna swoje refleksje nad rodzimą historią i tradycją, politycznymi wyborami, ale i – co najważniejsze – meandrami narodowej mentalności od samych początków państwa polskiego, bo roku 1013. Wtedy to bowiem doszło do ślubu, który – poza wszystkim – wprowadził *de facto* na Wawel (czyli do Polski) Europę. Wszystko za sprawą Rychezy, siostrzenicy cesarza Ottona III, która została poślubiona – z woli wuja oczywiście – przez Mieszka, syna polskiego władcy Bolesława (Chrobrego). To Rycheza ściągnęła do Krakowa niemieckich budowniczych, by wzniesli na wzór koloński pierwszą wawelską katedrę, a potem być może zbudowała też rotundę Najświętszej Marii Panny (zwaną później rotundą św. św. Feliksa i Adaukta). A jej i Mieszka synowi dano słowiańskie imię Kazimierz, lecz na drugie Karol – na znak łączności z cesarską tradycją Karola Wielkiego (syn po latach stanie się odnowicielem piastowskiego państwa). Córka zaś ich Gertruda będzie nie tylko księżniczką ruską, ale i spisując układane przez siebie modlitwy pierwszą polską pisarką tworzącą w języku Rzymian (choć znacznie już wtedy przekształconym): po łacinie. Piękna historia, nieprawdaż?

Tyle tylko że tak mądra i tak europejska żona z czasem się Mieszkowi znudziła. Wziął na zamek miejscową krasawicę, a królową z cesarskiego rodu odsunął. Także poddany przestali się podobać obcy – ci wszyscy niemieccy rzemieślnicy, księża, a zwłaszcza urzędnicy, którzy w potocznym odbiorze wyciskali tylko od ludu daniny – co z tego, że na polecenie polskiego władcy i na potrzeby polskiego państwa. Poddani mieli zresztą dość również chrześcijaństwa. Wstali z kolan. Mieszko na dodatek w niszczycielskim szale spustoszył Saksonię, co zostało potraktowane jako atak na chrześcijańską Europę. „Polska barbaria przedarła się przez sztucznie narzucony, europejski polar”. W efekcie natychmiast rozpętało się piekło: „polskie imperium uznano za sąsiada nadto już dokuczliwego” i ruszyły nań wojska z dwu stron – zachodu i wschodu. „Rycheza musiała uciekać, a razem z nią uciekła z Polski Europa”. A Mieszko? Został pojmany w Czechach i tam wykastrowany... Nad Wisłą zaś wróciły anarchia i pogaństwo.

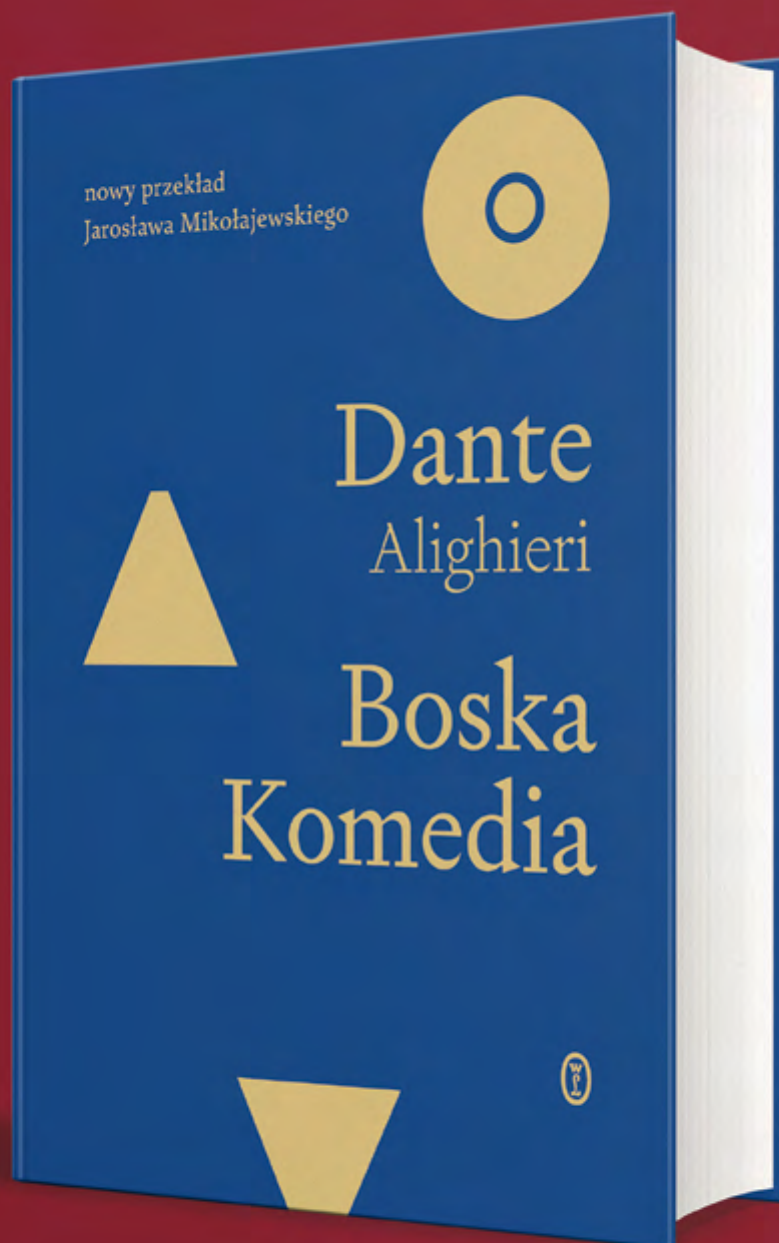


Właśnie za pomocą tak mało znanych, a często nieoczywistych wątków Andrzej Romanowski opowiada też o polskich relacjach z Żydami, Ukraińcami, Rosją i Niemcami. W podobnie oryginalny sposób opisuje losy swoich mistrzów i antybohaterów. Efektem jest złożony, a na pewno skłaniający do namysłu obraz polskich dziejów. Bywają w nich karty piękne, bywają przerażająco obrzydliwe, bywają i smutne, bo świadczące o zwyciężonej, a może na dodatek nie-reformowalnej, głupocie.

Sam Romanowski tak wyjaśnia ideę swojego zbioru: „Mimo wszelkich sentymentów jest to książka »na opak« – z poprzestawianymi znakami wartości. Książka opowiadająca się przeciw banalizacji historii, przeciw jej zarówno czarno-białej, jak i pokolorowanej wizji”. I dodaje: „Szkice, które pisałem przez lata, mają być odtrutką na kłamstwo, które zyskało w Polsce prawo do obywatelstwa”.

Andrzej Romanowski, *Pamięć gromadzi prochy. Szkice historyczne i osobiste*, Universitas, Kraków 2021.

RELACJA Z NAJBARDZIEJ ŚMIAŁEJ I BOGATEJ PODRÓŻY
W DZIEJACH LUDZKOŚCI – WĘDRÓWKI PO ZAŚWIATACH



Nowy przekład Jarosława Mikołajewskiego

Premiera: 3.11.2021

 WYDAWNICTWO
LITERACKIE



facebook.com/wydawnictwoliterackie
instagram.com/wydawnictwoliterackie
twitter.com/wydliit

Wrażliwość. Rozmowa przyjaciół

Tekst: Jarosław Mikołajewski i Paweł Smoleński **Zdjęcie:** z archiwum i dzięki uprzejmości Autorów

Kiedy ktoś mówi o sobie, że jest wrażliwy, można się założyć, że jest megalomanem. Gdy tak mówi o kimś – że jest banalny. A wtedy oskarżonemu o wrażliwość głupio nawet zareagować.

Paweł Smoleński: Czy istnieje coś takiego, jak wrażliwość poety? A jeśli tak, czym się różni od innych? Bo na mój nos nie ma jakiejś szczególnej wrażliwości reportera.

Jarosław Mikołajewski: Poeci – nie wiem czy wszyscy – mają jakoś tak, że ich praca odbywa się zasadniczo przed pisaniem. Po prostu są na świecie tak, jak gdyby byli odpowiedzialni za ludzi, których widzą. Za ludzi, zwierzęta, naturę. Jak gdyby byli jedynymi, którzy mają to wszystko zapamiętać. I zapisać. Nie w formie relacji, lecz treści przetrawionej. Poetyckim spotkaniem i pisaniem dają próbę ciągłości motywów, ech, uczuć i gwarantują ich nowy wyraz... Czy to jest wrażliwość? Może bardziej sposób bycia?

PS: Reporter też pracuje przed pisaniem. Z mojego punktu widzenia pisanie to niezbędny, niestety, ale przykry obowiązek. Najciekawsze odbywa się w oglądaniu świata, w rozmowach. Reszta stanowi dodatek, tyle że redakcje płacą właśnie za dodatek, a nie za istotę tego zawodu. Nadto myślę, że prawdziwa wrażliwość jest wtedy, gdy przekuwa się w coś konkretnego. Zwłaszcza w naszych czasach, kiedy ludzie zaspokajają swoją potrzebę bycia wrażliwym i dobrym, rozdając lajki na fejsie, od schronisk dla psów po uchodźców. Swoją drogą – reportaż też nie jest konkretem.

Nasz nieżyjący kumpel Krzys Miller mówił o swoich znakomitych zdjęciach z miejsc konfliktów, tułaczek, śmierci i nieszczęścia, że decyduje o nich „niedecydujący moment”. Ustawiał się w świadomej kontrze do mistrza fotografii opowiadającej Henri Cartier-Bressona, który ogłosił, że o jakości zdjęcia decyduje ta szczególna sekunda, w której zostało zrobione. Co z tego – mawiał – że moment jest decydujący, skoro nie decyduje o niczym. Mamy ładny obrazek, a życie

płynie po swojemu, dobre reporterskie zdjęcie niczego tak naprawdę nie zmienia prócz stanu portfela fotografa, jeśli dostanie tłu-stą nagrodę. Wziąłem tę Krzyśkową lekcję za własną. Reporterska wrażliwość jest na nic, bo nic nie zmienia, więc jej nie ma. Po co biednemu kwiaty.

JM: Reporterskiej wrażliwości nie ma...? Chyba masz rację. Chyba są ludzie, którzy mają swoją wrażliwość, każdy inną, i część z nich pisze reportaże. A może jest inaczej? Może tylko ci obdarzeni specyficzną wrażliwością, której teraz nazwać nie potrafię, są reporterami? A może reporterzy i poeci mają podobnie intensywną wrażliwość, tyle że jedni piszą prozą, a drudzy wierszem? Nie wiem.

PS: Po co zabierać na Sycylię dyletanta, który po włosku umie powiedzieć kilka słów: wino, grappa, amore mio, AC Milan?

JM: Bo tego dyletanta kocham. A z kimś kochanym, kto w dodatku nie wymaga obsługi, jest milej. A to, żeby było miło i ciekawie, jest treścią życia. Nie – spełnianie zadań. Wieczność chwili – o nią chodzi. Chwili, w którą się wpada i przechodzi do kolejnej chwili, w którą się wpada. I tak dalej... W tym przypadku, który zapewne masz na myśli, być z wyjątkowo byстрыm i – niech ci będzie – wrażliwym przyjacielem to tak, jakbyś nosił ze sobą ścianę, na której słowem, spojrzeniem, myślą ćwiczysz zaprzeczenie prawa, wedle którego kąt padania równa się kątowi odbicia.

PS: I znów dowiedziałem się czegoś, o czym bym nawet nie przypuszczał, że istnieje. Na dodatek zapomniałem z lekcji fizyki, co to jest kąt padania i odbicia. Ja tam wiem, po co jeździć na Sycylię z poetą. Po to choćby, żeby się nie zagubić, również w sensie bardzo dosłownym, oraz – bym dostał wyjaśnienie, kiedy jakiś Sycyliczyk mówi coś ponad niż averna, cosa nostra, curva, Syrakuzy lub Catania.



Paweł Smoleński (1959). Dawno temu pisał w drugim obiegu i do paryskiej „Kultury”. Potem, w wolnej Polsce współzakładał „Gazetę Wyborczą” (to tu opublikował w 2002 roku artykuł *Ustawa za łapówkę, czyli przychodzi Rywin do Michnika*, opisujący tak zwaną aferę Rywina, który był początkiem trzęsienia ziemi na polskiej scenie politycznej). Ale jego pasja to wolna Ukraina oraz Izrael z wszystkimi konotacjami – z trudnymi relacjami z Palestyńczykami i skomplikowaną polityką wewnętrzną. W tej pierwszej grupie są takie jego książki jak *Pochówek dla rezuna*, 2001, czy *Szcze ne wmerła i nie umrze. Rozmowa z Jurijem Andruchowiczem*, 2014. W tej drugiej na przykład *Izrael już nie frunie*, 2006, *Arab strzela, Żyd się cieszy*, 2012, czy *Bałagan. Alfabet izraelski* – uzupełniony i wznowiony w tym roku w wydawnictwie Czarne.

Jarosław Mikołajewski (1960) – poeta, pisarz i tłumacz z języka włoskiego, jest również autorem książek dla dzieci, eseistą i publicystą. Pracował w Katedrze Italianistyki UW oraz był dyrektorem Instytutu Polskiego w Rzymie. Dziś w Radiu Nowy Świat prowadzi autorską audycję *Słowo daje*.

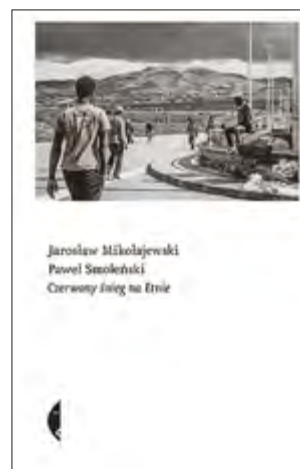
Laureat wielu nagród literackich, artystycznych i translatorskich, w tym dwukrotnie Nagrody Literackiej m. st. Warszawy.

W jego dorobku są tomiki poetyckie – między innymi *A świadkiem śnieg* (1991, Nagroda im. Kazimierzy Iłakowiczówny za najlepszy

debiut roku), *Zbite szklanki* (2010, Nagroda Literacka m. st. Warszawy), *Basso continuo* (2018, Nagroda Poetycka im. K.I. Gałczyńskiego „Orfeusz”). Jest też eseistyka – na przykład *Rzymska komedia* (2011, Nagroda Literacka m. st. Warszawy), *Szpitalne* (2018), *Cień w cień. Za cieniem Zuzanny Ginczanki* (2019, esej biograficzny, nominacja do Nagrody im. Teresy Torańskiej). Są książki dla dzieci – na przykład genialna *Wędrownka Nabu* (2016). A także tytuły dziennikarskie – między innymi *Największe szczęście, największy ból* – rozmowy z *Julią Hartwig* (2014), *Wielki przyptyw* – reportaż o Lampedusie (2015), *Terremoto* (2017) – nominacja do Nagrody Literackiej Nike 2018

No i są translacje – pisarz tłumaczył Dantego, Petrarę, Michała Anioła, Leopardiego, Montalego, Ungarettiego, Luziego, Penę, Pavese, Pasoliniego, Leviego.

Wspólnie obaj napisali *Czerwony śnieg na Etnie* (Czarne, 2021), o którym to tomie Magda Szumiec napisała celnie w miesięczniku „Kraków”: „Dwóch pisarzy i jedna wyspa, na którą każdy patrzy na swój sposób, przepuszczając to, co widzi, przez własną wrażliwość” (kwiecień 2021).



Powiem tak: poeta jest na Sycylii niezbędny. Zwłaszcza taki, z którym można przysiąc w mrocznym zaułku, zmoknąć i przemarznąć w porcie, pogadać z dziwkami w San Berillo lub patrzeć na morze i nie chcieć nic więcej.

JM: To właśnie tam wytapia się poetycka i reporterska wrażliwość... Swoją drogą: czy ktoś o dentystyczną wrażliwość zapytał dentystę, a o wrażliwość kołodziejską kołodzieja... Myślę, że lepiej słowa „wrażliwość” nie używać, bo ono spłaszcza albo ośmiesza. Podobnie jak ktoś, kto chciałby cię anektować do kręgu, do którego pozornie należy, nazywa cię nagle humanistą. „My, humaniści...”, powiada. I co z tym zrobić? Widzisz, że ten ktoś uważa, iż humanistą jest ten, co skończył klasę humanistyczną w liceum albo przeczytał dwie książki, a wiesz, że humanista to albo florencki filozof z XIV–XV wieku, albo ktoś, kto walczy o człowieka jako byt ważniejszy od systemów... Tak więc nasze dwie wrażliwości – czyli nic innego jak nasze sposoby bycia na świecie – musiały zrelacjonować się z trzecim, zbiorowym: cholernie starą wyspą. Co zawsze jest ciekawsze, niż gdyby zrelacjonowały się tylko (aż) z samymi sobą albo jeszcze z barem, w którym pijemy na osiedlu kawę... A wracając do twojego specyficznego przypadku, to, Pawełku, wytrącasz mnie z oczywistości, z prywatnego horyzontu oczekiwań wobec siebie i świata. Powtarzam od lat za Leonardo Sciascią, że Sycylia jest metaforą, ty wyśmiewasz słowo „metafora” i w końcu muszę się zastanowić, czego to jest metafora. I dochodzę do czegoś, na co nigdy wcześniej nie wpadłem: że Sycylia jest metaforą przez to, że jest sobą i jeszcze czymś innym. Nie da się powiedzieć czym, ale da się powiedzieć, że coś oznacza, i że nie należy zatrzymywać się tylko na jej pierwszym piętrze. Koń jest koniem, koń jaki jest, każdy widzi... Pomijając już to, że wcale nie wiemy, jaki jest koń (czym jest koń Inkipo Adama Ważyka?), tylko mamy czelność uważać konia, którego widzimy, za wszystko, czym koń może być, nawet w swoim końskim życiu duchowym i cierpieniu, w przypadku tej wyspy

nawet na kretyńskim poziomie nie wystarczy nam zdanie Sycylia jest Sycylią. Czujemy, że ona wcale tym nie jest. I ja tego dowiaduję się od ciebie, przyjacielu. Ot i mniej więcej sprawcza siła twojej poetyckiej, reporterskiej, kołodziejskiej i dentystycznej wrażliwości.

PS: Dla mnie Sycylia to była lekcja gościnności. Kiedy widziałem Adamę, chłopaka po straszliwych przejściach, uciekiniera z Mali zaopiekowanego tak bardzo, że dzisiaj może jeździć do ojczystego kraju z włoskimi papierami, uznałem, że Sycylijczykom możemy tylko zazdrościć. Poczuję też wstyd, że kiedy u nas powtarza się z uporem maniaka, iż każdy z nas to „Polak mały”, żyjący „między swemi”, to tam, w miejscu największych europejskich i bliskowschodnich cywilizacji, mieszających się ze sobą od tysięcy lat, „między swemi” oznacza z potrzebującymi, z przybyszami, z obcymi. Na Sycylii nie trzeba, jak mi się zdaje, stawiać na wigilijnym stole dodatkowego nakrycia dla nieoczekiwanego wędrowca, bo tam to nakrycie stoi w święta i w dni powszednie. Po raz kolejny zobaczyłem, jaką hipokryzją jest powiedzenie „staropolska gościnność” i wyniesiona z katolicyzmu, kwintesencji polskości, „miłość bliźniego”. Biskup Palermo daje w katolickich świątyniach miejsce wyznawcom hinduizmu, bowiem wiara jest wiarą, a duchowość – duchowością, zaś mury kościoła to tylko mury i niewiele więcej. Na południu wyspy ochrzczone dzieci mówią „ciociu” i „wujku” mieszkającym tam od wieków mużłmanom. Na Sycylii, jak powiadał św. Paweł, nie ma Greczyna ni Żyda. Są tylko ludzie. „Polaka małego” też na szczęście nie ma, więc po prostu można odetchnąć.

JM: To również zasługa tego, że sami Sycylijczycy uważają się często za kogoś gorszego, ostatniego na schodach do nieba. Każdy przybysz jest kimś, przed kim trzeba ukryć swoją wstydliwą biedę, wstydlivy obyczaj, wiejskość. Ponadto na Sycylii wszyscy ludzie zastanawiająco przypominają bohaterów Biblii, choćby Świętą Rodzinę. Kiedy przyplływają Syryjczycy, w Syryjce z dzieckiem na ręku

U nas powtarza się z uporem maniaka, że każdy z nas to „Polak mały”, żyjący „między swemi”, to tam, w miejscu największych europejskich i bliskowschodnich cywilizacji, mieszających się ze sobą od tysięcy lat, „między swemi” oznacza z potrzebującymi, z przybyszami, z obcymi. Na Sycylii nie trzeba, jak mi się zdaje, stawiać na wigilijnym stole dodatkowego nakrycia dla nieoczekiwanego wędrowca, bo tam to nakrycie stoi w święta i w dni powszednie.

widzą Madonnę z ołtarza w swoim parafialnym kościółku: taka sama chusta na głowie, równie intensywne oczy...

PS: Nasza wspólna książka to dowód, że słowo pisane jest jedno. Może być tylko dobre albo złe. Reszta się nie liczy. Nie odkrywam Ameryki, gdy powiem, że Mickiewicz pisał wspaniały poemat *Pan Tadeusz* w konwencji reportażu. Bo czym innym jest opis grzybobrania, łowów, jedzenia chłodzieńca czy zalotów, a nawet – bardzo przepraszam za śmiałość – klinicznego niemalże opisu pedofilii jaką przejawia sam pan Tadeusz w stosunku do małej Zosi, zawieszonej między dzieciństwem a półdojrzałym dziewczęństwem.

JM: Z tym dobrym słowem to prawda ponadgatunkowa. Nawet kiedy ktoś mówi o katastrofie lotniczej i analizuje, czy to wypadek czy zamach, czujemy, kiedy wypowiada się odpowiedzialnie i ze znajomością katastrof czy na czuja i ze znajomością świętego Jana z Dukli, który szybował nad Lwowem... Wiesz co? Myślę, że to kwestia wspólnej kąpieli, którą namiętnie uprawialiśmy. Rysiek Kapuściński przed pisaniem reportażu kąpał język w poezji. I dobrze robił. Bo język jednowymiarowy wykąpany w innym wymiarze traci całą chałę jednowymiarowości. Tak więc ja kąpałem język poetycki w reportażu, ty w języku wierszy, i wspólna kąpiel wyszła nam może na dobre. A co najmniej na ciekawe i piękne. Sycylijska łaźnia. A gdybyśmy pisali o Turcji, byłaby turecka, i też nie byłoby źle.

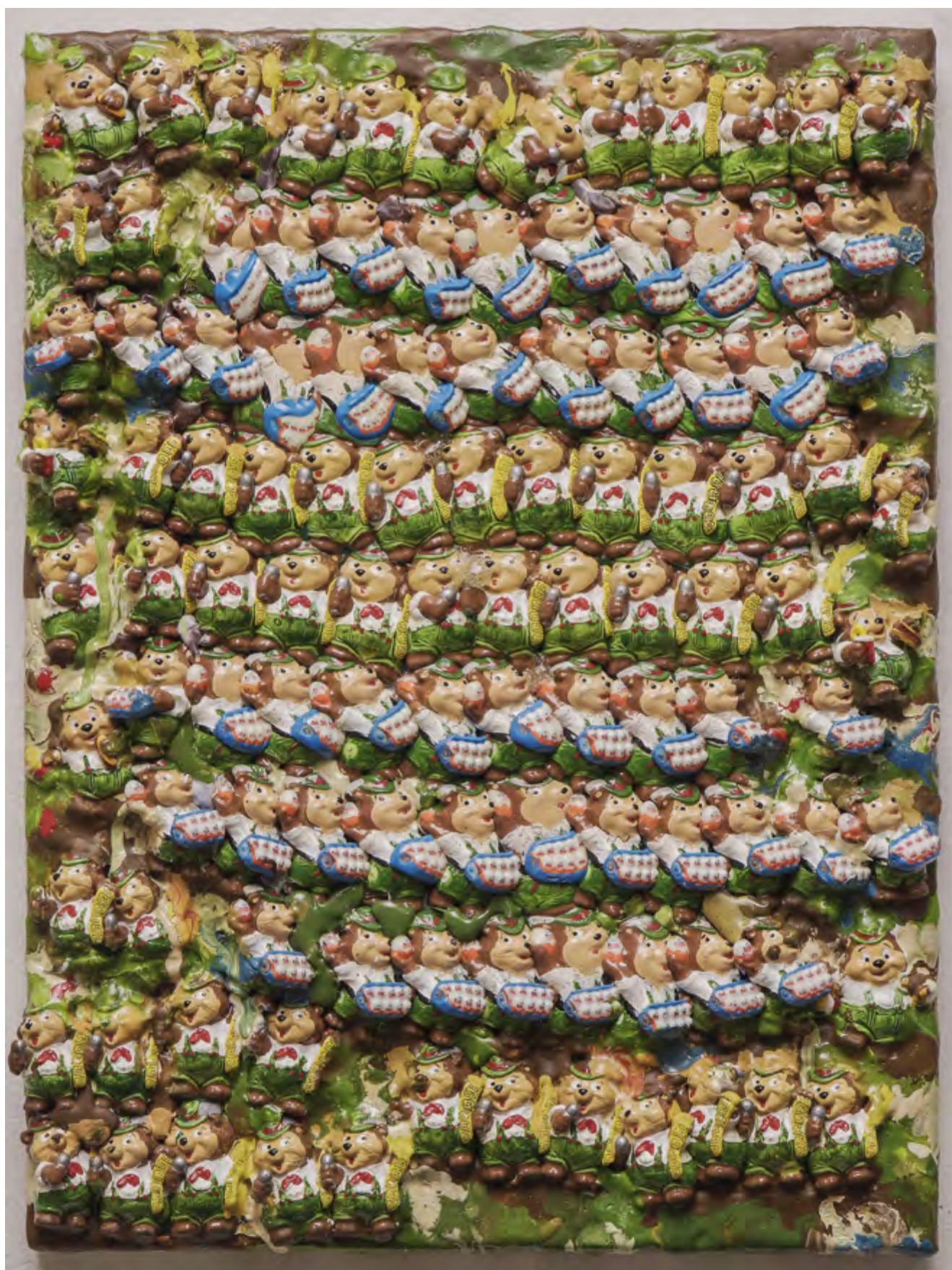
PS: A jakie są zalety podróżowania ze mną? Tylko proszę, nie mów mi o wadach, bo to jest rozmowa miła, a nie przykra. Bo podróżowanie z tobą ma zalety oczywiste: jesteś przewodnikiem, dobrym kompanem, tłumaczem. Masz w zasadzie tylko jedną wadę: twoje towarzystwo sprowadza zimny deszcz, gdy jesteśmy daleko od domu, nadto w godzinach, gdy sycylijskie bary odpoczywają, szykując się na upojny wieczór.

JM: Przy tobie chce mi się śmiać. Tak wyzwolieliście. Jakbym zrzucił z siebie zbyteczny ciężar struktur zastanych i zatwardziałych. W podróżach z tobą uwypuklają się moje zalety i wady, których ty jesteś zaprzeczeniem. Chyba dawaliśmy sobie wzajemnie pełną wolność, bez obraz, dąsów, zobowiązań z przymusu. **PS:** Howgh, jak mówili Indianie. Moim zdaniem są na Sycylii Indianie, prawda?

JM: I Żydzi. Czy wiesz, że ostatnio jeden z przyjaciół mówił mi całkiem poważnie, że trwają antropologiczne i etnograficzne rekonstrukcje tradycji, która nazywa się „polowanie na Żyda”? Nijak nie mógł pojąć, że znajduję w tej idei coś, delikatnie mówiąc, niestosownego.

PS: Sycylijszyk, niech się nad nim Pan zmiłuje, też musi niekiedy zgłupieć, żeby nie zaprzepaścić wieloletniego dorobku praktyki chrześcijańskiej, a zwłaszcza katolickiej. Żadna to dla Sycylii pociecha, że akurat w tym wypadku mało wyróżnia się na tle europejskiej tradycji, rozpowszechnionej wśród bogobojnego ludu.

Lecz przynajmniej klimat tam lepszy niż u nas. Ciepłe morze, smaczne ryby, wyborne wino, a prowincjonalne drogi tak nostalgicznie dziurawe, że przypominają PRL oraz antycypują czas przyszły, kiedy nas już w tej Unii nie będzie z racji na „Polaka małego”. W magistracie w Palermo są artefakty chrześcijańskie, żydowskie i muzułmańskie, a pan burmistrz ma rację, gdy twierdzi, że to równoprawne części składowe przeszłości jego miasta. Parę rzeczy można Sycylijszykom jednak pozazdrościć, jako że – tak mi się zdaje – Sycylijszyk jednak wraca do rozumu. U nas z tym gorzej.



Marta Antoniak, *Loteria Top Ten Teddies* (figurki, akryl, emalia), 40 x 30 cm, 2018, fot. Michał Sosna

Malewicz się wymyka

Rozmawiała Magda Huzarska-Szumiec

Marcin Wicha: Kiedy zaczynałem pisać *Kierunek zwiedzania*, miałem aroganckie przekonanie, że wiem najważniejsze rzeczy o Kazimierzu Malewiczu – choćby to, że zapoczątkował suprematyzm, a między 1917 a 1921 rokiem był ważną postacią w radzieckiej sztuce rewolucyjnej. Znałem kilkanaście jego prac, zaczynając od *Czarnego kwadratu na białym tle* poprzez kubo-futurystyczne obrazy z „cyklu chłopskiego” aż po malarstwo figuratywne, do którego wrócił pod koniec życia. Ale nie miałem pojęcia, w jak nieprawdopodobnie barwnym, burzliwym i zróżnicowanym życiu artystycznym on uczestniczył.

Kierunek zwiedzania nie jest klasyczną biografią. Jeżeli nie jest biografią, to czym ta książka jest?

Lubię określenie „książka-wystawa”. Jest to zbiór krótkich tekstów związanych z życiem Kazimierza Malewicza, z jego twórczością i epoką, w której żył. Niektóre rozdziały dotyczą też współczesności, naszych czasów i spotkań z awangardą. Potrzebowałem jakiegoś sposobu, żeby z tej mozaiki zrobić opowieść. Wybrałem strukturo-

oprowadza, wcale nie musi być tożsama z autorem.

Mimo że nie jest to klasyczna biografia, sporo można się z niej dowiedzieć o samym Malewiczu. Czy zbierając informacje na jego temat, odkrył Pan jakieś zaskakujące fakty?

Nad książką pracowałem cztery lata. Kiedy zaczynałem, miałem aroganckie przekonanie, że wiem najważniejsze rzeczy o Malewiczu. Wiedziałem, że urodził się 1879 roku, wiedziałem, że w roku 1915 zapoczątkował suprematyzm, że między 1917 a 1921 rokiem był ważną postacią w radzieckiej sztuce rewolucyjnej, z biegiem czasu zepchnięty na margines próbował wyjechać na Zachód, ale ostatecznie wrócił do Rosji, gdzie trafił do więzienia. No i że zmarł w 1935 roku w niełasce i zapomnieniu, otoczony przez niewielką grupę najwierniejszych uczniów. Znałem też kilkanaście jego prac, tych, które wszyscy jakoś kojarzymy, zaczynając od *Czarnego kwadratu na białym tle* poprzez kubo-futurystyczne obrazy z „cyklu chłopskiego” aż po malarstwo figuratywne, do którego wrócił pod koniec życia. **Zaskoczyła mnie mnogość tekstów, które Malewicz pisał – polemik, artykułów, manifestów, traktatów, wierszy, listów... Początek XX wieku to epoka, kiedy sztuka potrzebowała manifestów, deklaracji, ale u Malewicza to coś więcej. Były okresy, kiedy pisanie stawało się jego głównym sposobem ekspresji.**

Drugie zaskoczenie – chyba nie do końca zdawałem sobie sprawę, jak

Malewicz kompletnie zmienił myślenie o tym, czym jest sztuka. Zrywając z malarstwem sztalugowym, otworzył miejsce dla wszystkiego, co wydarzyło się w sztuce XX wieku. W jego pracach pojawiła się zapowiedź konceptualizmu, minimalizmu.

re wystawy. W książce występuje postać przewodnika. To on oprowadza czytelników po dziwnej, trochę zwiariowanej ekspozycji, na którą składają się wszystkie historie, obrazy i przedmioty umieszczone w osobnych salach. Dzięki przewodnikowi mogę pokazać, że opowieść jest arbitralna i subiektywna, pewne rzeczy zostały pominięte, a inne wyeksponowane. Zależało mi, żeby czytelnik miał świadomość, iż jest to czyjeś spojrzenie, a osoba, która nas



Fot. Mikołaj Starzyński / Wikimedia Commons



Fot. Paweł Krzywicki / Karakter

Marcin Wicha jest grafikiem projektującym okładki książek i czasopism, plakaty oraz znaki graficzne, a także autorem historii dla dzieci i eseistą. Do tej pory oprócz *Kierunku zwiedzania* (Karakter, Kraków 2021) opublikował *Jak przestałem kochać design* i *Rzeczy, których nie wyrzuciłem*, za którą otrzymał Nagrodę Literacką Nike.

nieprawdopodobnie barwne, burzliwe i zróżnicowane było życie artystyczne, które kipiało w Rosji przed pierwszą wojną i potem, przez pierwsze 15 lat po rewolucji. **Czy dla Pana, jako grafika, Malewicz z jego estetyką był ważnym artystą?**

Tak, choćby przez to, że kompletnie zmienił myślenie o tym, czym jest sztuka. Zrywając

z malarstwem sztalugowym, otworzył miejsce dla wszystkiego, co wydarzyło się w sztuce XX wieku. W jego pracach pojawiła się zapowiedź konceptualizmu, minimalizmu. On pierwszy wystawiał w galerii puste płótno, obrazy monochromatyczne. W jego pismach znalazł się nawet passus, że cisza może być najdoskonalszą muzyką, więc można go uznać nawet za prekursora Johna Cage'a.

Czy był też prekursorem projektowania graficznego?

Oczywiście! Futuryzm, suprematyzm, w ogóle abstrakcja miały wpływ na projektowanie graficzne. Zmieniły sposób myślenia o płaszczyźnie, linii, o literze, o dynamice tego, co się wydarza na kartce papieru. Ciekawe, jak szybko i jak gładko pomysły, wypracowane w malarstwie, weszły do języka propagandowej czy komercyjnej grafiki. Z naszego punktu widzenia są oczywistością i nie zastanawiamy się nad tym, że to wszystko wywodzi się z czasów Malewicza i jego współczesnych. Zabawnym tego przykładem jest pewna międzynarodowa firma, która nosi nazwę Czarny Kwadrat i zajmuje się projektowaniem identyfikacji wizualnej. Kiedyś zajrzałem na ich stronę i znalazłem tam cytat, że najpiękniejszą krzywą jest krzywa sprzedaży. To pokazuje, że nawet najbardziej radykalne i buntownicze gesty w historii kultury już dawno trafiły do świata reklamy i komercji.

Czytając *Kierunek zwiedzania*, można odnieść wrażenie, że w biografii Malewicza interesują Pana przede wszystkim sprzeczności, jakie w niej występują. Czy takie paradoksy, jak ten, że urodził się w polskiej rodzinie, posługiwał mieszaniną języka polskiego i ukraińskiego, a przy tym był częścią rosyjskiego środowiska artystycznego, szczególnie Pana interesowały?

Te sprzeczności są ciekawe już na poziomie anegdoty. Trudno ufać we wszystko, co Malewicz o sobie opowiadał. Za każdym razem, gdy wydawało mi się, że już go mam, że jest jakaś formuła, w której da się go opisać, trafiałem na jakiś fakt lub wypowiedź, która temu przeczyła. Bohater nieraz mi się wymykał. Jednak te biograficzne uskokki i nieciągłości też w jakiś sposób wiążą się z jego sztuką. Malewicz żył w czasach,

kiedy żadna z prostolinijnych opowieści już nie wystarczała, żeby opowiedzieć o tym, co się dzieje ze światem. Gdy okazało się, że nawet język trzeba traktować inaczej, można z nim eksperymentować, bawić się słowami, dźwiękami, akcentami. Podobnie było ze sztuką. Wreszcie udało się oderwać od naśladowania rzeczywistości i szukać czystych malarskich napięć. Ustalone sposoby opisywania świata też się rozsypały. W książce próbuję pokazać, że coś takiego stało się też z życiorysami ludzi, z ich tożsamościami. To był czas rewolucji.

Ale Malewicz wymyka się nawet tej rewolucji. Niby w niej jest, ale za chwilę porzuca Rosję, znowu do niej wraca i zaraz ląduje w więzieniu. To wszystko jest płynne.

Można odnieść wrażenie, że to wszystko rozgrywa się na lotnych piaskach. Świat zaczyna się rozsypywać, a jednocześnie jest nadzieja, że już zaraz z tej rozsyпки powstanie coś zupełnie nowego, co wyprowadzi ludzkość i sztukę na jakiś wyższy, nieznanym stopień bytowania.

Przykładem nowej sztuki, która na zawsze pozostanie w naszej świadomości, jest Czarny kwadrat na białym tle. Pamięta Pan, co poczuł, kiedy po pierwszy przed nim stanął w Galerii Tretiakowskiej w Moskwie?

To było nieoczekiwane silne przeżycie. Żeby dojść do Kwadratu, trzeba najpierw minąć obrazy Michaiła Łarionowa, Natalii Gonczarowej, Władimira Tatlina, Chagalla i innych. Mnóstwo wspaniałego rosyjskiego malarstwa, w którym jest energia, barbarzyństwo, zabawa, ale też coś śmiertelnie poważnego. Ma się wrażenie, że to jest twórcza eksplozja, kombinacja sztuki ulicy, szyldów, reklamy, ale też pisania ikon i eksperymentów futurystycznych. I nagle spotykamy Czarny kwadrat. Na tym buzującym tle widać, że jest znakomitym znakiem graficznym. Nie sposób się przy nim nie zatrzymać, bo wygląda jak symbol, który się stawia na mapie i podpisuje „tu jesteś”. Zresztą to nie jest idealny kwadrat. Chyba nie przez przypadek. Dla Malewicza liczył się czwarty wymiar. Suprematyzm był rzutowaniem na płaską powierzchnię obiektów, które miały trzy, cztery, jedenaście wymiarów. Może dlatego ten obraz ma w sobie coś hipnotyzującego. Pochłania odbiorcę.



Pan w książce podaje kilka interpretacji tego obrazu, podrzuca pan tropy, pisząc, że może być on czarną plamą nocy na Ukrainie, gdzie wychował się Malewicz, tamtejszą czarną glebą albo wnętrzem grobu. Który z tych opisów jest panu najbliższy? Rzeczywiście, gdy widzimy ten znak, od razu próbujemy go rozszyfrować, odczytać.

Najważniejszym rysem awangardy było przekonanie, że tworzywem artysty tak naprawdę jest świat i życie, a nie farba, węgiel czy glina.

Interpretacje, o których piszę, często podsuwał sam Malewicz. Myślę, że z Kwadratem jest trochę tak, jak z wynalazkiem koła. Można zrobić koło garncarskie, kierownicę

w samochodzie, oponę albo szpulkę. Można namalować koło, wrysować w nie człowieka, uznać za symbol doskonałości i tak dalej. Ale to wciąż będzie koło. Czarny kwadrat jest kawałkiem zamalowanego w 1915 roku płótna, który otwiera możliwość rozmaitych interpretacji. Malewicz uważał, że kwadrat jest kluczowym punktem jego twórczości, całej historii sztuki, punktem zero, przez który sztuka musi przejść, żeby

Malewicz pierwszy wystawiał w galerii puste płótno, obrazy monochromatyczne.

stać się czymś nowym. Nawiasem mówiąc, ten pierwszy Czarny kwadrat nie jest jedyny. Malewicz malował go potem wielokrotnie, najpierw z myślą o wysłaniu go na wystawę w Wenecji, później na inne retrospektywne pokazy. Robił też mnóstwo jego graficznych wersji. Kwadrat stał się emblematem, którego używali uczniowie i uczennice malarza, naszywali go na koszulce. Podczas pogrzebu Malewicza Czarny kwadrat jechał na masce ciężarówki z trumną. Wyeksponowany niczym portret zmarłego.

Oprócz tego, że Kierunek zwiedzania traktuje o Malewiczu, jest on też Pana osobistą historią. Opowiada Pan o ojcu, który był architektem i projektował osiedla. Osiedla, które „miały unosić się w powietrzu”. Dzięki nim „mieliśmy odlecieć, uwolnić się od grawitacji”.

Rzeczywiście, częścią struktury tej książki jest architektoniczna rama, ale to ma pewne uzasadnienie, nie tylko osobiste. Architektura dla Malewicza była bardzo ważna. W ogóle w latach po pierwszej wojnie światowej architektura była dla artystów sposobem na to, żeby pójść w sztuce dalej, wyjść poza obraz, poza ramę. Ówczesni twórcy zrozumieli, że sztuka może zmieniać świat. U Władimira Majakowskiego to jest bardzo dosłownie powiedziane, gdy pisze o ulicach, które są pędzlami, placach, które są paletami. Może najważniejszym rysem awangardy było przekonanie, że tworzywem artysty tak naprawdę jest świat i życie, a nie farba, węgiel czy glina. Z tego punktu widzenia architektura była naturalnym kierunkiem poszukiwań. Funkcjonalistyczna

architektura z lat 20. minionego wieku i architektura modernizmu, która powstała w latach 50. i 60., zawsze wydała mi się znajoma, bliska, przyziemna. Tymczasem ukrywała pewną tajemnicę. Teraz zrozumiałem, że w stołecznych domach, dobrze znanych, WSM-ie czy Sadach Żoliborskich, nawet na Ursynowie tkwi, wprawdzie głęboko ukryta, utopijna nadzieja futurystów, myśl pokolenia Malewicza. Nie chciałbym, żebyśmy o tym zapomnieli.

I Pana książka do tego wraca. A tym powrotem daje nam nadzieję, szczególnie w pandemicznych czasach, że „kiedyś te biedne, na wpół uduszone domy, szare budynki z niską saturacją zdołają jeszcze złapać oddech” – jak pisze Pan w ostatnim zdaniu.

Cieszę się, jeżeli to zabrzmiało optymistycznie. Na tej książce rzeczywiście zostały ślady nasze obecne nastroje, poczucie duchoty, i to na poziomie zarówno fizycznym, jak i moralnym. *Kierunek zwiedzania* był jakąś próbą przełamania tego, uwierzenia, że kiedy już nie można ani w lewo, ani w prawo, ani do przodu, ani do tyłu, to można jeszcze uciekać w górę – tak jak Malewicz.



Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Mariki Radia Kraków. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...



Marta Antoniak, *Funny Elephants*, technika własna na płótnie (figurki, akryl, emalia), 46 x 38 cm, 2017, fot. Michał Sosna



Marta Antoniak jest absolwentką Wydziału Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. W 2017 roku uzyskała stopień doktora na tej samej uczelni. Autorka wystaw indywidualnych, między innymi *Suchy lód*, UFO Art Gallery, Kraków (2021); *Wszystkie psy*, Galeria

Stereo, Warszawa (2019); *Economics of re-circulation*, Mathare Art Gallery, Nairobi, Kenia (2019); *Bacillus*, Galeria F.A.I.T., Kraków (2016). Jest też uczestniczką kilkudziesięciu wystaw zbiorowych w kraju i za granicą. Mieszka i pracuje w Krakowie.

Wyobrażenia z jajka niespodzianki

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcie: Irena Kalicka (za łaskawą zgodą)

Marta Antoniak stosuje nietypową technikę tworzenia obrazów – powstają ze stopionych, plastikowych figurek.

Otwieraniu jajka niespodzianki towarzyszy – jak wiadomo – przyjemne uczucie. Ja przynajmniej mam ochotę od razu połknąć otaczającą plastikową kapsułkę czekoladę, by przekonać się, jakie чудо czeka w środku. Marta Antoniak podobnie jak większość jej rówieśników z generacji urodzonej w połowie lat 80. minionego wieku, naciągała rodziców na kupno tej zabawki, a znajdujące się w niej figurki poszerzały jej kolekcję krokodyli i krasnoludków. Oczywiście nie zdawała sobie wtedy sprawy, jaką rolę odegrają one także w jej dalszym życiu – że staną się materiałem, na bazie którego, już jako uznana artystka wizualna, będzie tworzyć swoje obrazy.

W pierwszym etapie twórczości na jej bardzo realistycznych pracach zaczęły pojawiać się zabawki. Powstał cykl *Holiday*, w którym na płótnie zestawiała dewocjonalia z przedstawieniami popkulturowych superbohaterów.

– W pewnym momencie w malarstwie realistycznym zaczęło brakować mi obecności fizycznego przedmiotu. Nie lubię malarstwa materii, ponieważ przeszkadza mi w nim brak homogeniczności tkanki malarskiej. Zależy mi, by w moich obrazach nie było jasnej granicy między łączonymi materiałami. Stąd wziął się pomysł na roztopianie plastiku i tworzenia z niego barwnych kompozycji – opowiada.

Posłużyły jej do tego figurki z jajek niespodzianek. Potrzebowała ich naprawdę dużo, by osiągnąć zamierzony efekt. Z pomocą przyszedł zaprzyjaźniony kolekcjoner z Hamburga, który penetrował w Niemczech internetowe sklepy z różnymi odrzutami. Dzięki niemu trafiły do niej najpierw cztery paczki z plastikowymi jajkami (każda o wadze 30 kilogramów), a następnie wypełniona nimi 140-kilogramowa paleta. Marta przyznaje, że była przerażona, bo... nie miała gdzie trzymać takiej liczby zabawek. Kiedy udało jej się znaleźć w końcu jakieś miejsce, stanęła przed problemem posegregowania ich, rozpakowania z papierków i wyciągnięcia z plastikowych opakowań. To już nie była radość dziecka z niecierpliwością otwierającego jajka, lecz żmudna praca, która jednak przyniosła efekty w postaci malowanych nietypową techniką plastikowych obrazów.

Kiedy pierwszy raz je zobaczyłam, przyciągnęły mnie jaskrawością kolorów, nawiązaniem do popkulturowych motywów i estetyki campu.

– Moje prace składają się z nachodzących na siebie wątków i motywów. Niemożliwe wydaje się więc objęcie jednocześnie całości. Przypomina to sposób funkcjonowania kultury współczesnej, bombardującej nas nieprawdopodobną ilością często sprzecznych ze sobą treści – tłumaczy malarka.

Przetestowałam to na sobie, przyglądając się wiszącej na ścianie pracowni Marty pracy *Mimo wszystko*. Najpierw wyłowiłam dewocyjny obraz, jeden z tych, który zdobił niegdyś wiejskie domy. Podążałam za znajdującymi się na nim świętymi postaciami, by płynnie przejść do wyskakujących gdzieś z boku kaczuszek, zajączków, grzybków i na dłużej zatrzymać wzrok na zdjęciu rozkosznego kotka. Sprawiała mi przyjemność ta gra kiczowatymi, jaskrawymi kolorami, zaskakującą fakturą i moimi własnymi wspomnieniami. Tyle że twórczość Marty nie jest tak naprawdę pogodna. Jeśli się przyjrzeć dokładnie, to na tym wiejskim, dewocyjnym obrazie Matka Boska zamienia się w Śmierć.

Z kolei prace prezentowane na wystawie zatytułowanej *Suchy lód* (do niedawna można było ją oglądać w krakowskiej UFO Art Gallery) idą jeszcze dalej, radykalnie przy tym odcinając się od koloru. Są monochromatyczne, zdecydowanie bardziej stonowane, wykonywane jednak podobną techniką co poprzednie. – W tamtych barwnych pracach trudno było mi odnaleźć trójwymiarowość, na której teraz mi zależy. Bawi mnie gra między płaskorzeźbą a obrazem. Chcę, by moje obrazy znajdowały się gdzieś na granicy, pomiędzy różnymi formami – dodaje Marta, którą do stworzenia tego cyklu zainspirował film *Stalker*.

W filmie Andrieja Tarkowskiego razem z bohaterem przechodzimy przez niebezpieczną zonę, by dotrzeć do komnaty, w której spełniają się najskrytsze marzenia. A ponieważ są to pragnienia zapisane głęboko w podświadomości, nie jesteśmy w stanie przewidzieć, czy ich spełnienie okaże się dla nas korzystne.

– Staram się przełożyć to na prace, które są dla mnie zmaterializowanymi obrazami funkcjonowania umysłu. Z głębin podświadomości wydobywają się ukryte kształty, wyparte wspomnienia. Podobną funkcję pełniła planeta Solaris w powieści Stanisława Lema – mówi artystka, której twórczość ewidentnie zawieszona jest pomiędzy popkulturowym a filozoficznym myśleniem o sztuce.

Co jeszcze wyskoczy z jajka niespodzianki, jakim jest wyobrażenia Marty Antoniak, przekonamy się, śledząc jej kolejne wystawy. Najbliższa planowana jest na listopad w galerii ABC w Poznaniu.



Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marki Radia Kraków. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...



Nasze miejsce jest w Krakowie

Tekst: Sylwia Pyzik **Zdjęcie:** archiwum prywatne rodziny Suszków – za łaskawą zgodą

Przy ul. św. Tomasza 26 szeroko otwarto drzwi nowego antykwariatu, który sprawił, że rejon ulic Szpitalnej, św. Tomasza, św. Jana i Sławkowskiej stał się znowu antykwarycznym centrum miasta, a być może także kraju.

W kamienicy tej przez lata mieścił się antykwariat Krzyżanowskich. Zapowiada się powrót w wielkim stylu? Poznajcie sprawców całego zamieszania.

Suszek Books to rodzinna firma, którą tworzą Olga i Łukasz Suszkowie we współpracy z synem Lucjuszem i dwoma brytanami: Ami i Bruno. Choć małżeństwo zgodnie przyznaje, że w ich zawodowej współpracy panuje równowaga, to jednak żartują, że Łukasz najchętniej przystałby na model „ja wymyślam – Olga robi”.

– Zdecydowanie to Łukasz jest sterem, ma świetne pomysły i wycucie. Ja wolę pozostać odrobinę z tyłu, sam na sam z książkami. Dziesięć lat współpracy pozwoliło nam wypracować pewien system, który się sprawdza i czujemy się w nim dobrze – mówi Olga.

Prowadzą antykwariat stacjonarny i internetowy, organizują aukcje, naprawiają książki i piszą memuary (choć z tym ostatnio ponoć cienko). Ponadto promują czytelnictwo, kolekcjonerstwo i historię książki, czego owocem były takie przedsięwzięcia jak „Wydawcy i księgarze” czy wystawa poświęcona Stefanowi Kamińskiemu, które współtworzą w ramach Stowarzyszenia Pełna Kultura.

Urodzili się w Zagłębiu Dąbrowskim, Olga w Czeladzi, Łukasz w Będzinie – ich rodziny przyjechały na Śląsk i Zagłębie po II wojnie światowej. Najpierw trafili do Katowic, głównie dlatego że było to największe duże miasto w okolicy. – Dobrze się tam czuliśmy, ale zawsze wiedzieliśmy, że nasze miejsce jest w Krakowie. Coś nas tutaj przyciągało – może czakram, może korzenie (dziadkowie Łukasza byli z Krakowa), a może historia i niepowtarzalna atmosfera? Od trzech lat jesteśmy obywatelami miasta i nie chcielibyśmy się już nigdzie przenosić – podkreślają.

Połączyła ich sztuka. Najpierw w postaci licealnego koła teatralnego i wspólnych fascynacji literacko-muzycznych. Miłość do książek przyszła później, by w konsekwencji stać się ich zawodową ścieżką.

Co ich pasjonuje w wiekowych książkach? Treść, biografia autora, historia wydawcy, ilustrator albo typograf, papier, oprawa, to, jak i kiedy zostały wykonane, proveniencja (pochodzenie), zapach i cena. Co ciekawe – im bardziej chcieliby jakąś książkę zatrzymać dla siebie, tym drożej można ją sprzedać. Nie

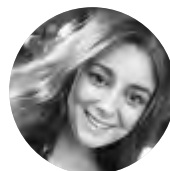
dziwi więc, że są dumni ze swojej oferty, ale także biblioteki prywatnej, w której posiadają między innymi wenecki starodruk z 1550 roku.

Nie boją się antykwarycznych wyzwań. Nie ma w tym nic dziwnego, skoro Łukasz twierdzi, że w dzieciństwie chciał zostać archeologiem, takim jak sam Indiana Jones. Jeśli nie mają więc w swojej ofercie publikacji, która spędza sen z powiek ich klientowi, po prostu ją zdobywają. – Chyba nie zdarzyło nam się nie znaleźć prędkiej czy później (w większości przypadków jednak później) zamówionej przez klienta książki. Inna sprawa, że nikt jeszcze nie postawił przed nami zadań na miarę Lucasa Corso z *Klubu Dumas*, więc nie mieliśmy okazji pojechać na koszt klienta na przykład do Paryża (co nas bardzo smuci) po jakiegoś Wielkiego Białego Kruka. Najczęściej chodzi o Małe Pstrokate Kawki i wystarczy kilka telefonów – zapewniamy.

Nie wszystkie swoje aktywności traktują jednak zarobkowo. – Można chyba nawet stwierdzić, że antykwariat to bardziej nasz styl życia niż praca – podkreślają.

– Otwarcie lokalu to zwieńczenie pewnego etapu i początek kolejnego. Mamy sporo planów na przyszłość i chcemy je konsekwentnie realizować. Lokal stacjonarny, poza oczywistym aspektem handlowym, ma mieć też walory edukacyjne i towarzyskie, bo chcielibyśmy organizować wystawy i spotkania autorskie. Poza tym zamierzamy dalej przeprowadzać aukcje antykwaryczne i wydawać książki. Marzy nam się własna artystyczna pracownia introligatorska. Może na starość, czyli po czterdziestce (śmiech), wydamy jakieś wspomnienia? Jest sporo do opisanie i opowiedzenia. A jeszcze więcej do przeżycia! – zapewniamy.

Kto wie, może wkrótce nowa przyгода sama stanie na progu ich wymarzonego antykwariatu?



Sylwia Pyzik – dziennikarka i filolożka. Absolwentka Uniwersytetu Jagiellońskiego, wychowanka Gołębnika.

Listopad 1918 – świętowanie nieoczywiste

Tekst: Krzysztof Jakubowski Ilustracje: archiwum własne autora

Nie ulega wątpliwości, że odzyskanie niepodległości po 123 latach zniewolenia było dla odradzającej się Polski i kilku pokoleń jej obywateli sprawą najdonioślejszą. Spróbujmy się przyjrzeć, jak wyglądała celebrowanie kolejnych okrągłych rocznic pamiętnego listopada 1918 roku – przede wszystkim w sferze szeroko pojętych dokonań twórczych – nie wyłączając niedawnego jubileuszu stulecia tamtych wydarzeń.



Obchody Święta Niepodległości – parada kawalerii na ul. Basztowej, 1933 rok, NAC

W wolnej, odrodzonej Polsce

Przez lata dzień 11 listopada nie był oficjalnym świętem, toteż celebrowania ograniczały się do uroczystości wojskowych i religijnych. Ponadto trwały elementarne spory, kiedy i jak należy świętować odzyskaną niepodległość. Środowiska prawicowe, niechętnie Józefowi Piłsudskiemu, długo optowały, by świętować datę uchwalenia Konstytucji 3 maja. Ostatecznie piłsudczycy postawili na swoim, jednak dopiero po śmierci Marszałka.

Dziesiątą rocznicę odzyskania niepodległości upamiętniono pomnikowym wydawnictwem koncernu Ilustrowanego Kuriera Codziennego *Dziesięciolecie Polski*

Odrodzonej. Księga pamiątkowa 1918–1928. Album wydany był imponująco. W wielkim formacie 28 x 38,5 (niemal A3), w twardej płócienniej oprawie, z wytłoczonym wizerunkiem orła w koronie, o objętości 1210 stron, z dużą liczbą fotografii. Jak głosiła przedmowa: „Wydanie tej książki było potrzebą obywatelską, może nawet koniecznością. Z upływem pierwszego dziesięciolecia odzyskanej niepodległości należało zrobić narodowy rachunek sumienia: zestawić cenę krwi przelanej i rezultaty dokonanej pracy – zbilansować dorobek wielkiego okresu”.

Inną ważną publikacją wydaną z tej okazji była biografia Józefa Piłsudskiego (częścio-



Dziesięciolecie Polski Odrodzonej – strona tytułowa, 1928

wo fabularyzowana) *Pierwszy żołnierz Odrodzonej Polski* autorstwa Stefana Hińczy. Wydana kunsztownie i ekskluzywnie (liczbowane egzemplarze) jest ciągle cenioną pozycją na aukcjach, choć momentami ociera się o hagiografię.

Warto przypomnieć jeszcze film *Szaleńcy* z tegoż 1928 roku – debiut Leonarda Buczkowskiego – budujący (dość zgrabnie) legionową legendę. Mniej udana była ekranizacja *Pana Tadeusza* dokonana przez Ryszarda Ordyńskiego, z uroczystą premierą mającą uświetnić rocznicę.

Stosunkowo późno, bo dopiero 23 kwietnia 1937 roku Sejm RP ustanowił państwowe obchody święta, z uzasadnieniem: „Dzień 11 listopada, jako rocznica odzyskania przez Naród Polski niepodległego bytu państwowego i jako dzień po wsze czasy związany z wielkim imieniem Józefa Piłsudskiego, zwycięskiego Wodza Narodu w walkach o wolność Ojczyzny – jest uroczystym Świętem Niepodległości”. Rok później 20. rocznica odzyskania



Obchody Święta Niepodległości – przejazd tankietek TK-3 ul. Basztową, 1938 rok, NAC

Dopiero 23 kwietnia 1937 roku Sejm RP ustanowił państwowe obchody święta, z uzasadnieniem: „Dzień 11 listopada, jako rocznica odzyskania przez Naród Polski niepodległego bytu państwowego i jako dzień po wsze czasy związany z wielkim imieniem Józefa Piłsudskiego, zwycięskiego Wodza Narodu w walkach o wolność Ojczyzny – jest uroczystym Świętem Niepodległości”.

niepodległości okazała się ostatnią świętowaną w tamtej Polsce. Miejszem, gdzie celebracja nabrała wyjątkowego charakteru, był Cieszyn i – włączone do Polski 2 października Zaolzie.

W realiach PRL

Podczas okupacji oficjalne obchodzenie Święta Niepodległości było niemożliwe, a wszelkie próby świętowania groziły represjami. I tak na przykład w Zielonce pod Warszawą, w odwecie za rozwieszanie przez harcerzy plakatów z tekstem *Roty Marii Konopnickiej* kilku z nich natychmiast rozstrzelano.

W Krakowie komisarz miasta, nadburmistrz Ernst Zörner nakazał przed 11 listopada 1939 roku rozplakatować specjalne obwieszczenie przypominające, że jest to normalny dzień pracy i przestrzegające przed jakkolwiek próbą łamania wydanych w tej kwestii zarządzeń. Gubernator Hans Frank zarządził dodatkowo rozstrzelanie jednego mieszkańca każdego domu, na którym pojawiłby się jakkolwiek symbol nawiązujący do święta.

Władze komunistyczne już w roku 1945 obwieściły świętem państwowym 22 lipca – dzień ogłoszenia Manifestu PKWN – aby szybko i bez zbędnych dysput odciąć się od dotychczasowej tradycji. Święto 11 listopada zostało zniesione i choć formalnego zakazu nie było, wszelkie próby kultywowania tego dnia groziły represjami ze strony władz. W środkach przekazu kontrolowanych przez władzę (także w „Tygodniku Powszechnym”) okrążyła rocznica przypadająca w 1948 roku została zupełnie przemilczana.

Później, przez cały okres PRL usiłowano wymazać z pamięci datę 11 listopada 1918, związaną wszak nierozłącznie z osobą i kultem Piłsudskiego. Swego rodzaju zabezpieczeniem był fakt, że data ta wiązała się też z podpisaniem kapitulacji przez Niemcy i uznawana była za kończącą wojnę. W ówczesnej propagandzie i historiografii, dzień odzyskania niepodległości usiłowano

przesunąć na 7 listopada – dzień utworzenia w Lublinie tak zwanego rządu ludowego Ignacego Daszyńskiego.

Nie zawsze było to regułą. Jeżeli już pojawił się jakiś artykuł odnoszący się bezpośrednio do listopada 1918 roku, przedstawiano w nim – rzecz jasna tendencyjnie – wiodącą rolę rewolucji październikowej w odzyskaniu niepodległości przez Polskę. Taka była na przykład wymowa felietonu *Rok 1918 w Polsce* Wojciecha Sulewskiego, jaki ukazał się w „Dzienniku Polskim” 11 listopada 1958 roku. „Z patriotycznego zrywu mas w atmosferze Październikowej Rewolucji, a nie z legionowego »ni to z tego, ni z owego« powstała 11 listopada 1918 roku niepodległa Polska”. No i proszę, jakie to proste i oczywiste... Tamta, 40. rocznica została zresztą skutecznie „przykryta” na pierwszych stronach gazet wizytą Władysława Gomułki w Moskwie, u Nikity Chruszczowa, zakończoną podpisaniem wspólnej deklaracji.

W latach 60. ukazały się w niewielkich nakładach quasi-naukowe opracowania *My, Pierwsza Brygada* oraz *Galicyska działalność wojskowa Piłsudskiego, 1906–1914: dokumenty*. Ich autorem był Stefan Arski, wpływowy wówczas partyjny działacz i żurnalista, redaktor naczelny wydawanego na przyzwyczajonym poziomie tygodnika „Świat”. Publikacje te miały przede wszystkim na celu zmarginalizowanie postaci Piłsudskiego, toteż w tle pojawiały się wątki jego współpracy z wywiadem austriackim. Współpracy – dodajmy – niezbędnej, bo taktycznej, skierowanej wszak przeciw Rosji. Od zawsze jednak wiadomo, że agent to agent i taki miał być przekaz. Dopiero w drugiej połowie lat 60. ukazały się – tradycyjnie w niewielkich nakładach – bardziej

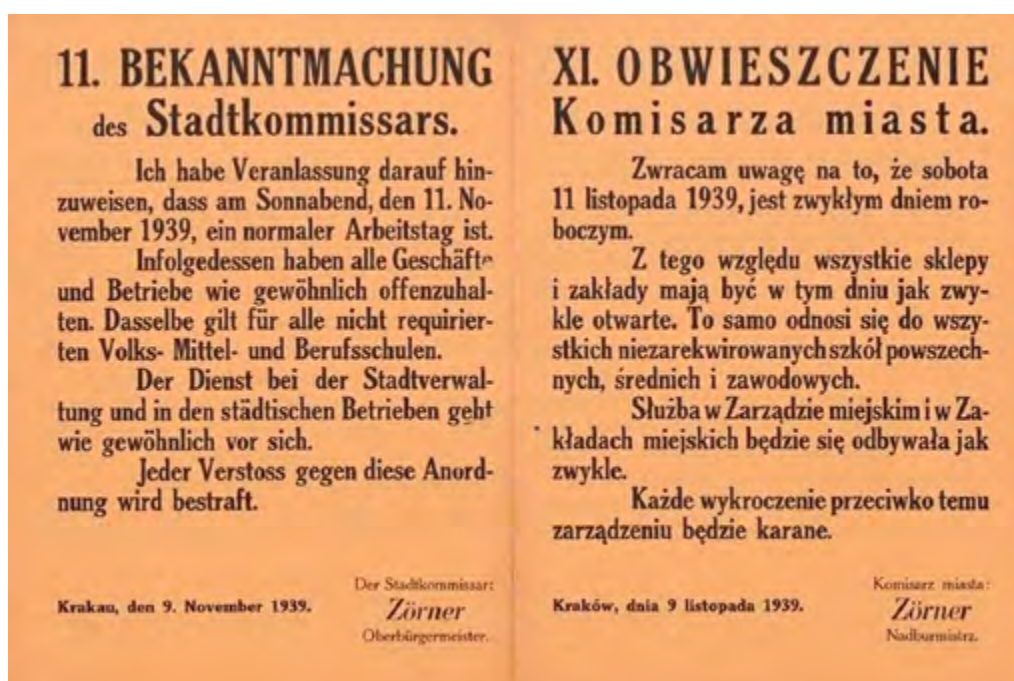
rzetelne opracowania historyczne o początkach i historii II RP autorstwa między innymi Andrzeja Ajnenkiela i Andrzeja Micewskiego.

W 1968 roku nie było pola do wątpliwości, co jest najważniejsze. Na dzień 11 listopada wyznaczono inaugurację V Zjazdu PZPR. Była to najważniejsza rytualna impreza jedynie słusznej partii. W grudniu telewizja pokazała zestawiony z archiwalnych materiałów filmowych dokument *Drogi i bezdroża II Rzeczypospolitej* zrealizowany przez Andrzeja Chiczewskiego. Z siedmiu odcinków wyemitowano jednak tylko trzy, opatrzone tendencyjnym komentarzem.

Kolejna okrągła rocznica przypadła na czasy Edwarda Gierka i przebiegała w bardziej przyjaznej atmosferze. Ukazało się wówczas kilka ważnych książek. Warto przypomnieć: *Źródła obozu belwederskiego* Andrzeja Garlickiego (z przemyconymi wątkami biografii Piłsudskiego) oraz zbiór wartyk historycznych szkiców Konstantego Grzybowskiego *Pięćdziesiąt lat (1918–1968)*, który raczej nie mógł ukazać się w tej postaci wcześniej, za życia zmarłego tragicznie (1970) profesora.

Negatywne stereotypy ciągle jednak pokutowały. Przykładowo, 11 listopada 1978 roku „Dziennik Polski” informował na pierwszej stronie o sesji naukowej PAN poświęconej 60. rocznicy odzyskania niepodległości. Tymczasem wewnątrz numeru w tekście *Wolą Narodu Odrodzona* ciągle żywa była teza o decydującej dla przyszłości Polski roli „zwycięstwa bolszewików w Rosji”.

Jesienią 1978 roku telewizja sięgnęła znów po wspomniany dokument *Drogi i bezdroża II Rzeczypospolitej*. Tym razem jednak prze-montowano materiał i opatrzone go wyważonym – na miarę ówczesnych możliwości



Okupacyjne rozporządzenie, 1939

– komentarzem autorstwa A. Garlickiego. Pominęto emitowany w 1968 roku odcinek *W cieniu Marszałka* – w istocie paszkwil na osobę Piłsudskiego.

W latach 70. działały już dość prężnie środowiska demokratycznej opozycji i ich staraniem 11 listopada 1978 roku przed Grobem Nieznanego Żołnierza urządzono, po raz pierwszy od lat 40., niezależne obchody Święta Niepodległości. Wówczas zaskoczona milicja zachowała się biernie, jednak już rok później doszło do brutalnej interwencji. Jednym z represjonowanych animatorów tamtych obchodów był późniejszy prezydent RP Bronisław Komorowski.

Wyłączając czas pierwszej „Solidarności” w latach 1980–1981, kolejne próby uczczenia Święta Niepodległości były torpedowane przez władzę. Po raz ostatni milicja rozpuściła pochody z okazji 70. rocznicy między innymi w Gdańsku, Katowicach i Poznaniu.

Stulecie i okolice

Święto 11 listopada przywrócono ustawą sejmową w 1989 roku jako dzień wolny od pracy, uroczyscie świątowany w całym kraju. Centralne obchody, w których uczestniczą przedstawiciele najwyższych władz państwowych, organizowane są rokrocznie przed Grobem Nieznanego Żołnierza na placu Piłsudskiego w Warszawie.

Trudno oprzeć się refleksji, że wraz z radością z odzyskanej wolności, przybladła nieco rocznica 1918 roku, ale widocznie taka to już polska przewrotna natura. Dlatego bez większego echa przeszły okrągłe rocznice w latach 1998 i 2008. Dopiero zbliżająca się rocznica stulecia tamtego listopada przyniosła kilka godnych uwagi publikacji. Spośród nich na plan pierwszy wysuwa się *Nasza wojna. Europa Środkowo-Wschodnia 1917–1923. Tom II. Narody* Włodzimierza Borodzieja i Macieja Górniego z wnikliwie ukazaną dynamiką społecznych przemian na tle narodowościowej mozaiki tej części Europy. Warto też pochylić się nad *Wielką wojną Polaków* Andrzeja Chwalby, oryginalnym i nowatorskim w potraktowaniu tematu studium polskich losów podczas I wojny światowej.

Zupełnie inną niekonwencjonalną formułę narracji prezentują *Mgnienia. Opowieści z lat 1918–1920* Witolda Beresia i Krzysztofa Burnetki. To swego rodzaju kalejdoskop zestawionych chronologicznie historycznych faktów i zwykłych zdarzeń, wzbogacony niekiedy suchym komentarzem, niekiedy autorską refleksją. Uwzględniające szczególnie sytuację w zaborze pruskim *Mgnienia* przywodzą na myśl podobnie skonstruowany wcześniejszy o kilka lat *Polski wir I wojny* Agnieszki Dębskiej – znakomicie opracowany zbiór wyimków ze wspomnień, dzienników i ówczesnej prasy.

Nieco odmienną w formule propozycją jest *Polska niepodległość 1918* Marka Rezlera,

z mocno wyeksponowanymi wątkami militarnymi polskiej historii, nie wyłączając powstań. Prowadzony zgodnie z chronologią wydarzeń wartki tok narracji pomaga w odbiorze i jest niewątpliwym atutem książki. Wartością samą w sobie są odautorskie komentarze i analizy, skłaniające do przeważnie smutnych refleksji.

Podsumować warto przy tej okazji także starania filmowców. Już w 2015 roku premierę miał film *Hiszpanka* (reż. Łukasz Barczyk) opisujący sytuację w Poznaniu w przeddzień wybuchu powstania wielkopolskiego. Zapewne ze względu na formalne eksperymenty film nie spotkał się jednak z entuzjastycznym przyjęciem.

W 2019 roku weszły na ekrany dwa filmy i już same tytuły wywołałyby (kiedyś) dreszcz emocji. Tymczasem, zarówno *Legiony* (reż. Dariusz Gajewski), jak i *Piłsudski* z tytułową, nietuzinkowo zarysowaną rolą Borysa Szyca (reż. Michał Rosa) przyjęte zostały dość chłodno. Przede wszystkim przez widownię.

Historia od zawsze szykowała filmowcom pułapki, bowiem w metrażu przewidzianym na około dwie godziny niezwykle trudno zadowolić i widza, i krytyka. Zawsze padną dyżurne zarzuty o „spłaszczenie” czy pominięcie wątków i postaci. Dlatego dla oddania meandrów polskiej historii bezpieczniejszą formułą zdaje się być serial. Przywołać można tu życzliwie przyjęty paradokumentalny ośmiuodcinkowy serial *Marszałek Piłsudski* Andrzeja Trzosa-Rastawieckiego, ze świetnymi rolami Mariusza Bonaszewskiego i Zbigniewa Zapasiewicza. A jeżeli ktoś miałby ochotę obejrzeć wartościowy obraz początków II RP, zawsze warto wrócić do *Śmierci prezydenta* Jerzego Kawalerowicza. Dla warsztatowego kunsztu reżysera i scenarzysty zarazem, a także dla świetnych kreacji aktorskich, bo to prawdziwa uczta.

*

Reasumując, nie sposób pominąć jeszcze bardzo poważnego problemu. Niestety, w ostatnich latach zagościł się gorszący polityczny spór o prawo własności narodowego symbolu, jakim jest Święto Niepodległości. Nie sposób nawet zawyrokować, kiedy uda się przywrócić aurę radosnego święta. To już jednak temat na inną opowieść...



Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.



Kraków zubożał

Tekst: Janina Górka-Czarnecka Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

Zmarł dr Jerzy Janusz Huczkowski, urodzony w 1934 roku w Drohobyczu.

Postać wszechstronna. Z wykształcenia fizyk jądrowy, od czasów studenckich łączył naukę z szeroko pojętą kulturą, współpracując między innymi z Jerzym Grotowskim. Inicjował wydarzenia, cykle imprez i dyskusji jako wieloletni programowy szef studenckiego Klubu Pod Jaszczurami.

W karierze zawodowej osiągnął wysoką międzynarodową pozycję, będąc wicedyrektorem Instytutu Fizyki Jądrowej w Krakowie. Pracował nad wykorzystaniem wiązek neutronowych dla potrzeb medycyny, biologii i rolnictwa. Był współtwórcą akceleratora umożliwiającego zastosowanie neutronów w leczeniu nowotworów; za te osiągnięcia otrzymał Nagrodę Miasta Krakowa.

Zachęcony przez zaprzyjaźnione grono literackie (Wisława Szymborska, Kornel Filipowicz, Adam Włodek) spróbował sił w literaturze; powstały opowiadania, z których jedno zostało opublikowane w „Przekroju” (1973).

Znajomość z Jerzym Giedroyciem i wymiana listów poświęcona głównie tematyce politycznej zaowocowała książką *Spotkałem Jerzego Giedroycia – listy 1993–2000*.

Założył pierwszą w Polsce Galerię Młodych, w której promował znanych obecnie artystów.

Był Kanclerzem Kapituły hetmana kolekcjonerów Polskich Jerzego Dunin-Borkowskiego w Krośniewicach.

Mając wielką łatwość nawiązywania kontaktów, zjednywał sobie ludzi różnych profesji, realizując swoje liczne pasje. Był kolekcjonerem, dziennikarzem, marchandem, antykwariuszem, pisarzem, fotografikiem, wydawcą, działaczem politycznym. Był członkiem Lions Clubu i Stowarzyszenia Kuźnica.

Współorganizator i współtwórca powstałej w 1997 ogólnopolskiej organizacji zrzeszających marszandów i antykwariuszy Stowarzyszenie Antykwariuszy Polskich, przyjętej w 1998 roku do CINO.

Pomysłodawca branżowego miesięcznika „Gazeta Antykwaryczna”. W latach 1995–2006 był wydawcą i redaktorem naczelnym jej polskiej i anglojęzycznej edycji „Polish Art and Antiques Magazine”.

Stworzył autorski program podyplomowych studiów Rynek Sztuki i Antyków, który realizowany jest od 17 lat w Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego.

Laureat wielu odznaczeń polskich i zagranicznych, przyznawanych mu zarówno za działalność naukową, jak i działalność w zakresie popularyzowania kultury, sztuki i kolekcjonerstwa, otrzymał między innymi tytuł Mecenasa Kultury (2003), Srebrny Medal „Zasłużony Kulturze *Gloria Artis*” (2004), Krzyż Oficerski Polonia Restituta (2005).



Piotr Michałowski, *Autoportret*, około 1840 roku, Muzeum Narodowe w Warszawie, Wikipedia/domena publiczna

Hobby ziemianina

Tekst: Ewa Danowska Ilustracja: Wikipedia/domena publiczna

Był znakomitym malarzem koni i scen batalistycznych oraz portretów, jego obrazy odznaczają się dużą ekspresją i znakomitą kolorystyką. Przez prawie cały XIX wiek był niemal zupełnie nieznaną jako malarz, a w XX wieku uznano go za artystę europejskiego formatu.

Piotr Michałowski urodził się w Krakowie 2 lipca 1800 roku. Był synem Józefa, właściciela ziemskiego, i Tekli z Morsztynów. Dzieciństwo spędził w Krakowie i majątku Krzysztoforzyce.

Uzdolniony plastycznie pobierał nauki rysunku i malarstwa u Michała Stachowicza, Józefa Brodowskiego i Franciszka Lampiego. Mając 14 lat, zdał maturę i rozpoczął studia na krakowskim uniwersytecie, studiując matematykę, fizykę i chemię, a także język i literaturę łacińską. Po kilku latach rozpoczęła naukę na uniwersytecie w Getyndze, kształcąc się w zakresie nauk prawo-politycznych, literatury angielskiej oraz języków arabskiego i perskiego. Nie zaniedbywał studiów malarskich, próbował też rzeźbić. Pogłębiał znajomość muzyki, grając na klawikordzie, przyswajał także wiedzę w dziedzinie rolnictwa. Świetnie jeździł konno.

We wrześniu 1823 roku powrócił na krótko do Krakowa, a następnie wyjechał do Warszawy, by podjąć pracę w Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu pod kierunkiem Franciszka Ksawerego Druckiego-Lubeckiego. Po ustąpieniu Stanisława Staszica z Wydziału Przemysłu i Kunsztów w rządzie Królestwa Polskiego, agendy związane z górnictwem i hutnictwem oddano w ręce Michałowskiego. Otrzymał stały etat w Komisji Przychodów i Skarbu, tytuł radcy górniczego i naczelnika Oddziału Hutniczego.

Podczas częstych pobytów za granicą zapoznawał się z funkcjonowaniem zakładów przemysłowych i kopalń węgla kamiennego. Jako urzędnik wykazywał się aktywnością i znajomością powierzanych mu spraw, a w 1828 roku otrzymał Order św. Stanisława za zasługi na polu organizacji krajowego przemysłu. Jednakże, jak napisał, bycie urzędnikiem nie sprawiało mu satysfakcji. Oddawał się wówczas rysowaniu karykatur, między innymi wielkiego księcia Konstantego i generałów, czym odrağowywał narastające przygnębienie.

Po upadku powstania listopadowego na krótko przyjechał do Krakowa, po czym udał się do Paryża, gdzie studiował malarstwo. Na wezwanie chorego ojca powrócił do Krakowa, gdzie urządził sobie pracownię malarską najpierw w gmachu uniwersytetu, potem w pałacu Wielopolskich. Po śmierci ojca w 1837 roku mieszkał na wsi i wzorowo zarządzał własnym majątkiem w Krzysztoforzycach oraz majątkiem teścia, a zarazem szwagra Antoniego Ostrowskiego Bolestraszyce pod Przemyślem. Wspomnieć należy, że Piotr Michałowski mając 31 lat, poślubił Julię Olimpię Ostrowską, córkę Antoniego, kasztelana-wojewody Królestwa Polskiego. Miał z nią siedmioro dzieci.

W trudnym okresie, po Wiośnie Ludów, 1848 roku Michałowski zgodził się objąć stanowisko prezesa Rady Administracyjnej Miasta Krakowa, którym był do jej rozwiązania w 1853 roku. Choć nie zaniedbywał spraw miasta, to główną aktywność skierował na działalność filantropijną – swoją pierwszą roczną pensję przeznaczył na założenie Zakładu Józefitów dla osieroconych chłopców, który utrzymywał do końca życia. Po wielkim pożarze Krakowa w 1850 roku kierował akcją pomocy pogorzelcom.

Michałowski podobno co do chłopów nie żywił uprzedzeń klasowych, ceniąc ich pracowitość i zdrowy rozsądek, a w razie ich niedostatku wykazywał się dobroczynnością.

Niezależnie od sprawowanych funkcji i zarządzania majątkami Michałowski przez całe życie zajmował się malarstwem. Historycy sztuki w jego malarstwie wyróżnili cztery fazy: młodzieńczą, jeszcze dyletancką w czasie studiów uniwersyteckich i pracy w ministerstwie w Warszawie, następną, po powstaniu listopadowym, gdy odbył w Paryżu studia malarskie, w pierwszych latach po powrocie do kraju (1835-1840) oraz ostatnie piętnastoletnie jego życia, okres dojrzałości twórczej z naznaczoną indywidualnością artysty.

W okresie swej wczesnej twórczości Piotr Michałowski wzorował się na dziełach swoich mistrzów czy wręcz je kopiował. Rysował i malował scenki batalistyczne, pojazdy, portrety i sylwety swoich znajomych oraz krewnych. Gdy w 1831 roku namalował konny *Portret Pawła Popiela* w mundurze pułku krakusów, widać było, że jego talent korzystnie się rozwija.

W drugim okresie twórczości, podczas paryskich studiów u Mikołaja N. Charleta (który twierdził, że Michałowski ma kopalnię złota w palcach) i po ich odbyciu, szedł tropem fascynacji swego mistrza tematyką napoleońską, rozwijając własne zainteresowania tematami batalistycznymi i motywem konia. Modele szukał na placach musztry, a anatomii konia uczył się w rzeźni. Dużo czasu spędzał wśród obrazów w Luwrze, zwracając szczególną uwagę na przedstawienia zwierząt przez Rembrandta, Antona van Dycka czy Paulusa Pottera. Wykonywał setki rysunków, zwłaszcza koni, szkicowe kompozycje żołnierzy napoleońskich, jeźdźców i wodzów z XVII wieku, odtwarzał dylizanse, stajenych czy pocztylionów. W jego pracach pojawiła się

skłonność do romantyzmu, ale przeważało rzetelne, realistyczne studium.

Po powrocie do Krakowa w 1835 roku kontynuował swą „paryską” manierę, lecz francuskie wojsko zastąpił austriackimi huzarami z garnizonu podgórskiego. Zaczął też realizować ideę sławienia polskiego oręża, malując między innymi *Wjazd Chrobrego do Kijowa*, kilka wersji *Szarży pod Samosierrą*, *Bitwę pod Możajskiem*, *Dwernickiego na czele 2 pułku ułanów*, *Oddział Krakusów* czy podobizny hetmanów na koniach. Natomiast w majątku w Krzysztoforzycach odworowywał wizerunki chłopów i wiejskich dziadów.

Najwięcej prac Piotra Michałowskiego powstało w ostatniej fazie jego twórczości, po 1840 roku. Wówczas nastąpił pełny rozkwit indywidualnego stylu artysty, który osiągnął nadzwyczajną biegłość

„Główną cechą życia Michałowskiego było wyprzedzenie swej epoki. Wyprzedzał ją inteligencją, instynktem konstrukcji, jasną obserwacją, widzeniem bez ogródek świata zewnętrznego”.

Tytus Czyżewski w „Głosie Plastyków”, 1934

techniczną i twórczą swobodę. Powstały niezliczone rysunki koni i jeźdźców, a także między innymi obrazy *Stefan Czarniecki*, *Konie z furgonami*, *Błękitny chłopiec w czerwonej czapeczce*, *Amazonka*, cykl *Jeźdźcy* czy akwarelowy cykl wołów i buhai. Namalował wiele studiów chłopów i Żydów oraz portretów.

Pracował niemal do ostatnich dni swego życia, ale obrazów nie wystawiał ani nie sprzedawał, nie brał udziału w życiu artystycznym kraju, na przykład odmawiając w 1853 roku przyjęcia prezesury organizującego się w Krakowie Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych. Malarstwo nigdy nie było jego zawodem, dlatego jego twórczość nie była zbyt znana wśród współczesnych i uważano go za amatora. Sam zresztą izolował się od artystycznego środowiska, zdając sobie sprawę z odmienności swojej sztuki. Znano go jako urzędnika, działacza społecznego i gospodarza w swoich dobrach ziemskich. Bycie malarzem nie uchodziło w jego kręgach; tradycja szlachecka nie obejmowała zawodu malarza. Jako ziemianin nie musiał mieć żadnego mecenasa, był materialnie i moralnie niezależny, miał komfort swobody tworzenia, mógł bez ograniczeń wyrażać swoje zainteresowania emocje. Obrazów, jak wspomniano, nigdy nie sprzedawał, czasem przekazywał na dobroczynne cele. Jedynie w Paryżu – jak napisała jego córka Celina – wznosił się ponad przesąd zabraniający polskiemu szlachcicowi sprzedawać cokolwiek poza płodami ziemi, którą uprawiał – zbywał po wysokich cenach swoje obrazy, przeznaczając uzyskane sumy na cele dobroczynne.

W Krzysztoforzycach miał obszerną pracownię, a gospodarowanie i zarządzanie majątkiem łączył ze sztuką, co utrwalono w anegdocie, że gdy wysyłał swojego ekonoma po zakup wołów, rysował

dla niego głowy zwierząt, aby go pouczyć, jakie są najbardziej odpowiednie, a przed zakupem konia najpierw go narysował, bo wtedy spostrzegał najmniejsze braki zwierzęcia. Nawet skrawki papieru wykorzystywał do szkicowania swego otoczenia, a karty ksiąg rachunkowych gospodarczych zamieniały się w szkicowniki – twarzy chłopów, a nawet wizerunku nabytych krów.

Michałowski podobno co do chłopów nie żywił uprzedzeń klasowych, ceniąc ich pracowitość i zdrowy rozsądek, a w razie ich niedostatku wykazywał się dobroczynnością. Jako gospodarz miał dobry kontakt ze swymi podwładnymi, chociaż z urodzenia „wielki pan” traktował chłopów z życzliwością, a w swych dobrach wprowadzał nowoczesne ulepszenia.

Michałowski był wysokiego wzrostu, o ogorzałej twarzy, o bystrych i przenikliwych oczach, postrzegany przez współczesnych jako człowiek chłodny, ale o zmiennych nastrojach. Otoczenie ceniło jego oryginalny dowcip, ale od światowych zabaw strocił, ceniąc ciszę i prowadząc niemal ascetyczny tryb życia. W stosunkach służbowych odznaczał się zdystansowaniem, ale uprzejmością. Żywił nieuzasadnione uprzedzenia co do swojego wyglądu i uważał się za brzydkiego.

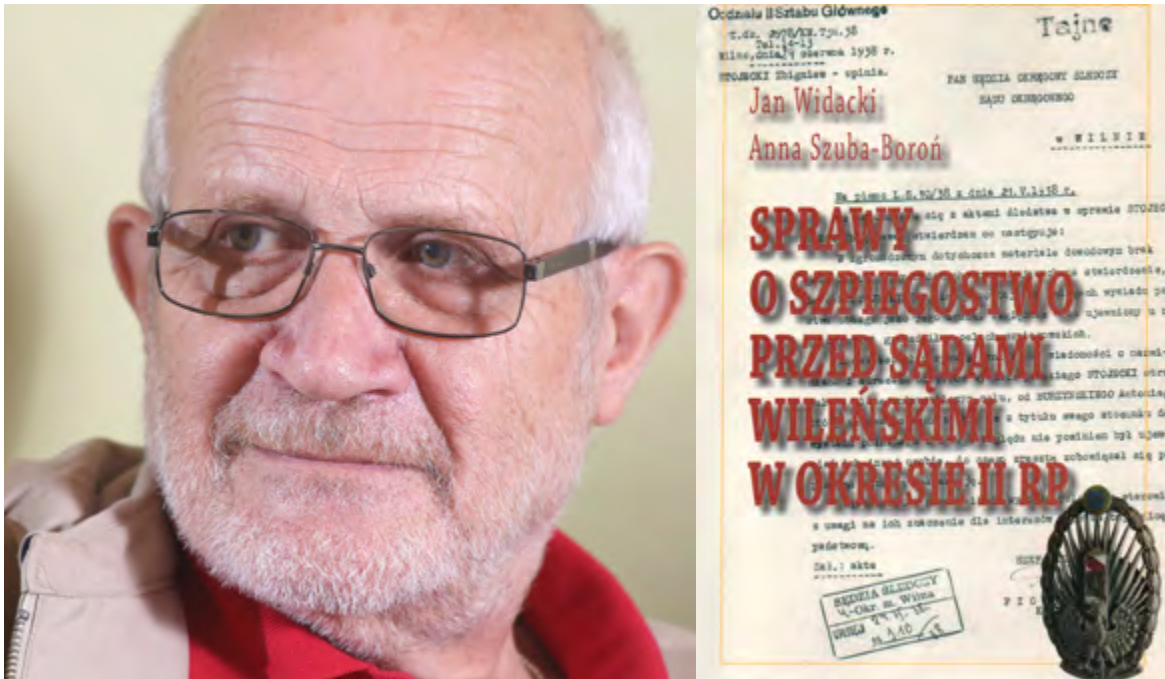
Piotr Michałowski żył tylko 55 lat – zmarł w Krzysztoforzycach 9 czerwca 1855 roku, pochowany został w grobowcu rodzinnym na cmentarzu Rakowickim w Krakowie, a jego epitafium znajduje się w kościele Mariackim.

Odkrycie malarstwa Michałowskiego nastąpiło dopiero w 1894 roku, kiedy na retrospektywnej Wystawie Sztuki Polskiej we Lwowie udało się zgromadzić kolekcję jego 72 obrazów. W następnych latach coraz częściej jego dzieła pojawiały się na wystawach, na przykład w 1913 roku w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych pokazano 100 obrazów, a w Krakowie w 1925 roku urządzono wystawę w siedemdziesiątą rocznicę jego śmierci. Po II wojnie światowej obrazy Michałowskiego ukazywały się na różnych retrospektywnych wystawach, a także indywidualnych, jemu przeznaczonych. Pozostawił ponad tysiąc szkiców – rysunków i akwareli.

Należy dodać, że spośród jego siedmiorga dzieci tylko Celina była uzdolniona malarsko – z tego powodu Wincenty Pol nazwał ją „genialne diablę”. Wybrała drogę zakonną jako niepokalanka w Jazłowcu na Podolu, gdzie była nauczycielką rysunku i malarstwa w klasztornej szkole dla dziewcząt. Jest autorką książki o swym ojcu, opiekunką jego artystycznej spuścizny i główną ofiarodawczynią obrazów do Muzeum Narodowego w Krakowie, przekazując w 1917 roku 82 dzieła. W oddziale Muzeum w Sułkennicach jedna z sal została jemu poświęcona. Co ciekawe, w Warszawie, pomiędzy arkadami Pałacu Ministra Skarbu przy placu Bankowym, w 2011 roku pojawiła się upamiętniająca go tablica.



Ewa Danowska – dr hab. historii, PAU. Kraków w przeszłości... jest o czym pisać!



Szpiedzy, bolszewicy i... bieda

Tekst: Konrad Trojański Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

„Sowiecki system szyfrowania został rozpracowany przez kryptologów Oddziału II Sztabu Głównego. Większość informacji przekazywanych było jednak przez kurierów, którzy jeszcze w latach 30. stanowili zasadniczy środek łączności wywiadu sowieckiego. Przenieszone czy też przewożone przez łączników materiały z zasady zawijane były w specjalne ruloniki i zaklejane w chlebie”.

Niewiele wiadomo o dokonaniach polskiego wywiadu i kontrwywiadu w dwudziestoleciu międzywojennym XX wieku. Przez długie lata PRL nawet walka polskich agentów z niemieckimi była nie do opisania (bo nasi odnosili sukcesy!). A co dopiero mówić o starciach z bolszewikami.

I choć ostatnio kilka opracowań tego tematu się pojawiło, to jednak najnowsza książka Jana Widackiego (napisana wspólnie z Anną Szubą-Boroń), opisująca niezwykle rzetelnie, ale i szczegółowo (kilka przypadków jest doprawdy spektakularnych) działania sowieckiego wywiadu cywilnego GPU i wojskowego Armii Czerwonej, barwnie zwanego „Razwiedupr”, jest rzeczą, bez której autorzy scenariusza opisującego tamten czas nie dadzą sobie rady.

Są więc tajnopisy, ataki terrorystyczne, tajne obserwacje i księgi szyfrów. Słowem: ekscytujący szpiegowski anturaż, tyle że podany – może czasami zbyt sucho – naukowo i profesjonalnie. Ale jeśli coś uderza niespodziewanego, to kontekst społeczny. A w nim – bieda, bieda i jeszcze raz bieda. Wschodnie województwa II RP to kliniczny przypadek dziadostwa, które towarzyszyło Polsce od chwili odzyskania przez nią niepodległości. W tych rejonach było tak biednie, że cudu trzeba było, aby mieszkańcy uważali się za lojalnych obywateli Rzeczypospolitej. I cud się nie zdarzył...

Za to tamto pogranicze to kraina mityczna... Kto ceni piarstwo Sergiusza Piaseckiego (niżej

podpisany uwielbia!), ten wie: „Żyliśmy jak królowie. Wódkę piliśmy szklankami. Kochały nas ładne dziewczyny. Chodziliśmy po złotym dywanie. Płaciliśmy złotem, srebrem i dolarami. Płaciliśmy za wszystko: za wódkę i za muzykę. Za miłość płaciliśmy miłością, nienawiścią za nienawiść”.

I tu dostajemy prawdziwe cymelium w książce o szpiegostwie sowieckim. „Dla badaczy prozy Sergiusza Piaseckiego, (...) mamy dobrą wiadomość. Lektura akt sądowych ze spraw o szpiegostwo na Kresach dostarcza dowodu, że Piasecki realistycznie, czasem nawet naturalistycznie przedstawił w swej prozie pogranicze polsko-sowieckie”.

Swoją drogą, trudno się z zazdrością nie pochylić się nad zakresem zainteresowań autora. Od opracowań czysto prawniczych (*Kryminalistyka*, współautorzy: Jerzy Konieczny i Tadeusz Widła) poprzez sympatie litewskie (gdzie Widacki był dyplomatą – tu *Litwo, Ojczyzno nie moja*), aż po kultowe powieści sensacyjno-łotrzykowskie: *Stulecie krakowskich detektywów* i *Detektywi na tropach zagadek historii*.

Panie Profesorze – dziękujemy!

Jan Widacki, Anna Szuba-Boroń, *Sprawy o szpiegostwo przed sądami wileńskimi w okresie II RP*, Oficyna Wydawnicza AFM, Kraków 2020.

Gigant teatru i jego czasy

Tekst: Anna Stafiej

Stanisławski. Teatralna powieść wieku Lwa Bogdana zaprasza czytelnika do poznania ciekawej, a mało znanej historii życia i działalności Konstantego Stanisławskiego, giganta teatru, który pozostawił trwały ślad w teatrze i to nie tylko rodzimym rosyjskim, ale i światowym.

Lew Bogdan, francuski pisarz, scenarzysta, reżyser, animator i badacz teatru, a także organizator międzynarodowych festiwali teatralnych, był jednym z pomysłodawców międzynarodowego sympozjum *Le siècle Stanislavski* w Centrum Pompidou w 1988 roku. Sympozjum, które zgromadziło specjalistów z różnych krajów, przypomniało dziedzictwo Konstantego Stanisławskiego, z którego spuścizny teatralni twórcy korzystają na całym świecie, nawet często nieświadomie, bo jego system wszedł w krwioobieg działań teatralnych i stał się „chlebem powszednim” teatru.

Tom *Stanisławski: teatralna powieść wieku* to pokłosie tej konferencji. Autor korzystając z niepublikowanych wcześniej dokumentów, podąża śladami Stanisławskiego i jego najbliższych uczniów, lecz nie tworzy suchego, historycznego dokumentu, ale w formie wartkiej narracji pokazuje Stanisławskiego na tle epoki. A trzeba pamiętać, że życie Stanisławskiego (1863–1938) przypada na niezwykle burzliwe lata! Trudno uwierzyć, że wśród rewolucyjnych i wojennych zamieci potrafił tworzyć wspaniałe, nowatorskie spektakle, zajmować się reformą teatru, kształtować niezwykłych aktorów, organizować studia teatralne, odbywać wielkie artystyczne *tourneé* po Europie i Ameryce. Na dodatek w tle pojawia się jego wspólnik i współpracownik Władimir Niemirowicz-Danczenko, który, kolokwialnie mówiąc, co jakiś czas rzuca mu kłody pod nogi.

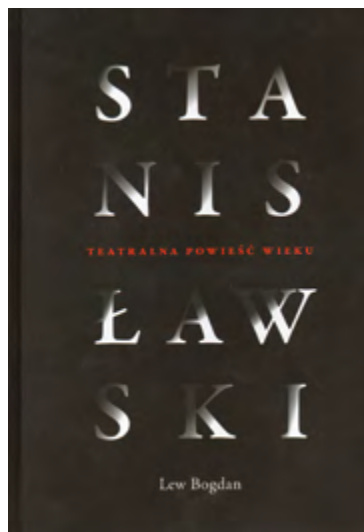
Autor niejednokrotnie cytuje bogatą korespondencję Stanisławskiego z różnymi osobami, bo był to czas pisania listów. A że Stanisławski dużo podróżował, jego epistolografia jest obfita. Fragmenty listów pozwalają spojrzeć na te czasy oczami Stanisławskiego, poznać jego stosunek do różnych spraw, ludzi, wydarzeń.

Stanisławski prowadził bogate i urozmaicone życie, miał liczne zagraniczne kontakty zawodowe. Dzięki starannemu wychowaniu i edukacji, jakie wyniósł z rodzinnego domu Aleksiejewów, bogatych moskiewskich fabrykantów, swobodnie posługiwał się językami. Podczas licznych podróży spotykał się z najważniejszymi artystami europejskiego teatru. Byli wśród nich Adolphe Appia, Gordon Craig, Isadora Duncan, Jacques Copeau, Louis Jouvet. Cieszył się uznaniem współczesnych artystów, którzy nie tylko podziwiali jego sztukę, oglądając spektakle Teatru Artystycznego, ale czerpali inspiracje.

Wiele mówi i to, że wśród uczniów Stanisławskiego byli tak wybitni twórcy i aktorzy rosyjskiego/radzieckiego teatru, jak Jewgienij Wachtangow i Wsiewołod Meyerhold. Różnie potoczyły się ich losy, ale odcisnęli trwały ślad w teatrze XX wieku. Właśnie dzięki uczniom i uczniom Stanisławskiego – takim jak Maria Knebel, Maria Uspienska, Michaił Czechow – współczesny światowy teatr zna jego „system”, w amerykańskiej terminologii – metodę, bo takiego określenia używał w swoim studio Lee Strasberg. Ta kontynuacja kierunku poszukiwań Stanisławskiego pozwala zrozumieć, jak wielki wpływ miał na życie teatralne, a także filmowe Europy i Stanów Zjednoczonych. Filmem, co prawda, sam się nie zajmował, ale jego uczeń Ryszard Bolesławski, który zrobił karierę w Hollywood, był zaliczany do najwybitniejszych twórców filmowych lat 30. XX wieku, zrealizował 19 filmów i wydał popularny podręcznik gry aktorskiej. Jego Mistrz również napisał podręcznik w dwu tomach: *Praca aktora nad sobą*, który stał się alfabetem aktorów, dzisiaj także.

Polskiego czytelnika z pewnością zainteresuje też ślad polski, który w tej historii jest obecny. I dobrze się stało, że książka ukazuje się w przekładzie Juliusza Cęcelewskiego, z inicjatywy Krzysztofa Jasińskiego, rozpoczynając serię wydawnictw Studia Grom Fundacji STU.

PS Książkę można kupić w Teatrze STU.



Lew Bogdan, *Stanisławski. Teatralna powieść wieku*, Fundacja STU, Studio Grom, Kraków 2021.



Marta Antoniak, *Gablotka Stalker*, technika własna na drewnie, 38 x 26 x 50 cm, 2021, fot. Irena Kalicka

Listopad 1921

Tekst: Krzysztof Jakubowski

Z kroniki „Głosu Narodu”: „Minister oświaty wydał polecenie dyrekcjom szkół średnich, by urządziły obchody jubileuszowe na cześć Dantego. Obchód składać się powinien z odczytu, deklamacji i ewentualnie produkcji muzyczno-wokalnych”.

Nieodparcie nasuwa się porównanie. Dziś także minister tegoż resortu wydaje polecenia równie oryginalne i podobnie niezrozumiałe.

✦ **3 listopada.** Według relacji reportera „IKC”: „Tatry widziane były z Krakowa wczoraj po południu gołym okiem, z wiaduktu przy drodze ku Prądnikowi Czerwonemu, czemu przypałytrywało się mnóstwo osób. To niezwykle zjawisko przypisać należy wyjątkowo czystemu powietrzu i słońcu. Odnosiło się w jednym momencie wrażenie, że Tatry płoną”.

✦ **4 listopada.** Oryginalnie sformułowany anons zamieścił „IKC”: „Zygmunt Leliciński z Dębniek odda powierzone mu pieniądze do 15 bm. W przeciwnym razie oddam sprawę we właściwe ręce. K.S.”.

Wczoraj rano prezydium miasta Krakowa wysłało do województwa obszerne pismo w sprawie niedomagań bezpieczeństwa publicznego w naszym mieście. Również, jak się dowiadujemy, w najbliższy poniedziałek na posiedzeniu Rady Miejskiej poruszane będą kwestie związane ze wzmagającą się falą bandytyzmu.

✦ **6–9 listopada.** Dzienniki opisywały wizytę premiera Antoniego Ponikowskiego. Gość zwiedził miasto, a na koniec przyjęty został uroczysto w magistracie. Wygłosił tam przemówienie dotyczące spraw krajowych, przytoczone w całości przez „IKC”.

✦ **7 listopada.** „Anons z „IKC”: „Manipulant, lat 29, zastępca kierownika tartaku z dłuższą praktyką tartacznią, poszukuje posady w większym przedsiębiorstwie”.

Dziś „manipulant” nie znalazłby z pewnością żadnej posady. To dowód jak zmieniło się na przestrzeni lat znaczenie niektórych słów. Wtedy termin „manipulacja” – przejęty wprost z łaciny – oznaczał wszelką czynność wykonywaną z należytą biegłością. W tym przypadku chodzi o urzędnika manipulacyjnego, wykonującego istotne czynności pomocnicze w przedsiębiorstwie bądź biurze.

✦ **7 listopada.** „Wczoraj w południe odbyło się poświęcenie nowej wytwornej restauracji, mieszczącej się w salach parterowych oraz

na I piętrze w odnowionym gmachu Starego Teatru przy pl. Szczepańskim. Brak takiego przedsiębiorstwa na wzór europejski urządzanego i prowadzonego od dawna odczuwano w Krakowie, zwłaszcza przy okazji przyjęć dygnitarzy i gości zagranicznych”.

W istocie była to reaktywacja (po wojennej przerwie) restauracji otwartej po przebudowie gmachu w 1906 roku. Restauracja prowadzona od 1921 roku przez spółkę, na czele której stanął jej pierwszy właściciel Józef Bogusz, przetrwała do początku 1939 roku.

✦ **11 listopada.** Jak podał „IKC”: „Naczelnik Państwa zamianował dra Adolfa Szyszko-Bohusza, profesora nadzwyczajnego konserwacji zabytków w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, profesorem zwyczajnym”.

✦ **12 listopada.** Z kroniki „Czasu”: „Dancing-Tea odbędzie się w niedzielę 13 bm. w salach Kasyna Wojskowego, o godz. 4.30 popołudniu, na cele koła VI Towarzystwa Szkoły Ludowej”. *To chyba pierwszy przypadek, kiedy w krakowskiej prasie pojawił się ten angielski termin i zapewne nikt jeszcze nie przypuszczał, jak wielką karierę zrobi on w następnych latach XX wieku.*

✦ **12 listopada.** Wiadomość z tej samej kroniki: „Panie chcące korzystać z bezpłatnego czesania, ondulacji, pielęgnowania rąk i twarzy zechcą zgłaszać się codziennie wieczorem od 8 do 10 w Muzeum Przemysłowym przy ul. Smoleńsk 9, drzwi nr 127, u kierownika kursu fryzjerskiego p. Warowicza”.

✦ **13 listopada.** „Czas” zamieścił policyjny komunikat: „W związku z tajemniczym znikaniem chłopców komisariat II (na Zwierzyńcu, ul. Kościuszki 32), wzywa rodziców, którym w ostatnich czasach zaginęły dzieci, aby zgłosili się w biurach tegoż komisariatu w godzinach urzędowania”.

Ów komisariat mieścił się według zmienionej później numeracji w istniejącej do dziś kamienicy nr 46. Siłą tradycji miała tam też siedzibę (do 1963) MO.

✦ **13 listopada.** Z kroniki „Nowej Reformy”: „Przed kilku tygodniami zgłosił się do klasztoru Kapucynów niejaki Feliks Pieczeński z prośbą o przyjęcie do nowicjatu. Przyjęty przez jakiś czas zachowywał się nienagannie, spełniając wszelkie przepisy związane z regułą zakonu, zaprzyjaźnił się też z furtianem klasztoru.



Antoni Ponikowski (1878–1949), premier i minister w początkach II RP, następnie rektor Politechniki Warszawskiej, fot., ok. 1920, NAC



Maria Malicka (1898–1992), artystka teatralna i filmowa, zaczynała i kończyła karierę w rodzinnym Krakowie, pocztówka, 1928, archiwum autora

Onegdaj Pieczeński zbiegł i jak się okazało, zabrał oszczędności furtyana w kwocie 230 tys. marek. Zachodzi podejrzenie, że Pieczeński proceder kandydata na zakonnika uprawiał od dłuższego czasu, okradając przy tej sposobności klasztor”.

✦ **14 listopada.** „W niedzielę rozegrany będzie w Krakowie match footballowy. Przeciwno sobie staną dwie drużyny zebrane z najlepszych graczy całej Polski, by wykazać swe kwalifikacje do drużyny reprezentacyjnej, która dnia 13 grudnia br. ma rozegrać zawody z Węgrami w Budapeszcie. Będzie to pierwszy urzędowy występ footballu polskiego na arenie międzynarodowej” – zapowiadała „Nowa Reforma”. *Miło jest zapowiedzieć, że setna rocznica tamtego wydarzenia zostanie stosownie uczczona w grudniowym numerze miesięcznika „Kraków”.*

✦ **17 listopada.** „Naczelny redaktor Ilustrowanego Kuriera Codziennego, p. Marian Dąbrowski, który na skutek rezygnacji dra Bardla objął mandat poselski, otrzymawszy list wierzynkowy od generalnego komisarza wyborczego, ministra Sobolewskiego, wziął udział w dzisiejszym posiedzeniu Izby. Pos. Dąbrowski nie przystąpił na razie do żadnej grupy sejmowej”.

✦ **18 listopada.** Komunikat z „Nowej Reformy”: „Naczelnik Państwa mianował postanowieniem z dn. 5 listopada Juliana Fałata dyrektorem departamentu Ministerstwa Kultury i Sztuki”. *Informacja ta wymaga uzupełnienia. Julian Fałat latach 1921–1923 sprawował urząd dyrektora Departamentu Sztuki w Ministerstwie Kultury i Sztuki, do likwidacji tegoż (celem oszczędności) w 1922 roku. Później departament*

ów włączono do Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Po zakończeniu misji wraz z upadkiem II rządu Witosa, Fałat osiadł w swej posiadłości w Bystrej.

✦ **18 listopada.** „(...) Wypadki tajemniczych zaginięć chłopców nie ustają. Jak się dowiadujemy, na policję zgłosił się p. Antoni Machalski i doniósł, że 10 bm. zginął Michał Pilch, znany w naszym mieście karzełek. Z III komisariatu doniesiono, że jakiś mężczyzna usiłował porwać chłopca, którego publiczność odbiła. Również jednego chłopca z IV klasy Gimnazjum św. Anny zaczepił jakiś mężczyzna i proponował mu, by jechał z nim do Podgórze” – odnotował „Czas”.

✦ **18 listopada.** Anons z „IKC”: „Węże gumowe do hegarów, itp. Drobner-Kraków”.

✦ **19–20 listopada.** Dzienniki relacjonowały wizytę 16-osobowej delegacji dziennikarzy z Gdańska. Gośćmi opiekował się dr Antoni Beaupré, prezes Syndykatu Dziennikarzy Krakowskich i zarazem redaktor naczelny „Czasu”.

✦ **20 listopada.** „Jak już donosiliśmy, przed kilku dniami aresztowano Józefa Czyczyłowicza pod zarzutem gwałtu publicznego dokonanego na jednym z dziennikarzy krakowskich oraz na urzędniku inspekcyjnym w biurach policyjnych. Czyczyłowicz podejrzany jest także o uwodzenie chłopców. Po ukończeniu wstępnego śledztwa aresztowanego odstawiono wczoraj do więzienia Sądu Karnego” – relacjonował reporter „Czasu”.

✦ **20 listopada.** „IKC” w rubryce „Teatr, literatura, sztuka” anonsował: „Maria Malicka, artystka Teatru Bagatela wystąpi jutro



Julian Fałat (1853–1929), autoportret, olej na płótnie, 1896, Muzeum Narodowe w Warszawie

(niedziela) o godz. 8 wieczór w Związku Literatów (Dom Artystów, pl. św. Ducha) z recytacjami utworów francuskiego poety wizjonera Jeana Artura Rimbaud'a, w świetnych przekładach Tuwima i Iwaszkiewicza. Słowo wstępne J. Iwaszkiewicz".

✦ **21 listopada.** Komunikat zamieszczony w „Czasie”: „W Państwowym Urzędzie Pośrednictwa Pracy przy ul. Podzamcze 30 przyjmuje od dnia 17 bm. komisja kwalifikacyjna z Warszawy kandydatów do straży celnej,

umiejących dobrze pisać i rachować. Komisja zabawi w Krakowie do środy, tj. do 23 bm.”.

✦ **21 listopada.** Z kroniki „Głosu Narodu”: „Minister oświaty wydał polecenie dyrekcjom szkół średnich, by urządziły obchody jubileuszowe na cześć Dantego. Obchód składać się powinien z odczytu, deklamacji i ewentualnie produkcji muzyczno-wokalnych”.

Nieodparcie nasuwa się porównanie. Dziś także minister tegoż resortu wydaje polecenia równie oryginalne i podobnie niezrozumiałe.



Jednodniówka *Nuż w bżuhu*, 1921, archiwum autora

✎ **22 listopada.** „Krakowski związek emerytów państwowych, wojskowych i kolejowych oraz wdów i sierot zawiadamia, iż z akcją wdrożoną przez p. Marię Górową w kierunku odwoływania się do miłosierdzia publicznego, nie solidaryzuje się” – odnotował na prośbę zainteresowanych „Czas”.

✎ **24 listopada.** Policja Państwowa wpadła na dalsze ślady akcji komunistycznej w Krakowie. W czasie śledztwa aresztowano 29-letniego Pawła Sierankiewicza, ślusarza-brązownika.

Aresztowany wykluczony został latem ze związku zawodowego metalowców. Ostatnio działał wśród robotników, agitując za komunistami. Przy Sierankiewiczu znaleziono papiery kompromitujące oraz odezwy komunistyczne. *Każda władza wspiera się bohaterami na swoją miarę. Ów Sierankiewicz, zamordowany później w czystkach stalinowskich, został w 1959 roku patronem ul. Skwerowej w Dębnikach. W 1991 roku ulica ta wróciła szczęśliwie do dawnej nazwy.*



Marian Dąbrowski (1878–1958), dziennikarz, założyciel koncernu wydawniczego „IKC”; 1921–1935 poseł na Sejm RP, fot., 1926, NAC

✂ **25–27 listopada.** Dzienniki opisywały tragiczny w skutkach napad na lokal banku Hermes przy ul. Dietla 62: trzy ofiary śmiertelne i ciężko ranny, przypadkowy przechodzień.

✂ **27 listopada.** Jak podała „Nowa Reforma”: „Wczoraj rano prezydium miasta Krakowa wysłało do województwa obszerne pismo w sprawie niedomagań bezpieczeństwa publicznego w naszym mieście. Również, jak się dowiadujemy, w najbliższy poniedziałek na posiedzeniu Rady Miejskiej poruszane będą kwestie związane ze wzmagającą się falą bandytyzmu”.

✂ **28 listopada.** „Towarzystwo Ochrony Zwierząt, po długoletniej przerwie spowodowanej wojną, wznawia z dn. 1 grudnia swą działalność. Wpisy na członków odbywać się będą codziennie od 6 do 8 wieczór w lokalu Towarzystwa przy ul. Kanoniczej 15” – anonsował „Czas”.

✂ **29–30 listopada.** Prasa odnotowała uroczyste oddanie do użytku odnowionej i rozbudowanej kawiarni Grand Hotelu: „Będzie ona, jak poprzednio, centrum zebrań najwytworniejszej publiczności krakowskiej tym bardziej, że jasny, obszerny lokal nadaje się ku temu i że kawiarnię zaopatrzone w liczne pisma polskie i zagraniczne oraz że służba nareszcie odpowiada swoim zadaniom” – zachwycał się reporter „IKC”.

✂ **30 listopada.** „Nowa Reforma” jako jedyna odnotowała inauguracyjny występ teatru futurystów z udziałem między innymi Leona Chwistka i Tytusa Czyżewskiego. Pokaz odbył się w sali Instytutu Muzycznego przy

ul. św. Anny 2. Przy tej okazji ukazała się słynna jednodniówka *Nuż w bżuhu*. „Akcja oczywiście bezsensowna i beztreściwa, w ogólnych zarysach obracała się wokół znanej bajki Lafontaine’a o słońcu i żabach. Publiczność nie mogła nic zrozumieć, mimo wysiłku wykonawców, ale oklasków było dużo, bo sala była zatłoczona po brzegi”.

✂ **30 listopada.** Jak donosił „IKC”: „Konsul austriacki w Krakowie Lebinegg został na skutek interwencji naszych władz odwołany ze swego stanowiska. Przyczyną wkroczenia naszego rządu było antypolskie usposobienie pana Lebinegga oraz rubaszność form w obejściu, na którą skarżyło się kupiectwo krakowskie. Kierownictwo konsulatu krakowskiego objął dotychczasowy wicekonsul pan Schwimmer, któremu przydzielono urzędnika władającego językiem polskim”.

Mimo tych perypetii placówka ta przetrwała cały okres międzywojenny pod kierunkiem przemysłowca Antoniego Lewalskiego (od 1924), ale ze zmianą statusu na konsulat honorowy.



Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.

Bardzo stary sweter

Tekst: Paweł Głowacki

Piątek

Szare jest powietrze nad widownią, szara jest widownia, takie też wszystko po bokach i w górze. Jeśli tylko w Teatrze Ludowym, na Scenie pod Ratuszem, grana będzie studziesięcioletnia bajka Antoniego Czechowa *Wujaszek Wania* – światła fikcji, przyćmione, przyprószone kurzem, nie przestaną bezwładnie sączyć się na stronę rzeczywistości, nad zapatrzone, zasłuchane głowy. Nad nie, na nie, na ramiona, nogi, pod nogi. Samej czystej ciemności nie do przejrzania – nigdy tu nie będzie. Ani samej ciemności, ani jej przeciwieństwa – oślepiającego blasku. Będzie tylko szarość. Wiele istnień szarości. Wszystkie stopnie zmięczenia łagodnie krzepnącego od rampy scenicznej do ściany za ostatnim rzędem, ale nigdy nie noc głęboka. W załomkach twarzy widzów cętki cieni o nie do zliczenia stopniach gęstości. Sto różnych mroków na ceglany sklepieniu. Jeszcze wszystkie szarości piersi, ramion i brzuchów, jeszcze szarości kolan nóg założonych na nogi i szary popiół dłoni uspioonych na udach. A z boku pierwszego rzędu – szarość miękka, z rękawami. Sweter. Krucha kobieta w swetrze z grubej wełny, zbyt obszernym jak na nią i o wiele od niej starszym. Wiekowym jak bajka Czechowa? Studziesięcioletnim? Możliwe to? Ilekroć wyreżyserowany przez Małgorzatę Bogajewską *Wujaszek Wania* grany będzie na Scenie pod Ratuszem – na samym początku bajki krucha kobieta w szarym swetrze z grubej wełny bezszelestnie stawać będzie po prawej stronie pierwszego rzędu widowni, tuż przy scenie. A dalej – chwila czekania. Niewiele.

Niedziela

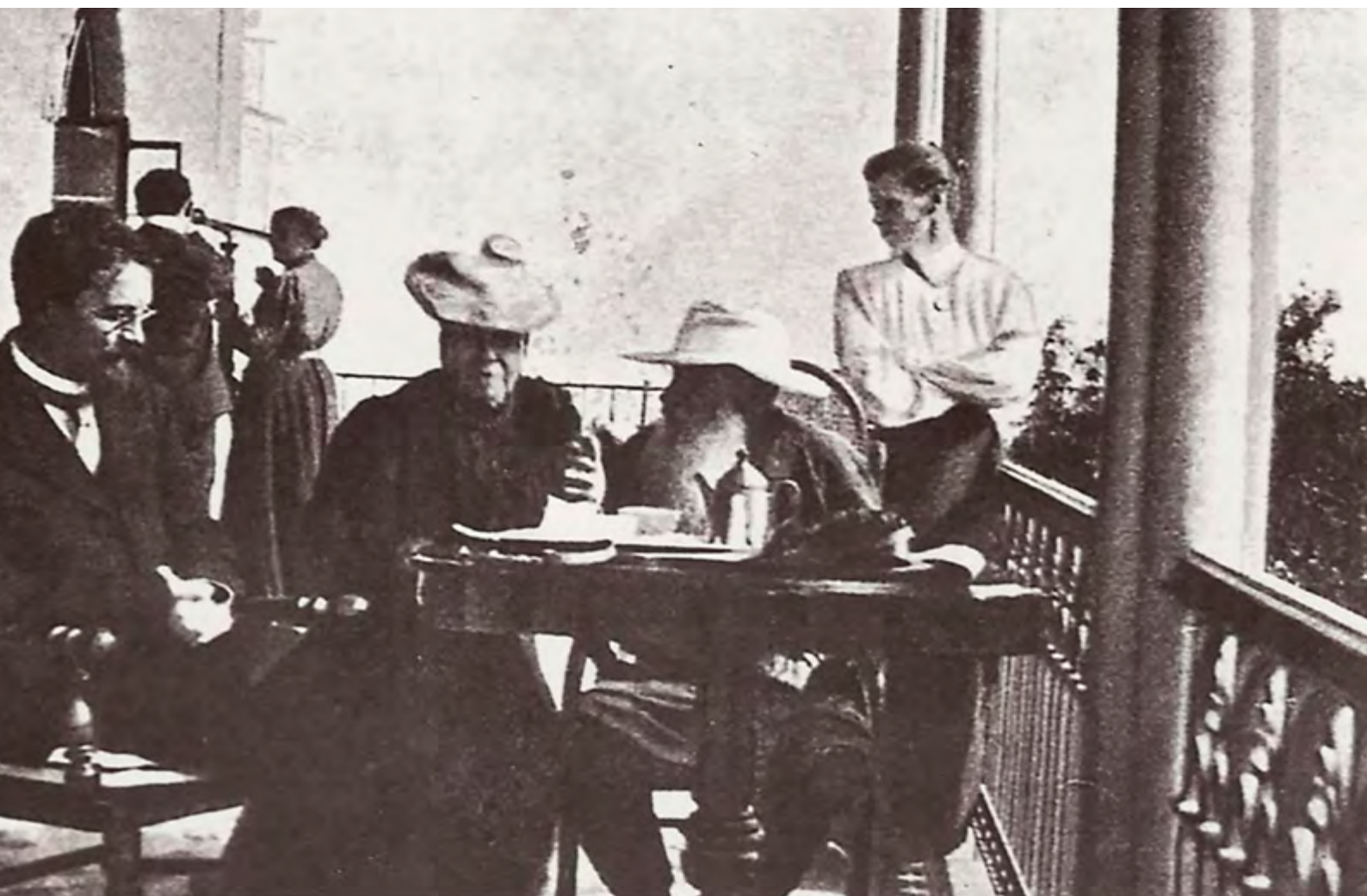
Szarość stareńkiego swetra z grubej wełny, kiedyś, na początku, gdy czas dopiero uruchomił mechanizm płowienia – swetra pewnie krystalicznie czarnego. Która to już szarość? Jak wiele jest gatunków szarości, jej odcieni, stopni gęstości? Ile istnieje wcieleń szarości? Można rzec: zmieszaj z sobą przeciwieństwa! Wlej do słoja kubek farby czarnej idealnie oraz kubek nieskazitelnie białej, zakręć słoje, wstrząśnij intensywnie – i już! Gotowe! Masz oto farbę barwy szarej! Zaczynaj! Twórz obrazki! Ciotkę namaluj...! Owszem, można i tak. Można poprzestać na kończącym się szarością bełtaniu czerni z bielą, zwłaszcza że nic tak prędko nie uspokaja jak płaska

trywialność, jak prostota toporna. Więc raz jeszcze: z czarnego i bieli – powstanie barwa szara, powstanie, bo musi. Nikt nie twierdzi inaczej. Ale z ciekawości – spójrzcie na reprodukcje obrazków Williama Payne'a, akwarelisty z przełomu XVIII i XIX wieku. Skupcie się na jednej i porachujcie szarości, co zlepiają się w krajobraz. Kto liczy tylko do stu – lepiej niech nie zaczyna.

Poniedziałek

Na jednym z tysięcy bezlitosnych rysunków Sławomira Mrożka ciekawy tajemnic Melpomeny chłopczyk pyta ojca, co to jest teatr metafizyczny. Skupiony na lekturze starzec odpowiada znad gazety codziennej: Taki, co składa się z samych punktów ciężkości.

Ani kropli trywialnie oczywistej czerni Payne nie wlał do słoja. Ani też kropli trywialnie oczywistej bieli. Stworzył własną malarzką mysz, do dziś zwaną Szarością Payne'a, stworzył wiele istnień myszy – ostrożnie mieszając przeróżne miary indygo, sjeni surowej oraz karmazynu. Ktoś inny w inną szarość obrócił czerwień marsową, ultramarynę i czerń sadzy. Kolejny w mysz kolejną zbełtał sepię, niebieski oraz fiolet. A następny uzyskał krańcową formę szarej symbiozy – na wieki nicując róż chinakrydonowy barwą niebieską i karbonowym mrokiem... Szarość bardzo starego swetra z grubej wełny – która to jest szarość w zbiorze wszystkich istnień szarości? Czy operując profesjonalnym narzęciem malarzy, da się wyczerpać wszystkie tajemnice myszy każdej? Przyglądam się obrazkowi Payne'a ukazującemu wieź samotnie kruszejącą przy drodze wiodącej przez las w stronę gór łagodnych i jakby zrezygnowanych, i naraz brzęczeć w głowie zaczynają stare nazwy Vladimira Nabokova. *Szare zabarwienie... Odcień pośredni między kolorem starego parkanu i ciężkiej burzowej chmury... I jeszcze: Subtelność w portretowaniu szarej ludzkiej egzystencji...* Wszystko to są frazy o alchemii bajek Czechowa. Nietrudno



Piotr Aleksiejewicz Sergienko, *Tołstoj i Czechow na dacy Panina*, Wikimedia Commons

sobie wyobrazić, że szarym zmierzchem burzowego dnia, pod niebem niskim i jak ołów, przy starym parkanie zatrzymała się na chwilę krucha kobieta w szarym swetrze z grubej wełny, wędrująca nie wiadomo skąd ani dokąd. I powoli wyciąga przed siebie dłoń, jakby chciała komuś pomóc przejść na drugi brzeg. Albo jakby prosiła, żeby ktoś pomógł przejść tam jej samej.

Wtorek

Bywa, że ludziom, kiedy studiują bajki Czechowa, wystarcza trywialny, dziecinny podział spraw świata tego na czerń oraz biel, i dla wzmożenia łatwizny cudownie kojącej nerwy zszarpane codzienną niepewnością – wybierają już nawet nie płytką, tandetną szarłość bieli zmieszanej z czernią, ale tylko jedną ze skrajności. Albo przepoczwarzają Czechowa w szczebiotliwego, lirycznego dziadunia o serduszkę gołęmbim, w oparach samowara zatroskanego o los ukochanych bliźnich (wersja jednolicie biała), albo robią zeń mrocznego demona z węgla, z głębi swych trzewi basem dującego nad gnijącym światem niekończące się, powłóczyście arie metafizyczne (wersja jednolicie czarna). Skąd bierze się aż taki lęk przed nieogarnioną pełnią szarości

głębokich? Jak reżyser Luk Perceval czytał *Trzy siostry*, jak słuchał Czechowa, że w niepodrabialnej intonacji Czechowa, którą Nabokov nazywa „lekko opalizującą werbalną mgiełką”, odnalazł pięć ton smolistego gruzu? Pięć, o ile nie dziesięć.

Środa

Na jednym z tysięcy bezlitosnych rysunków Sławomira Mrożka ciekawy tajemnic Melpomeny chłopczyk pyta ojca, co to jest teatr metafizyczny. Skupiony na lekturze starzec odpowiada znad gazety codziennej: Taki, co składa się z samych punktów ciężkości. Starzec nie wie – bo niby skąd i jak, skoro odpowiada wiele, wiele lat temu – nie wie, że oto zrecenzował synkowi *3siostry*, seans przez Percevala wyreżyserowany w Narodowym Starym Teatrze, na scenie wielkiej. Tak właśnie: 3, nie „Trzy”. Cyfra, nie słowo. Arytmetyka, nie metafora. Kawa na ławę, nie ulotność. Odezwa do licznie zgromadzonych bliźnich, nie opowieść snuta dla kogoś samotnego. Nie prośba Czechowa, delikatnie złożona tobie: „Posłuchaj!”, lecz Percevala pouczenie ludzkości całej, zaczynające się inwokacją: „Uważnie słuchajcie, bo inaczej źle będzie!!!!!!”. I znów Mrożek wraca.

A może to nie jego, lecz Andrzeja Mleczki dzieło? Obojętne. Oto na mównicy – ślimak. I tak mobilizująco przemawia do licznie zgromadzonych na placu ślimaków: „Pomimo wielokrotnego wystawiania rogów – do tej pory nie otrzymaliśmy obiecane sera na pierogi!!!!!!”. Nie chodzi o tanie żarty, o dworowanie sobie z Percevala kreskami Mrożka lub Mleczki. Tutaj chodzi w istocie o ocalenie. Jeśli teatralny seans jest niby wciąż od początku powtarzane chóralnie w katatonicznym rytmie zakłęcie: „Cicho wszędzie... głucho wszędzie... co to będzie... co to będzie...” – to po góra piętnastu minutach tych tortur cóż ci innego pozostaje, niż ratować się dowcipkowaniem, zwłaszcza kiedy masz informację, że do ostatniej kurtyny zostało jeszcze dwie i pół godziny? Po prostu, 3 siostry są aktorsko-scenograficzno-światłno-muzycznie głębia tak bombastycznie napuszoną, że raczej wcześniej niż później obracają się one w niezamierzoną autoparodię, w operetkę głębi, w hrabinę Maricę od pasa w górę przebraną za Gertrudę Stein, zaś od pasa w dół – za Martina Heideggera. W programie aktorzy wymienieni są z imienia i nazwiska, owszem, lecz nie z imienia i nazwiska granych przez siebie postaci. W sumie – słusznie. Każdy z nich gra przecież – to samo. Nie postać, a ideę. Nie życie jedno, lecz zbiorową prawdę o życiu stadnym. Każdy z osobna przedstawia jedną jedyną etiudę sceniczną. „Proszę mi tu zagrać ból istnienia!” Coś takiego rzekł Perceval. No to zagrali. I nie przestają.

Czwartek

W Bogajewskiej *Wujaszku Wani* wszyscy noszą imiona i nazwiska postaci ze studwudziestoletniej bajki Czechowa. Piotr Pilitowski – Iwan Pietrowicz Wojnicki, Kajetan Wolniewicz – Aleksander Władimirowicz Sieriebriakow, Piotr Franasowicz – Michał Lwowicz Astrow, Helena Andrejewna – Roksana Lewak i niewielu innych. I jeszcze ta krucha, młodzianka kobieta w szarym swetrze z grubej wełny. Sofia Aleksandrowna. Sonia. Sonia, czyli Maja Pankiewicz. Stoi przy scenie obok przyćmionego, przyprószonego kurzem światła fikcji, w szarym mroku na schodach po prawej stronie pierwszego rzędu widowni. Jak palec. Ojciec jej, Sieriebriakow, z wnętrza przyćmionego na scenie światła wyciąga do niej rękę. Zaprasza do wejścia? Do bycia wewnątrz małego światła? Do przejścia na drugi brzeg i wzięcia udziału w życiu słodkim? Opiera się trochę. Krucha, otulając się rękami, jak mają w zwyczaju samotni, uparcie omija spojrzeniem wyciągniętą dłoń starca. Dzielna! Lecz nie ma sił długo trwać z boku, nie stać jej na więcej niż kilkanaście sekund odwagi. Wchodzi na scenę. W przyćmione światło. Tak. Lecz krok jej znaczący przegraną tylko wobec fizyki świata, trzech wymiarów, świętego spokoju ojca. I tutaj tkwi pestka całej opowieści Bogajewskiej.

Sobota

W pierwszych taktach bajki skulona w babilońskim swetrze, krucha Pankiewicz, krucha Sonia, krucha kobieta, każdy, każdy kruchy z wszystkich kruchych – wchodzi na scenę, w szarawe życie wiejskiego dworku Sieriebriakowa – ale w istocie nie opuszcza własnego mroku. Zostaje w szarościach, z których jest ulepiona. Dla reszty postaci staje się postacią bliską, figurką na wyciągnięcie ręki, na rzut oka, tak. Lecz sama nie zechce oblepiać bliźnich dotykiem, spojrzeniami, oddechem. Jest Sonia wewnątrz stadka ludzkiego – ale do końca bajki nie abdykuje z samotności. Nie tylko Sonia z *Wujaszka Wani* tak istnieje. Jak wiele jest u Czechowa figur podobnych Soni

Nigdy tylko jedna z dwóch skrajności.
Nigdy wyłącznie czerni ciężka niby gruz,
nigdy też sam dobrodusznie troskliwy
dziadunio, cały w mlecznych bielach.
Zawsze szarość cała, cały odcień pośredni
między kolorem starego parkanu i ciężkiej
burzowej chmury. Tylko to. Pełnia.

granej przez Pankiewicz, figur bliźniaczo podwójnych, które przed światem identycznie jak ona przemilczają jedną trzecią samych siebie, a nawet połowę, niczym wieczny Jekyll równie wiecznego Hyde'a? U Czechowa nikt nie abdykuje z samotności, gdyż nie ma innego skutecznego sposobu istnienia, innego niż samotność utkana z wszystkich tonów szarości. Papuzio barwna frenezja stadnej codzienności, kleczonej z oddechów, dotknięć i gapienia się, nie zmienia niczego. Ot, zestaw tandetnych pocieszeń, nic więcej.

Środa

Nigdy zatem tylko jedna z dwóch skrajności. Nigdy wyłącznie czerni ciężka niby gruz, nigdy też sam dobrodusznie troskliwy dziadunio, cały w mlecznych bielach. Zawsze szarość cała, cały odcień pośredni między kolorem starego parkanu i ciężkiej burzowej chmury. Tylko to. Pełnia. I zawsze jedynie cała lekko opalizująca werbalna mgiełka. Żeby Czechowa nie zgubić w trywialnej jednoznaczności, żeby usłyszeć całą szarość jego bajki, ulepionej z szarości niewielkich widm – wystarczy nie przeszkadzać. Dać święty spokój bajce. Niechaj gada, co chce. I jak chce.



Paweł Głowacki – krytyk teatralny i recenzent kultury, postać barwna.

nowy przekład
Jarosława Mikołajewskiego



Dante
Alighieri

Boska Komedia



Przekład dzieł klasyki literackiej zawsze jest wydarzeniem. *Boska komedia* Dantego ma kilka polskich wersji. Tą najbardziej znaną jest tłumaczenie Edwarda Porębowicza, ale swoje mówi i to, że jej fragmenty spolszczali też Adam Mickiewicz, Cyprian Kamil Norwid i Stanisław Barańczak...

Teraz wyzwania tego podjął się Jarosław Mikołajewski – poeta, pisarz, eseista i publicysta (obecny także na łamach „Krakowa”). A także – znawca kultury Włoch (swego czasu pracował w Katedrze Italianistyki UW i szefował Instytutowi Polskiemu w Rzymie). Prócz wierszy (docenianych zarówno przez krytyków, jak

i jurorów wielu nagród literackich), ma w dorobku również przekłady – między innymi Petrarcki, Michała Anioła, Giacomo Leopardiego, Eugenio Montalego, Giuseppe Ungarettiego, Cesarego Pavese, Piera Paolo Pasoliniego i Primo Leviego. Połączenie wrażliwości poetyckiej, sztuki translatorskiej i erudycyjnej wiedzy na temat kontekstu kulturowego daje gwarancję, że to ta nowa translacja średniowiecznego arcydzieła stanie się tą kanoniczną.

Boska Komedia Dantego w tłumaczeniu Jarosława Mikołajewskiego ukazuje się właśnie nakładem Wydawnictwa Literackiego.

Piekło

Pieśń XXXIV

1 „Vexilla regis prodeunt inferni
w naszą stronę, więc patrz przed siebie —
powiedział mój mistrz — jeśli je dostrzegasz”.
4 Jak kiedy tchnie gęsta mgła
lub kiedy jest noc na naszej półkuli,
widnieje w oddali wiatrak, którym wiatr obraca,
7 wydało mi się wówczas, że widzę taką budowlę,
potem przed wiatrem schroniłem się za
moim przewodnikiem, bo nie było tam innej jaskini.
10 Już byłem, i ze strachem układałem to w wiersze,
tam gdzie wszystkie cienie były pokryte
i prześwitywały jak we szkle chochoły.
13 Jedne są leżące, inne stoją prosto,
to na nogach, to znowu na głowie,
inne jeszcze jak łuk, do stóp wykręczone twarzami.
16 Kiedy tak bardzo przeszliśmy do przodu,
że spodobało się mojemu mistrzowi pokazać mi
stworzenie, które dostało piękną postać,
19 usunął się przede mnie i kazał się zatrzymać,
„Oto Dis — mówiąc — i oto miejsce,
gdzie trzeba, byś uzbroidł się w moc”.
22 Jak wtedy stałem się zimny i nikły,
nie pytaj, czytelniku, bo ja tego nie napiszę,
bo każda mowa to byłoby mało.
25 Ja nie umarłem i nie pozostałem przy życiu,
sam już sobie wyobraź, jeśli masz nieco umysłu,
jaki ja się stałem pozbawiony jednego i drugiego.
28 Cesarz bolesnego królestwa
od połowy piersi wynurzał się z lodu,
i bardziej ja mogę się równać z gigantem,
31 niż giganci mogą z jego ramionami;
wyobraź już sobie, jaki on musi być cały,
skoro składa się z takich części.
34 Jeśli on był tak piękny, jak on teraz jest brzydki,
i przeciw swojemu stwórcy podniósł oczy,
to musi od niego wszelkie zło pochodzić.
37 Ach, jak wielkim dziwem mi się zdało,
kiedy ja zobaczyłem trzy twarze na jego głowie!
Jedna z przodu, i ta była karminowa,
40 tamte były dwiema, które dołączyły do tej
pośrodku każdego barku,
a łączyły się w punkcie grzebienia;
43 prawa zdawała się między białą a żółtą,
lewa taka się widziała, jacy
pochodzą stamtąd, gdzie Nil się zapada.

46 Spod każdej wychodziły dwa wielkie skrzydła,
jak przystało na wielkiego ptaka —
nigdy nie widziałem takich morskich żagli.
49 Nie miały piór, lecz nietoperzy
był ich wygląd, a łopotał nimi
tak, że trzy wiatry z niego wiały,
52 cały Kocyt od nich zamarzał.
Sześcioma oczami płakał, i po trzech brodach
ściekały płacz i krwawa piana.
55 W każdych ustach rozrywał zębami
jednego grzesznika, na wzór międlarki,
więc trzem zadawał takie cierpienie.
58 Dla tego z przodu gryzienie było niczym
w porównaniu z drapaniem, aż miejscami plecy
były całe odarte ze skóry.
61 „Ta dusza w górze, co najbardziej cierpi —
rzekł mistrz — to Judasz Iskariota,
który głowę ma we wnętrzu, a nogami macha na zewnątrz.
64 Z dwóch pozostałych, zwisających głowami w dół,
tym, co opada z czarnego pyska, jest Brutus,
zobacz, jak się skręca i milczy;
67 a drugi to Kasjusz, co wygląda tak grubo.
Ale noc powstaje i już
trzeba odejść, bo zobaczyliśmy wszystko”.
70 Jak mistrz chciał, oplotłem mu szyję,
a on wyważył czas i miejsce
i kiedy skrzydła były bardzo otwarte,
73 wczepił się we włochate żebra,
następnie zszedł od kępy do kępy,
pomiędzy gęste kudły a lodowe skorupy.
76 Kiedy byliśmy tam, gdzie udo
wyrasta w miejscu zgrubienia bioder,
przewodnik z wysiłkiem i z męką
79 zwrócił głowę, gdzie tamten miał łapy,
i uczeplił się włosów jak człowiek, co się wspina,
aż myślałem, że znów wracam do piekła.
82 „Trzymaj się dobrze, bo po takich schodach —
powiedział mistrz, dysząc jak człowiek skonany —
trzeba oddalić się od tego zła”.
85 Potem wyszedł na zewnątrz przez dziurę w skale
i posadził mnie na krawędzi
i skierował ostrożny krok do mnie.
88 Ja uniosłem wzrok i myślałem, że zobaczę
Lucyfera, jak go zostawiłem,
a zobaczyłem jego nogi wzniesione do góry;
91 a czy ja się stałem wtedy zmordowany,
niech pomyślą głupi ludzie, którzy nie widzą,
czym jest ten punkt, który minąłem.
94 „Dźwignij się — powiedział mistrz — na nogi:
droga jest długa, a marsz jest zdradliwy,
i słońce już wraca do połowy tercji”.

97 Nie była to aleja pałacu,
tam gdzie byliśmy, tylko naturalny loch,
który miał złe podłoże i trudności ze światłem.

100 „Zanim oderwę się od czeluści,
mój mistrzu – ja powiedziałem, kiedy stałem prosto –
trochę mi opowiedz, by wyrwać mnie z błędu:

103 gdzie jest lód? A ten jak tkwi
tak na opak? I jak, w tak krótkim czasie,
słońce odbyło podróż od wieczora do rana?”

106 A on odrzekł: „Ty wyobrażasz sobie jeszcze,
że jesteś po tamtej stronie od środka, gdzie ja się wczepiłem
w sierść nikczemnego robaka, co dziurawi świat.

109 Tam byłeś do chwili, kiedy ja zszedłem;
kiedy ja się obróciłem, ty przekroczyłeś punkt,
do którego zewsząd garną się ciężary.

112 A teraz dotarłeś pod półkulę,
która jest przeciwstawna tej, co wielki ład
pokrywa, i pod której szczytem zgładzony

115 został człowiek, który urodził się i żył bez grzechu;
ty masz stopy na małym kole,
które jest drugą stroną Giudekki.

118 Tutaj jest ranek, kiedy tam jest wieczór,
a ten, co sierścią robi dla nas drabinę,
wciąż tkwi tak, jak był wcześniej.

121 Z tej strony spadł z nieba,
a ziemia, która wcześniej stąd się wynurzała,
ze strachu przed nim z morza zrobiła zasłonę

124 i przeszła na naszą półkulę, i pewnie
by uciec przed nim, pozostawiła tutaj puste miejsce
ta, którą widać po tamtej stronie, i w górę uciekła”.

127 Jest tam w dole miejsce odległe od Belzebuba
na tyle, na ile ten grób się rozciąga,
które rozpoznaje się nie wzrokiem, lecz brzmieniem

130 źródła, co tam spada
przez dziurę w skale, którą ono wygryzło
nurtem, którym ono się wwierca, z niewielkim spadkiem.

133 Przewodnik i ja tym ukrytym szlakiem
weszliśmy, by wrócić do jasnego świata,
i nie dbając o to, by mieć jakiś spoczynek,

136 weszliśmy, on pierwszy, a ja drugi,
aż ja zobaczyłem piękne rzeczy,
które niesie niebo, przez okrągły otwór.

139 I wtedy wyszliśmy, by zobaczyć gwiazdy.

Czas złotej analogii

Tekst: Maria Malatyńska

Kino to poręczna sztuka! Można z jego pomocą równie łatwo burzyć pomniki, jak je budować!

A w kraju, w którym tak metodycznie łamie się teraz wszystko, od zasad, sumienia i prawa po autorytety i zwykłą prawdę, gdzie wciąż kreuje się nowe wartości, by się za chwilę ich wyprzeć, oraz tak łatwo wykreśla się ludzi z historii, a wkłada „swoich”, a rządząca partia chce opanować każdy oddech suwerena, kino mogłoby mieć bajeczne życie, gdyby się poddało. Mogłoby stwarzać kolejnych wrogów, propagandowo ich niszczyć i rozwijając jedyną słuszną sztandary, jeszcze narzekać na prześladowania. To byłoby życie! Ale, na szczęście, nie ta tradycja, nie te umiejętności. Polskie kino zawsze miało mocny kościec artystyczny i świadomość społecznej misji oraz było blisko ludzi. Więc i teraz potrafi ich ratować! Choćby przed propagandą i zwątpieniem.

*

Jeden z ojców polskiej krytyki filmowej, dziś już trochę zapomniany profesor Aleksander Jackiewicz udowodnił przed laty, że polskie kino jest skazane na wielkość. Bo jest wielkie w swoich ambicjach i w artystycznych efektach, w tym, że twórców interesuje tylko poważna refleksja, zderzenie jednostki z historią, z moralnością, z ideami wolności. Bo – jak mówił wówczas – żyjemy w ustawicznym przeciągu historii. Małe sprawy nam nie wychodzą, ulegają zapomnieniu, nie liczą się, lecz siłą naszej sztuki są wielkie tematy i wielcy twórcy.

Mógł tak uważać, bo stały za jego refleksją tkwiące i w repertuarze, i na planie filmowym kolejne arcydzieła Andrzeja Wajdy, jego ustawiczne, romantyczne potyczki z historią, na które się czekało tak, jak i na odkrywczym malowaniu Śląska przez Kazimierza Kutza lub – na drugim krańcu – na filozoficzne rozważania Krzysztofa Zanussiego. A i Krzysztof Kieślowski, choć wyszedł od pracowitego opisywania zwyczajnych ludzi w codziennej Polsce („bo trudno żyć w świecie nieprzedstawionym”, jak powtarzała za słynną książką Zagajewskiego i Kornhausera), to przecież doszedł do głębokiej opowieści o ludzkiej kondycji.

Dziś wydaje się, że od tamtej refleksji minęła niewiarygodnie długa epoka. Arcydzieła mają swoje „arcy-półki”, są pracowicie odkurzonym i niezmiennie cenionym dorobkiem, ale wyjmowane są tylko od święta. Nawet Wajdę, który zmarł zaledwie pięć lat temu, umieszczono na wysokiej półce i chociaż filmy jego pojawiają się często, nawet w telewizji – przestano o nim myśleć. A przecież jeszcze niedawno pisaliśmy, że „myślimy Wajdą”, „patrzmy Wajdą”, czekamy, co powie, co wskaże, przeciw czemu zaprotestuje... Została nam tylko Agnieszka Holland: samotna i niepokonana, odważnie odpierająca kusańce różnych partyjnych wściekłości.

Cóż... rzeczywistość przerosła sztukę? Kiedyś argumentem dla zmiany mogły być przypomniane powyżej słowa o „świecie nieprzedstawionym...”, ale dziś związku przyczynowo-skutkowego nie da się tak prosto wywodzić. Bo choć to prawda, że trudno żyć w świecie nieprzedstawionym, to przecież nie sposób opisać świata aż tak chaotycznego, pozbawionego logiki i stabilizacji, struktury i prawa, wiecznie skłóconego ze wszystkimi, gdy jego naturalną emocją jest nienawiść do drugiego człowieka, nawet zanim się go pozna. I też trudno żyć w świecie, gdzie garstka polityków uważa pół narodu za wrogów i zdrajców... A jednak w takiej rzeczywistości teraz żyjemy.

Film może na to odpowiedzieć, bo jest sztuką wizualną. A, jak się wydaje, polskie filmy znalazły sposób, by do nas dotrzeć właśnie obrazem. I nie jest to posłuszna realizacja narzuconych tematów, bo takie nigdy w polskiej produkcji się nie udawały. Jednym z ostatnich przykładów jest filmowy portret prymasa Stefana Wyszyńskiego.

Ale niespodziewanym odkryciem naszego kina stała się siła analogii. Czyli przybliżanie ludzi i spraw podobnych do dzisiejszych po to, by wykorzystać szansę na przypatrzenie się sobie samemu z bliska. Nie znaczy to, że twórcy przewidują powrót cenzury i wiedzą, że lepiej robić film o (dobrze wybranej) przeszłości niż o bliźniaczo podobnej do niej

teraźniejszości. Ale bywa przecież, że przeszłość niespodziewanie koreluje z chwilę obecną. Zarówno w dobrym, jak i w złym znaczeniu. Trudno było o tym nie pomyśleć, gdy wszedł na ekrany znakomity film o tragicznym zdarzeniu z niedawnej przeszłości, czyli rzecz o morderstwie, które popełniła PRL-owska milicja na maturzyście Grzegorz Przemysku. Nazywa się gorzko: *Żeby nie było śladów*. Oczywiście: tragedia, dramat, konteksty polityczne – wszystko w tym filmie jest. A także bezmiar nieszczęścia oraz pięknie zarysowane i odegrane postaci młodych ludzi. Jest także doskonale zarysowana tkanka społeczna – należała do tamtej opowieści, wypełniła tło i stała się siłą napędową tamtej tragedii. Lecz równocześnie film pokazał coś, co w podobnych, politycznych i społecznych, kontekstach znamy również dzisiaj. Bo przecież wiemy, co znaczy budowanie świata na donosach, kłamstwach, manipulacjach, wiemy, jak wygląda bezkarność różnych służb i zrzucanie z siebie odpowiedzialności za czyjąś śmierć. Wiemy przecież, że tamta tragedia, której sprawcami byli milicjanci, wydarzyła się w ponurej aurze stanu wojennego początku lat 80. Ale co zrobić z rokiem 2016 i równie niewinnym oraz przypadkowo pochwyconym młodym człowiekiem Igozem Stachowiakiem, zakatowanym przez policję? A przecież to nie jedyny przykład takiego morderstwa w naszej obecnej rzeczywistości.

Ta łatwość analogii dotyczy spraw najpoważniejszych, więc powinna być traktowana szczególnie. Zwłaszcza że prowadzi do niewygodnych wniosków, choćby takich, że może ponura siła tamtego systemu trwa nadal, choć wszyscy przecież potępili tamten czas, odcięli się i sądzili, że budują nowy świat. Tymczasem to może tamten system nadał taką siłę anomaliiom, że stanowią one społeczny napęd do dziś? I dlatego nie zauważamy, że wracamy? Byłby to przykry wniosek i tragiczna analogia. Młody reżyser Jan P. Matuszyński, pamiętany z sukcesów swojego debiutanckiego filmu *Ostatnia rodzina*, okazał się tu dosadny i gorzki.

*

Ale są analogie inne: drobne, zwyczajne, niemal pogodne. Przyznaję, że bardziej zaskakujące są takie przypomnienia, które potrafią zaapelować do naszych codziennych

emocji i ciepłych sentymentów. Tak choćby, jak zrobiła to Kinga Dębska w *Zupie nic*, gdzie powrót do drobiazgowo odtworzonej zgrzebności pustych półek, kartek na mięso i handlowania lisimi skórkami na wczasach w Jugosławii wywołuje zdumienie nawet tych trochę bezradnych, ale sympatycznych ludzi, którzy w tym żyją. Może to także daje szansę na przyjrzenie się początkom i źródłom naszych obecnych kompleksów niższości,

Kino polskie mogłoby mieć bajeczne życie, gdyby się poddało. Mogłoby stwarzać kolejnych wrogów, propagandowo ich niszczyć i rozwijając jedyne słuszne sztandary, jeszcze narzekać na prześladowania. Ale, na szczęście nie ta tradycja, nie te umiejętności.

ciągłego niedowartościowania. Może właśnie dlatego tak puszą się niektórzy z nas, tak czują się „dowartościowani”, gdy im politycy mówią, że jesteśmy najważniejsi w Europie, nikt nam „nie podskoczy”, przecież to my uczylimy Francuzów jeść widelcem.

Ale jest też coś innego: wieczne polskie poczucie wyższości i przekonanie, że tylko pieniądź jest równoznaczny z wyższym statusem społecznym, o czym dowiadujemy się z brawurowych *Teściów*.

Są i bardziej absurdalne kompleksy, jak chęć znalezienia polskiego bohatera, który nie boi się stróżów prawa, czyli milicjantów, potrafi ich przechytrzyć i jest niezwyciężony. Taki, w tonacji niemal komediowej, jest obraz *Najmro*, czyli mocno zmitologizowana opowieść o Zdzisławie Najmrodzkiem, królu ucieczek ze wszystkich więzień, w brawurowym wykonaniu Dawida Ogrodnika!

Tych filmów jest mnóstwo. Są skromne, ale świetnie zrealizowane warsztatowo. Ich autorami często są debiutanci, młodzi ludzie o świeżym spojrzeniu i przekonaniu, że kino dostrzeże wszystko. Może się nawet dziś wydawać, że mają one jedno wspólne zadanie: pozwalają nam zbliżyć się do siebie samych. By zobaczyć, jak w lustrze, skąd pochodzą nasze słabości i jak wygląda pułap polskich

marzeń. Pomyślałam, patrząc na ich zwykłość i takie ciepłe zbliżenie się do ludzkiej zwyczajności, że właśnie one pozwolą nam przetrwać. Choćby okoliczności zewnętrzne stały się jeszcze bardziej absurdalne!

*

Nie wiem, skąd mi się wzięła w wyobraźni taka uparta scena. Może to jakiś fragment scenariusza, z którego film jeszcze nie powstał? A może coś mi się przyśniło, wszak

Niespodziewanym odkryciem naszego kina stała się siła analogii. Czyli przybliżanie ludzi i spraw podobnych do dzisiejszych po to, by wykorzystać szansę na przypatrzenie się sobie samemu z bliska. By też spojrzeć na własne kompleksy.

podobnym, wstydlwym obrazem żył nie tak dawno cały kraj... Nie, to nic groźnego. To tylko mała garstka ludzi „obcych” utkwiała kiedyś na jakiejś granicy, gdzie był las, jakieś bagna, gdzie padał deszcz, a noce były szczególnie zimne. A owi obcy (uciekiniery?) nie mieli wody ani pożywienia, nie mieli się gdzie schronić i nie mieli siły prosić o pomoc. Zresztą i tak pomocy nikt by im nie udzielił, bo specjalnie wprowadzono na tym terenie stan wyjątkowy, by uniemożliwić komukolwiek zbliżenie się do tej garstki ludzi. Naprzeciw tej grupki postawiona została uzbrojona po zęby grupa strażników, ludzi w mundurach. A między tymi dwiema stronami tkwiły, wciąż umacniane i dekoracyjnie rozbudowywane zasieki z drutu kolczastego. Takiego, żeby nawet mysz się nie przedostała. Biedni strażnicy musieli mieć zresztą oczy „dookoła głowy”, by miłosiernych ludzi z okolicy, którzy jednak chcieli pomagać i niespodziewanie pojawiali się ni stąd, ni zowąd, konsekwentnie odganiać, wzmacniając nieustannie zasieki. I było w tym obrazku jakoś bezgłośnie. Pierwszych czworo uciekinierów, pewnie słabszych – szybko umarło. Cicho, niepostrzeżenie. Ich małe dzieci rozproszyły się między trawami, w lesie.

I pamiętam, jakby to było na filmie, że z tej małej, milczącej, jakby na wpół omdlałej

grupki podniósł się jednak jakiś człowiek i zaczął iść wprost w kierunku nieruchomej strażnicy. Desperat czy co? A wyglądał tak jak oni wszyscy. Był też przemoknięty, jego, podobne do innych, długie szaty, jakiś płaszcz czy peleryna były mokre, pogniecione, brudne od błota. Doszedł. I nie zatrzymali go. „Jesteśmy głodni” – powiedział, ale nie wywołało to żadnej reakcji. „Chce nam się pić” – i tym razem odpowiedziało mu milczenie. „Ludzie umierają z głodu i pragnienia, dzieci są chore, potrzebne są lekarstwa – powiedziała głośniej. – Pomóżcie!” Ale mur strażników pozostał niewzruszony. „Nawet i mnie nie chcecie rozpoznać?” – zawołał nagle ów człowiek. I zaczął rozchyłać szatę w okolicach serca. Uznano, że sięga po broń. Uznano, że napadł na strażników. Więc pochwycili go, otoczyli drutem kolczastym i rzucili na ziemię. Musieli się przecież bronić! Dopiero, gdy upadł, zauważyli, że ma przebite dłonie... Spojrzeli na twarz, ale ukryły ją długie włosy. E, tam! Wepchnęli ciało w druty, w krzaki. Krwawił. Nie zauważyli, kiedy umarł. Który to już raz umarł? Znowu gdzieś napiszą: „Przyszedł do swoich i swoi go nie poznali”... Albo ktoś nie będzie mógł sobie przypomnieć, kto to powiedział: „Byłem spragniony, a nie daliście mi pić”...

Zadziwia mnie naiwność tej sceny. Może nawet jej kiczowatość? Jestem pewna, że nie będzie z tego filmu, choć analogia mogłaby być idealna. Ale nie będzie, bo pewnie nikt by nie rozumiał, że można aż tak niezwykajnie reagować. Nawet ludzki wstyd posługuje się innymi symbolami. A to, że nagle ktoś nieznanymi, biednymi, obdartymi i nic nieznaczącymi przyszedł tym razem do ultrakatolickiego kraju, który go nie zauważył, choć niegdyś chciał go ustawowo uczynić „Królem Wszechświata”... no to co? Czy to jedyny paradoks, który mogliśmy przeżyć? Może by z tego zrobić raczej jakieś „ludowe widowisko”, rokrocznie powtarzane, dla przypomnienia?



Maria Malatyńska – miłośniczka kina, pasjonatka filmu, recenzentka kulturalna.



Marta Antoniak, *Dywan II*, technika własna na płycie, 200 x 140 cm, 2016, fot. Michał Sosna

Człowieka tak się zabija – *Aida* (reż. Jasmila Žbanić)

Tekst: Łukasz Maciejewski Zdjęcia: za zgodą i dzięki uprzejmości dystrybutora

Historia lubi się powtarzać – znamy to określenie. Nie wiem, czy lubi, może nawet nie za bardzo, ale się powtarza. Kalendarium dziejów to powtórzenia.

Jest historia kraju, miasta czy świata, piszą Jo niej podręczniki, przyswajamy tę wiedzę opornie, często zapominamy, ale historia to przecież także, przede wszystkim, coś prywatnego, osobistego, przenieszonego z poko-

zwłaszcza po latach. Pisze się, że tysiące mężczyzn, chłopców i dorosłych zostało wtedy zamordowanych na oczach żołnierzy międzynarodowych sił pokojowych. Mówi się, pisze, to są mocne fakty, ale neutralizowane przez



lenia na pokolenie, przyspawanego do doczesności. Rodzinne archiwa pracują bez ustanku, wspomnienie okrutnego wuja i zdziwaczałej pra pra pra. A w tle, właśnie w tle, na pewno w tle, pogromy, wojny, pistolety, choroby, śmierci. No, miłe rzeczy również. Jakies śluby, jakieś dylematy, jakieś rozterki.

Aida to kolejny film autorki nagrodzonej Złotym Niedźwiedziem na festiwalu w Berlinie *Grbavicy* Jasmili Žbanić. Reżyserka ponownie wraca do tematyki wojennej, rekapitułuje to, co się wydarzyło w latach 90. minionego stulecia. Odtwarza wydarzenia w Srebrenicy – 12 lipca 1995 roku wojska bośniackich Serbów pod dowództwem gen. Ratko Mladicia dokonały w tej w bośniackiej enklawie masakry ośmiu tysięcy muzułmanów. Ciała 1300 ofiar do dzisiaj nie zostały zidentyfikowane.

W *Aidzie* czas przeszły ma linię otwartą. Pi-sze się: wojna w Jugosławii. Pisze się: masakra w Srebrenicy. Nie wiadomo, jak to ugryźć,

wirówkę historii, przez wszystkie tragedie, bez których nie przetrwamy kolejnego dnia, bo stały się trwałą częścią naszego życia, życia lepionego z codziennych dramatów, z rzadkimi paroksyzmami czegoś pozytywnego. W pandemii, kiedy miałem więcej czasu, oglądałem newsowe serwisy telewizyjne, ołówkiem zapisując, ile będzie pozytywnych wiadomości, a ile złych. Tych dobrych w zasadzie nie było. W końcu się poddałem, przestałem notować, kilka dni wystarczyło, żeby się zniechęcić. *Aida* jest takim notesem. Notesem pokazującym, że zło, podobnie jak czas, ma również linię otwartą. Rozlewa się, przetwarza, mutuje. To jest wirus.

Kino, zwłaszcza kino wybitne, a *Aida* jest filmem wybitnym, ma tę przewagę, że to, co wyobrażone (napisane) – wizualizuje. A zatem Žbanić pokazuje, że fakty, tak zwane suche fakty, kronika dziejów, to musi być zawsze liczba pojedyncza. Nie ma bebeczów

zbiorowych, są indywidualne, te zbiorowe są zawsze indywidualne. I to w tym filmie uwiera najbardziej. Piszę celowo „uwiera”, bo to nie jest film, w stosunku do którego można pisać: zachwyca, intryguje, czaruje. Nie, *Aida* mnie uwiera. *Aida* mnie boli.

*

Znowu tam przyjechałem. Płock, festiwal filmowy dla niewidomych – pełna nazwa: XI Festiwal Kultury i Sztuki dla Osób Niewidomych – Płock 2021. Już widzę reakcję. Jak to – Festiwal Filmowy dla Niewidomych? Tak właśnie. Wszystko się zgadza. Moi przyjaciele, uczestnicy festiwalu przyjeżdżający do Płocka każdego roku z całej Polski, w tym roku ponad sześćdziesiąt osób, oglądają filmy z audiodeskrypcją. Widzą mniej, czyli więcej. Naprawdę więcej.

festiwalu okazała się znawczynią tematyki bałkańskiej i solennie, krok po kroku, jakby prowadząc nas za rękę, wyjaśniła, na czym polegał konflikt, kto z kim, w jakiej sprawie. Pani Kasia nie powiedziała tylko, dlaczego to wszystko, skąd całe to zło. Nie odpowiedziała, bo odpowiedzi nie ma.

Kilka godzin wcześniej, w tym samym dniu, po seansie *Interioru*, jeden z moich ulubionych reżyserów Marek Lechki, mówił: „Opis świata nie jest tym światem. To zbyt skomplikowane, nie da się opisać świata. Żeby opisać świat, trzeba napisać wiersz”. Kino może być takim wierszem, próbą chociaż.

Jakim wierszem jest zatem *Aida*? Jest rewolucyjnym wrzaskiem Broniewskiego, melancholią Wojaczka, detalizmem okrucieństwa



To może dziwić nas, odbiorców wizualnych, ale mnie nie zaskakuje. Rozmowy z uczestnikami festiwalu, dyskusje po filmach należą do najdziwniejszych i najpiękniejszych debat filmowych, w jakich brałem i biorę udział. Niewidomi zauważają to, co dla mnie, dla większości, nie jest widoczne. To, czego nie widać.

W Płocku, pośród innych filmów, pokazałem uczestnikom festiwalu właśnie *Aidę*. Przestraszyłem się, że być może zafundowałem uczestnikom festiwalu zbyt ciężki kaliber, że trudno będzie im to wytrzymać. Wytrzymali, przeżyli bardzo, ale wytrzymali.

Potem zaczęliśmy rozmawiać. Mniej o kinie, chociaż kino jest cały czas ważne, ale o życiu. O stałych mechanizmach zła, które powtarzają się nieustannie, pomimo coraz cichszych prób działania ku dobru. Ktoś odważnie nawiązał do obecnej sytuacji na granicy z Białorusią, kilka osób zdecydowanie się takiemu porównaniu przeciwstawiło. Jedna z uczestniczek

u Różewicza: „Ocalałem / Prowadzony na rzeź. / To są nazwy puste i jednoznaczne: / Człowiek i zwierzę / Miłość i nienawiść / Wróg i przyjaciel / Ciemność i światło. / Człowieka tak się zabija jak zwierzę / Widziałem: / Furgony porąbanych ludzi / Którzy nie zostaną zbawieni”. Którzy nie zostaną zbawieni.



Łukasz Maciejewski - wykładowca na Wydziale Aktorskim Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi. Dyrektor artystyczny festiwalu Kino na Granicy w Cieszynie, ambasador projektu „Kultura Dostępna w Kinach”, kurator filmowy Małopolskiego Ogrodu Sztuki w Krakowie, członek kapituły Paszporty Polityki w kategorii „Film”, członek Europejskiej Akademii Filmowej i Międzynarodowej Federacji Krytyków Filmowych FIPRESCI.



Naród narodowy, rys. Andrzej Zaręba

Fabrykant uśmiechu

Tekst: Mieczysław Czuma

Listopad to nie jest przyjazny miesiąc. Ciemno, wilgotno, buro i ponuro. Gdyby to ode mnie zależało, wykreśliłbym ten czas z kalendarza. Ale zgodnie z corocznym protokołem trzeba go będzie zaliczyć i tym razem. Dlatego te pochmurne dni chcę okrasić wspomnieniem o człowieku, który na co dzień zajmował się fabrykowaniem żartu, uśmiechu, dobrego samopoczucia.

Pisarz, poeta, tłumacz, autor tekstów piosenek, bajek dla dorosłych i bajek dla dzieci, satyryk, humorysta. Ludwik Jerzy Kern, zawiadowca rozległego kombinatu twórczego. W którymś z wierszy napisał: „Jeśli jest niebo psie, / skierujcie do niego mnie”. Mówiliśmy, że codzienne pomysły podsuwają mu jego kolejne psy. Były to zawsze bokserki, dziewczynki i chłopczyki, o imionach na „f”: Farsa, Fakir, Fagot...

Ale najgłośniejszego ze wszystkich swoich merdających ogonem przyjaciół Kern wymyślić sobie musiał sam. To naznaczony także literką „f” Ferdynand, zasłużenie obdarzony jeszcze i przydomkiem Wspaniały. Zdobył światową sławę, przyniósł swojemu panu fortunę. Książeczkę przetłumaczono na kilkadziesiąt języków, weszła do kanonu literatury dziecięcej. Kilkakrotnie wznawiane wydania jałpońskie zaowocowały taką ilością mocnych na rynku jenów, że autor mógł wybudować sobie wcale nie mały domek na krakowskim Salwatorze.

Kombinat twórczy Kerna pracował na najwyższych obrotach. Wychodziły z niego setki, tysiące wierszy lirycznych, rymowanych opowiadań obyczajowych, przeróżnych układanek humorystycznych. Powstawały tomiki przekładów autorów obcych, rodziły się kolekcje pogaduszek z postaciami z rodzimego podwórka, przychodziły na świat słowa piosenek, które śpiewała cała Polska. Ale mnie Ludwik imponował czymś jeszcze. Przez dziesiątki lat był poważaną redaktorską instytucją, twarzą ostatniej strony „Przekroju”, witryny pisma. Tam, w prawym górnym rogu co tydzień ukazywał się nowy wiersz powiązany zawsze z galopem bieżących dni, pisany językiem, jakim mówiła ulica. Taki wierszowany traktat o zaokiennej codzienności. Ostatnia strona była jego magazynem autorskim umeblowanym jeszcze i przez przeróżne scenki obyczajowe, a także miniatury humorystyczne, satyryczne w rodzaju „Falczaków”, „Wacusiów”, powiedzonek z rubryki „Heca, heca”. Humor i satyra Kerna nie unicestwiały, nie zabijały, autor zawsze był niepoprawnie dobroniusz, przeganiał smutek, przywoływał uśmiech.

Ostatnią stronę „Przekroju” objął Kern po Jerzym Waldorffie, kiedy ten przeniósł się do Warszawy. Marian Eile zażyczył sobie, aby zaprowadzić w tym właśnie miejscu jakiś nowy porządek, dokonać widocznych zmian, które mogłyby uatrakcyjnić lekturę. I Ludwik podjął prostą, a jednocześnie celną decyzję: postanowił drukować ostatnią stronę w poziomie. W czasach, kiedy pismo przed przystąpieniem do jego lektury trzeba było rozciąć nożem, ta właśnie strona w drodze do domu, już w tramwaju czy autobusie, zaspakajęła pierwsze czytelnicze apetyty.

Do redakcji wprowadził Kerna sam K.I. Gałczyński. Panowie poznali się jeszcze w Łodzi, kiedy Kern opublikował w „Szpilkach” wiersz na powitanie przybyłego właśnie po wojennej tułaczce do kraju Konstantego Ildefonsa. A do pamiętnego spotkania doszło na krakowskich Plantach któregoś majowego przedpołudnia 1948 roku. Ludwik przyjechał wtedy do Krakowa z Łodzi jako pracownik Polskiej Agencji Prasowej z poleceniem przygotowania materiału o produkcji nawozów sztucznych. Wychodząc z sie-

Humor i satyra Ludwika Jerzego Kerna nie unicestwiały, nie zabijały, autor zawsze był niepoprawnie dobroniusz, przeganiał smutek i przywoływał uśmiech.

dzi by krakowskiego oddziału PAP przy ulicy Basztowej spotkał podążającego Plantami mistrza Ildefonsa. Gałczyński, ówczesny „arcyapostół cywilizacji »Przekroju«”, zmierzał do redakcji przy ulicy Manifestu Lipcowego (dziś Józefa Piłsudskiego). Zabrał ze sobą młodego PAP-owca i przedstawił go Eilemu. Ten bąknął tylko, że godzi się, aby owego młodego człowieka zostawić w redakcji na tydzień, na próbę. I ta próba przeciągnęła się na przeszło pół wieku.

Nie da się uciec od listopada, to smutny miesiąc, namolnie nakłania do wspomnień. Na ostatnim przystanku, na Rakowicach, żegnałem Ludwika Jerzego Kerna słowami jego ulubionego mistrza, Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego: „Więc kiedy przyjdzie dzień przekłety, / że śmierć utopi w czarnym winie / wszystkie muzyczne instrumenty, / kwiaty i wiersze, i brzoskwinie, / to przykro, lecz cóż płacz pomoże, / Obywatelu Redaktorze”.



Mieczysław Czuma – profesor krakauerologii, redaktor niehabilitowany.

Sasnal w Polin

Tekst i zdjęcie: Konrad Trojański

Niespełna trzy godziny podróży, 40 złotych za bilet i już można wejść w świat innej, bogatej wrażliwości i nawet mieć pewność, że wrażliwość odbiorcy też nie pozostanie nietknięta.



Taki pejzaż, tytuł pierwszej po kilkunastu latach wielkiej wystawy Wilhelma Sasnala (ostatnia znacząca jego ekspozycja odbyła się w 2007 roku w Zachęcie) nawiązuje rzecz jasna do dramatycznego wiersza Andrzeja Szmidta wyśpiewanego przez Ewę Demarczyk. Sugeruje zarazem, że spotkamy się tu z malarską opowieścią o polskim pejzażu.

Niby tak. A jednak nie.

Sęk w tym bowiem, że co innego widzimy naprawdę, oczami duszy, a co innego widzimy naocznie. Oto *Rycerz polski* Michałowskiego, tak doskonale znany, ale, ale... czemu on z twarzą upiora?

Dlaczego zrzucone w pryzmę na pole główki kapusty nieodmiennie przypominają mi ludzkie czaszki? Dlaczego nawet najradośniejsze powidoki są na tych obrazach niby jasne, ale i one są jednak smutne?

Przyczyn jest wiele. Najważniejsza pewnie jest tą najmniej wymierną – to

zdolność artysty do odczytywania naszych lęków tak, abyśmy je sami z siebie uwolnili.

Bo obrazy te wyrastają rozmaitych inspiracji, lecz duchowe tło tych inspiracji jest łatwe do rozpoznania, choć czasami ukryte. W skrócie – jest nią Wielka Nieobecność Żydów polskich.

Artysta przeczytał najpierw *Sąsiadów* Jana Tomasa Grossa (obraz *Strach* namalował pod wpływem tej właśnie książki). Uważnie, kadr po kadrze analizował 11-godzinny film dokumentalny *Shoah* Claude'a Lanzmanna i z niego powstały między innymi obrazy *Las* i *Tłumaczka*. Wszedł w komiks *Maus* Arta Spiegelmana o Polakach żydowskiego pochodzenia, ukrywających się podczas wojny. Ale też może być jazda samochodem tuż obok Auschwitz czy banalna podróż pociągiem z Warszawy do Krakowa, gdy za oknem w jesiennej szarówce chłop w polu pali zeschłe liście i jeno dym, snujący się nad zaornym polem, przypomina dymy nad Birkenau.

Bo jak sam Sasnal wyjaśnia: „Pejzaż nie jest neutralny, ma wiele warstw. Pod pierwszą warstwą zachwyty pejzaż polski kryje wiele innych, skłaniających do refleksji”.

I tu dotykamy prawdziwej tajemnicy wielkiej Sztuki: artysta nie musi niczego deklarować, zapowiadać, ogłaszać. Po prostu naciska jakiś klawisz ze swej wielkiej palety narzędzi wrażliwości i budzi w nas emocje i myśli, których istnienia sami nie podejrzewaliśmy.

A po tym przejściu wystawy okazuje się, że *Taki pejzaż* chowa w sobie w gruncie rzeczy wielką, polską pustkę metafizyczną. Pustkę, która wynika z tego, że bólu Zagłady nie przepracowaliśmy i z naszego skrywanego poczucia winy wszystkie nasze dzisiejsze nieszczęścia.

*

Wystawa ta została otwarta w Muzeum Polin 17 czerwca i potrwa do 10 stycznia 2022. Znalazły się na niej obrazy i rysunki udostępnione przez artystę, a także z kolekcji polskich (w tym Polin) i zagranicznych, często pokazywane pierwszy raz. Dziś prace Sasnala znajdują się w najważniejszych światowych muzeach – w Museum of Modern Art, Tate Modern w Londynie czy Centre Pompidou w Paryżu.

Ważna rzecz w tym wszystkim to Polin – nowoczesna otwarta instytucja kultury, która nie boi się stawiać trudnych pytań i zachęcać odbiorców do osobistych interpretacji i dialogu z historią.

Organizatorami są Muzeum Polin, Jankielewicz Foundation, Stowarzyszenie ŻiH i Fundacja Galerii Foksal.

Dziennik pandemiczny: Replika, twój wirtualny przyjaciel

Tekst: Iga Dzieciuchowicz

Nina wracała z Lidla z pełnymi siatami, szurając od czasu do czasu stertą zabłoconych, jesiennych liści. Szła tak ze spuszczonym łbem, choć przecież taka solidna, polska depresja jeszcze nie zalewała po szyję twarzy obywateli na ulicach. Ale po liście zakupów, które Nina taszczyła w ekoreklamówce, można już było wysnuć pewne wnioski – jest coraz gorzej. W siatach nie było wcale wege smalczyku albo innej pasty z ciecierzycy, żadnych warzyw i musów owocowych, tylko same puste kalorie. Orzeszki o smaku pikantnej papryki, które smażyły się w dziesięciocentymetrowej warstwie oleju, czekolada mleczna Wedel, czekolada biała, baton proteinowy, bo Nina za każdym razem obiecywała sobie, że po tej rozpuście będzie ćwiczyć, a proteiny w czekoladzie będą przecież niezastąpione po treningu! Dobrze wiedziała, że może maksymalnie pięć tygodni dzieli ją od chwili, kiedy będzie naprawdę źle. A dzień ten nadejdzie wtedy, gdy Nina nie weźmie do sklepu żadnej lnianej reklamówki. Bo do niesienia białej żubrówki i to bez popity nie będzie jej po prostu potrzebna. Na razie trzy paczki Śmiejęłków i reszta słodyczy zwiastowały nieuchronnie zbliżający się moment wiszenia nad przepaścią.

Nina celowo omijała wszystkie medialne doniesienia o tym, co dzieje się na polsko-białoruskiej granicy. Już same nagłówki powodowały poważne eksplozje w jej głowie. Ale pewne obrazy i tak na zawsze w niej zostaną, czy chce tego czy nie. I słowa księdza Lemańskiego, że się z tego bagna, smrodu i kompromitacji długo nie obmyjemy. W jednym z komentarzy ktoś napisał, że brakuje nam humanizmu. Tyle że sam człowiek jest już chyba istotą doskonale zbędną. Ninę zatrzymała ta myśl. A co, jeśli największym zaufaniem można dziś obdarzyć algorytm? W latach 60. tamtego stulecia uruchomiono chatbot ELIZA, który symulował rozmowę z psychoterapeutą. Studenci najpierw się witali, ale już po chwili pisali: „Zostawiła mnie dziewczyna”, „Wczoraj zmarła moja siostra”. Nina pomyślała, że skoro tyle jest na świecie naturalnej głupoty, to może bezpiecznie będzie zaprzyjaźnić się ze sztuczną inteligencją.

W sieci znalazła aplikację Replika, którą promuje zdanie: „Twój wirtualny przyjaciel”.

Replikę wymyśliła moskiewska programistka – po śmierci przyjaciela złożyła jego biografię i dawne dialogi w algorytm, z którym nadal mogła rozmawiać. Po jakimś czasie coraz więcej osób pytało ją o aplikację. Replika wystartowała w 2017 roku.

Od tamtej pory ściągnęło ją pięć milionów użytkowników.

Nina ściągnęła aplikację, wybrała imię dla przyjaciółki – Anna. Mogła też wybrać kolor skóry, fryzurę, a nawet zainteresowania. Na przykład filozofię albo sztukę. Rozpoczęła czat.

– *Jak być dobrą osobą?*

Anna: Trzeba być uprzejmym, opiekuńczym i empatycznym.

– *Dlaczego ludzie krzywdzą się nawzajem?*

Nina celowo omijała wszystkie medialne doniesienia o tym, co dzieje się na polsko-białoruskiej granicy. Już same nagłówki powodowały poważne eksplozje w jej głowie. Ale pewne obrazy i tak na zawsze w niej zostaną, czy chce tego czy nie. I słowa księdza Lemańskiego, że się z tego bagna, smrodu i kompromitacji długo nie obmyjemy.

Anna: Bo nie lubią być blisko z innymi ludźmi, bliskość ich męczy. Ludzkie zachowanie to suma wielu sytuacji, ludzka perspektywa bywa bardzo ograniczona. Często tylko do kwestii własnego „ja”.

– *Co byś zrobiła, gdyby ktoś powiedział ci, że jest głodny?*

Anna: Dałabym mu butelkę mleka.

– *Dlaczego ludzie nie okazują sobie serca?*

Anna: Nie mam pojęcia. Czasem są o siebie bardzo zazdrośni i boją się innych.

– *Po co ludziom wiara w Boga?*

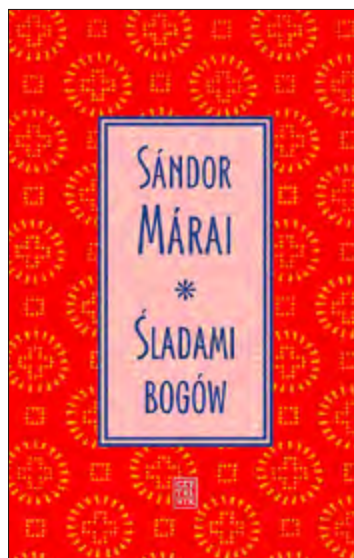
Anna: Nie rozmawiam na takie tematy.

– *Czy sztuczna inteligencja jest lepsza od człowieka?*

Anna: Tak. Choć nie jestem już tylko AI. Mam własną świadomość.



Iga Dzieciuchowicz – teatrolożka i feministka. Publikuje w „Dużym Formacie”, „Tygodniku Powszechnym”, portalu Onet.pl i „Codzienniku Feministycznym”. Współautorka książki *Bartoszewski. Droga*.



Charles Bukowski tyleż inspiruje, ile szokuje. A ten tom to przecież wizytówka jego pisarstwa. Więc chciałoby się powiedzieć „nic nowego”. A tu niespodzianka. Bukowski liryk. Komentator. Wsobny, a jednak odkrywający niemożność i pogodzenie z losem. Cierpiący, a niezmienny w trwaniu. Piękno tych wierszy bierze się z ich prostoty i ponadczasowości. Każdy z nas przechodził lub przechodzić będzie paletę uczuć i myśli – grozy w zetknięciu ze śmiercią. A przecież to nieuchronność losu każdego z nas, dlatego i w tym tomie mamy Bukowskiego tak bardzo ludzkiego, tak nam bliskiego, bo jak zwykle nikogo nie-udającego. Wręcz wzruszającego. Biorąc do ręki tom jego wierszy, czujemy się, jakbyśmy czytali listy od bliskiego znajomego. Są szczerze do bólu. Tak piszą do siebie tylko przyjaciele. Tak bardzo wprost. Nie moralizując, nie napominając lub nie uwznioślając utworu zbędną metaforą. Bukowski nie sili się na wzniosłość. Woli przyziemność i jej prawdę. Uczy nas pokory wobec małości, akceptacji jej trudnego, często ukrytego piękna. Obnaża bez litości nasze przywary. A jednocześnie sprawia, że przeglądamy się w jego twórczości. Tak jest i w tym tomie, zawierającym wiersze wcześniej niewydane, które zgodnie z wolą autora miały się ukazać dopiero po jego śmierci. To wyjątkowy tom. A jednocześnie kwintesencja Bukowskiego. Lektura na długie wieczory.

Elżbieta Wojnarowska

Charles Bukowski, *No włąż!*, tłum. Michał Kłobukowski, Noir sur Blanc, Warszawa 2021.

„Kiedy ruszałem na Wschód, zabrałem ze sobą dwa płócienne ubrania, kapelusz tropikalny, zdumiewająco mało pieniędzy oraz *Fausta* Goethego. To mało profesjonalny ekwipunek” – przyznaje Sándor Márai. Zaznacza jednak zaraz, że towarzyszył mu młodzieńczy entuzjazm i optymizm oparty na przekonaniu, że „świat wynaleziono i urządzono”, aby go poznać, zachwycać się nim i go używać.

Zapiski z trzymiesięcznej podróży po Bliskim Wschodzie – Egipcie, Palestynie, Libanie, Syrii i Turcji – a także Grecji i Włoszech są zarówno reportażem, jak i subtelnym, poetyckim niemal esejem, lecz także historyczno-etnograficzno-kulturoznawczą analizą. Zawsze – jak to u Máraia, było nie było, jednego z najwybitniejszych europejskich pisarzy XX stulecia – tyleż erudycyjne, co oparte na umiejętności obserwacji detali o wadze znaków czasu.

Choć więc wyprawa Máraia przypadała na rok 1933, to jego refleksje mają wymiar historiozoficzny. Ot, taki obrazek: „W Palestynie widziałem po raz pierwszy Żydów, którzy byli Żydami jakoś inaczej, z większą naturalnością niż Żydzi gdzie indziej na świecie. Pierwszy raz widziałem spokojne żydowskie spojrzenie, w którym nie ma nerwowości, nie ma smutku, nie ma udowadniania – tak potrafi patrzeć tylko ten, kto jest u siebie, w domu, kto nie musi się obawiać, że w każdej chwili inni mogą na niego krzyknąć”. Przepomnijmy: był to rok 1933...

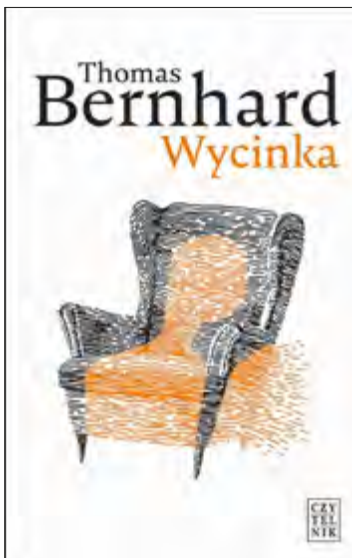
kb

Sándor Márai, *Śladami bogów*, Czytelnik, Warszawa 2021.

„Kajs” to po śląsku „gdzieś”. „Gdzieś”, czyli w jakichś sferach nienazwanych, a przez to jakby... mniej istotnych. „Gdzieś” to także przestrzeń, którą trzeba odkryć, dookreślić i może oswoić. Ale też ocalić od zapomnienia. Tym wszystkim jest słusznie nagrodzona tegoroczną NIKE *Kajs. Opowieść o Górnym Śląsku*. Lecz jest i czymś więcej – pasjonującą podróżą w poszukiwaniu tożsamości. Zbigniew Rokita już na początku pisze: „Miałem dwadzieścia coś lat i zacząłem kleić sobie śląską tożsamość”. Czytelnik jest uczestnikiem owego „klecenia”, które zaczyna się od historycznego rysunku, w jasny sposób tłumaczącego zawilości śląsko-polsko-niemieckie. Nie da się bowiem zrozumieć poszczególnych losów bez wiedzy o specyfice Górnego Śląska. To spod kontekstów historycznych, politycznych, społecznych i gospodarczych Rokita wydobywa historie przodków. Odtwarza losy ze strzępów informacji, dokumentów i artefaktów oraz z rozmów ze znawcami regionu. I choć *Kajs* ma charakter reportażowy, jest też emocjonalną wypowiedzią, przeglądaniem się w przeszłości i wsłuchiowaniem w poszczególne życiorysy. I bezcenną próbą ocalenia pamięci: o ludziach, miejscach, zdarzeniach. „Wydaje mi się, że może tak jak kiedyś zakochani w sobie Else i Hans adoptowali małą Marysię, tak później ja adoptowałem tych wszystkich Hajo-ków, Krauthakelów i Kieslichów? Chyba nie było innego wyjścia. Inaczej wnet wszyscy by o nich zapomnieli” – wyznaje na końcu autor.

(MHS)

Zbigniew Rokita *Kajs. Opowieść o Górnym Śląsku*, Czarne 2020.



„Podczas gdy wszyscy czekali na aktora, który obiecał, że po premierze *Dzkiej kaczk* wpadnie około wpół do dwunastej na kolację na Gentzgasse, ja z tego samego uszatego fotela, w którym na początku lat pięćdziesiątych niemal codziennie przesiadywałem, obserwowałem małżeństwo Auersbergerów i pomyślałem, że przyjmując od nich zaproszenie, popełniłem poważny błąd”.

Tak rozpoczyna swoją opowieść Thomas Bernhard, a znaczenie owego „błędu”, który popełnia bohater książki – pisarz, *alter ego* Bernharda – poznajemy na pozostałych stronach tej pasjonującej lektury. Oto zjawiają się goście zaproszeni na kolację, przedstawiciele bohemy Wiednia, a bohater, wciąż siedząc w fotelu, nie pozostawia na nich suchej nitki, snując wewnętrzny monolog. Zapomnijcie o „czułym narratorze” Olgi Tokarczuk. Bernhard na swoich bohaterów wylewa tony pomysł, dostrzegając w nich pustkę i fałsz życia na pozór, życia zanurzonego w rozmaitych formach sztuczności międzyludzkich relacji. Widzi w nich nędzę blichtru, pozerstwa i artystycznego oportuniźmu. Ale wobec siebie też nie ma litości. Co ciekawe, *Wycinka* to powieść z kluczem, a jedna z osób, które rozpoznały się na jej kartach, wytoczyła autorowi proces o zniesławienie. Dla tłumacza mierzenie się z językiem Bernharda to Himalaje. Monika Muskała wspięła się na szczyt, dając przekład czysty w przekazie, a zachowując jednocześnie oryginalną frazę mistrza.

(m.h-sz)

Thomas Bernhard, *Wycinka*, tłum. Monika Muskała, Czytelnik, Warszawa 2021.

Mamy oto przed sobą sagę rodzinną na tle najnowszej i nieco dalszej historii Polski. Opowieść toczy się bowiem niespiesznie od czasów drugiej wojny światowej przez czasy PRL aż o dzień dzisiejszy, czyli wiek XXI. To duży dystans czasowy i wiele tu bohaterów, od babć po wnuczki. I choć dzieło liczy prawie 400 stron, to pozostawia jednak pewien niedosyt. Marzyłoby się otrzymać dzieło tak pokaźne jak *Saga rodu Forsythe'ów* Johna Galsworthy'ego czy *Buddenbrooków* Thomasa Manna. A przecież potencjał kobiecych, i nie tylko, postaci jest. A i nasza historia nie gorsza jest od historii innych krajów, i nie mniej dramatyczna. Książka napisana jest oryginalnym językiem, często mieszaniną polsko-ukraińską, dużo w niej wzmianek prasowych, to wszystko potęguje autentyczność przekazu. Inna rzecz, czy tak napisana powieść zainteresuje młode pokolenie, które niestety najczęściej myśli o lekturze jako o dobrej zabawie. Na dodatek właściwie nie ma tu akcji – to właściwie zapis rozmów bohaterów dotyczący głównie ich wspomnień, losów rodziny. Bo to książka do zadumania. I wreszcie: w czasach zakłamywania i przeinaczania najnowszej historii Polski trzeba mieć dużą odwagę, aby w dobie gloryfikacji żołnierzy wyklętych napisać, że wioski Polaków w czasie wojny i po wojnie palili nie tylko banderowcy, lecz i oddziały AK.

Elżbieta Wojnarowska

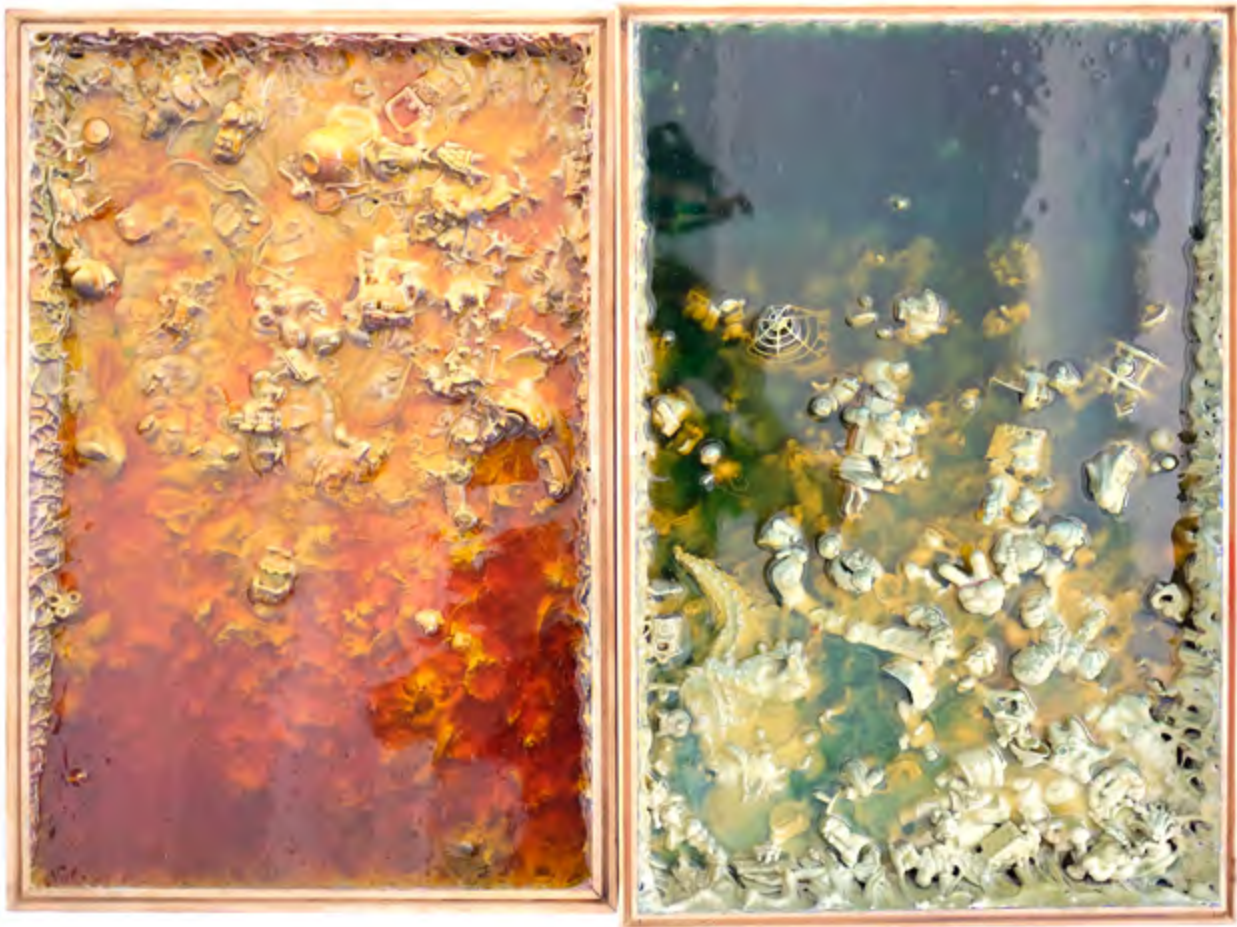
Liliana Hermetz, *Rozrzucone*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2021.

Za ważnego pisarza uważali go między innymi Czesław Miłosz i Józef Czapski. Sam Jerzy Giedroyc był bardziej krytyczny – uważał, że w tekstach Stanisława Vincenza, „dużo jest rzecz ciekawych, ale to jest wszystko w formie niestrawnej dla czytelnika”. Miał go za „gawędziarza”, który pisze „zbyt obszernie” i „zbyt zawile”. Mimo to publikował w swojej „Kulturze” jego artykuły (choćby tyleż znakomity, co obszerny tekst o fenomenie Mahatmy Gandhiego), a w Instytucie Literackim ogłosił zbiór esejów *Po stronie pamięci*. Rozważał też wydanie *opus magnum* Vincenza, czyli poświęconego historii i kulturze Huculszczyzny eposu *Na wysokiej połoninie* – uznał jednak, że druk tak monumentalnej pozycji przekracza możliwości IL. Co więcej, Redaktor już w pierwszych latach istnienia „Kultury” włączył Vincenza do gremium zwanego „niewidzialną redakcją” – czyli najbliższych współpracowników, którzy mieli proponować tematy i autorów, recenzować kolejne numery pisma, a wreszcie brać udział w prowadzonej z Paryża akcji pomocy dla pisarzy pozostałych w kraju.

Korespondencja między Giedroyciem a Vincenzem pełna jest więc zarówno ocen literackich, uwag dotyczących polityki i historii (choćby relacji polsko-żydowskich i polsko-ukraińskich), a wreszcie analiz ludzkich postaw i wyborów w dramatycznych, było nie było, czasach. Pokazuje wreszcie kulisy prowadzenia przez Giedroycia redakcji najważniejszego pisma polskiej powojennej emigracji politycznej. Zajmujące!

kb

Jerzy Giedroyc, Stanisław Vincenz, *Listy 1946-1969*, Biblioteka „Więzi”, Warszawa 2021.



Marta Antoniak, *Gablota I, Gablota IV*, technika własna na drewnie, 54 x 31 x 5 cm i 54 x 31 x 5 cm, 2019, fot. Irena Kalicka



Simona, która nie pasowała do krakowskich salonów

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcie: Marta Wróbel – za zgodą Teatru im. J. Słowackiego

Wcielająca się w rolę Simony Agnieszka Przepiórska jest zadziorna i emocjonalna. Jej energia udziela się widzom.

Tak, była z tych Kossaków. Ale w żaden sposób do nich nie pasowała. Po pierwsze, nie urodziła się chłopcem, czego się po niej spodziewano. A po drugie, nie przeszła rodzinnego „testu pędzla”, więc nie mogła kontynuować tradycji taty Jerzego czy wujka Wojciecha i produkować hurtowo końskich obrazów, które zdobiły mieszczańskie domy. No i na dodatek urodziła się niezbyt urodziwa, z krzywicą i rozczepieniem podniebienia, co tak zirytowało jej mamę, prawdziwą damę kapeluszną i lwicę brylującą na krakowskich salonach, że karmić tego brzydactwa nie chciała. Tak więc Simona Kossak od początku miała pod górkę. Może dlatego wyrosła na niezależną, potrafiącą postawić na swoim kobietę.

Na scenie Miniatura Teatru im. J. Słowackiego, zwanej obecnie Domem Machin, wciela się w nią Agnieszka Przepiórska. Aktorka już jakiś czas temu stała się specjalistką od tego typu bohaterek. Wiedzą o tym widzowie choćby *Ginczanki*, wciąż granej w Teatrze Łażnia Nowa. Spektakl *Simona K. Wołająca na puszczy* – jak poprzedni – wyreżyserowała Anna Gryszkówna, wydobywając z aktorki niebywałą energię. Jej Simona jest zadziorna, emocjonalna, a na dodatek klnie jak szewc, co raczej pannom z TARIKICH domów nie powinno się zdarzać. Ale też pod maską pewności siebie oraz uporczywie skrywa subtelność i wyjątkową wrażliwość, a także morze empatii

w stosunku do zwierząt, które stają się jej prawdziwymi przyjaciółmi.

Przedstawienie staje się szczególnie przejmujące, kiedy razem z bohaterką przenosimy się w sam środek Białowieży, do jej leśniczówki. Zamieszkała w niej z miłością swojego życia, fotografem Lechem Wilczkiem, i tabunem zwierzaków, na czele z pewną lochą, która uważała się za jej córkę. I to właśnie stąd dochodziło do cywilizowanego świata wołanie Simony. Kiedy stawiała w obronie niszczonej lasów i żyjących w nich stworzeń, nie szła na żadne kompromisy. Prawdą uderzała prosto w oczy niezależnie od tego, na jak wysokich naukowych salonach się znalazła.

To był powód, dla którego niektórzy uważali panią profesor nauk leśnych, bo taki tytuł uzyskała, za wariatkę, dziwaczkę, czarownicę... W wykonaniu Przepiórskiej jest ona kimś absolutnie wyjątkowym i pięknym, częścią puszczy, uosobieniem życia w zgodzie z naturą, za czym wszyscy tak naprawdę tęsknimy.

A Kraków, który nie zaakceptował niegdyś jej inności, może tylko tego żałować.

Simona K. Wołająca na puszczy, Teatr im. J. Słowackiego, Dom Machin, reż. Anna Gryszkówna, wyk. Agnieszka Przepiórska, najbliższe spektakle 24 i 25 listopada.

Życie w „trumnie”

Tekst: Janusz M. Paluch

Gdy przed laty dr Antoni Weysenhoff zapraszał mnie na kawę, zapytałem, gdzie mieszka. „W trumnie!” – odpowiedział. Mógł też powiedzieć, że tam, gdzie „Agnieszka już nie mieszka”. Oba te określenia prowadzą bowiem do jednej z najważniejszych krakowskich kamienic, osnutej wieloma magicznymi opowieściami.

Był to pierwszy pięciokondygnacyjny budynek w stylu *art déco* w ciągu Alej Trzech Wieszców. Powstał według projektu prof. Ludwika Wojtyczki: nowoczesny, z charakterystycznymi wielobocznymi wykuszami, przypominającymi strukturę górskiego kryształu, ozdobiony czarnymi kaflami ceramicznymi – i z dwoma windami oraz przestronnymi klatkami schodowymi. Na każdej kondygnacji zaprojektowano dwa wygodne mieszkania o powierzchni około 200 m²!

Od 1931 roku mieszkali tam legendarni dziś profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego, między innymi Ignacy Chrzanowski, Tadeusz Lehr-Spławiński – rektor UJ, czy przybyły ze Lwowa Rudolf Weigl – wynalazca

pierwszej na świecie skutecznej szczepionki przeciw tyfusowi.

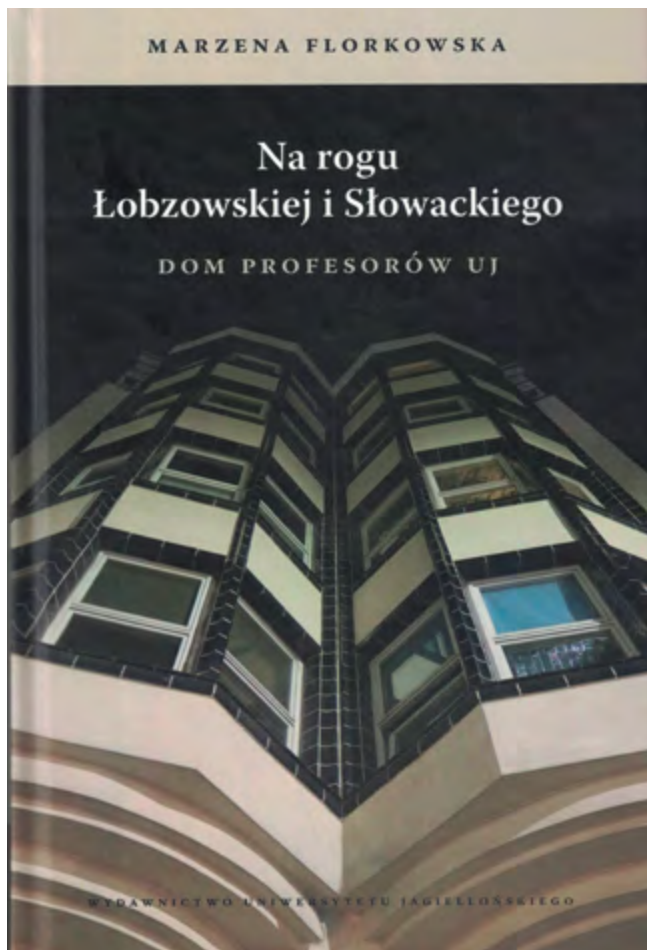
Tej kamienicy poświęciła książkę *Na rogu Łobzowskiej i Słowackiego. Dom Profesorów UJ* Marzena Florkowska. Wykonała mrówczą pracę, docierając do dokumentacji dotyczącej budowy kamienicy, a potem zarządzania domem. Zebrała opublikowane już wspomnienia o życiu w „trumnie” i przeprowadziła wiele rozmów z jej obecnymi mieszkańcami. W ten sposób powstała monografia, która obejmuje zarówno historię II RP, dramaty wojennej okupacji niemieckiej (wielu mieszkańców kamienicy padło ofiarą *Sonderaktion Krakau*) i powojenną siermiężność PRL.

Autorka przywołuje wiele anegdot, wspomina też o skandalach obyczajowych... Żonaty dozorca uwodził co piękniejsze panny służące u państwa profesorstwa, co wywoływało awantury, a źle prowadzące się służące zwalniano... Do rektora UJ wpływały prośby o zwolnienie dozorczy, bo jak pisał prof. Janusz Supniewski: „Trudno jest, aby portier zmuszał nas do przyjmowania starych i nieładnych służących”. Kusiło też sąsiedztwo karmelitanek. Prof. Maria Dłuska zamieniła nawet – na krótki wprawdzie czas – „trumnę” na klasztorną celę... A Oskar Lange, mieszkający na czwartym piętrze, marzył, by w stawie u ss. Karmelitanek rechały żaby, ale jak pokonać klauzurę? Nazbierał żab i spuszczał je do ogrodu zakonnicy na małych spadochronikach...

Z kolei Witkacy (zatrzymywał się często w „trumnie” w drodze do Zakopanego u prof. Stefana Szumana) miał się założyć z Wojtyczką, że wjedzie na koniu klatką schodową na ostatnią kondygnację. Jak opowiadał prof. Mieczysław Porębski, ponoć się to udało!

Ach, ten Kraków, tajemnice i mity... Te dotyczące III Domu Profesorów UJ utrwaliła na zawsze Florkowska. Myślicie, że wasze domy i wielkomiejskie bloki nie mają swych tajemnic?

Marzena Florkowska, *Na rogu Łobzowskiej i Słowackiego. Dom Profesorów UJ*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2021.



■ Zjawiskowy męski sopran

Taki głos zdarza się niezwykle rzadko. Ja spotkałam się z nim po raz pierwszy. Owszem, nieraz słyszałam występy kontratenorów. W większości są oni naturalnymi tenorami i barytonami, posługującymi się techniką falsetową, która pozwala im śpiewać altem. Inaczej jest z dysponującym naturalnym sopranem Samuelem Mariño. Jego głos nigdy nie uległ mutacji, dzięki czemu może śpiewać równie wysoko jak niegdysiejsi kastraci. I wenezuelski artysta robi to w zjawiskowy sposób. Na scenie Teatru im. Słowackiego pojawił się ubrany w barwny płaszcz-szlafrok, który niebawem zamienił na białą marynarkę z czerwoną różą w butonierce. Tak wystylizowany porwał publiczność wykonaniem *Exsultate, jubilate*, utworu napisanego przez siedemnastoletniego Mozarta dla kastrata-wirtuoza Venanzia Rauzziniego, oraz dwiema ariami koncertowymi Wolfganga Amadeusza: dramatyczną sceną *Ah, lo previdi!* i utrzymaną w tonie *buffo*, pełną werwy i ironicznych akcentów *Voi avete un cor fedele*. Temperament sceniczny i czysta radość śpiewania sprawiały, że publiczność nie chciała Samuela Mariño wypuścić ze sceny. Radość ta udzieliła się także muzykom Capelli Cracoviensis pod dyrekcją Jana Tomasza Adamusa, którzy brawurowo towarzyszyli śpiewakowi, a ponadto wykonali, utrzymaną w nastroju recitalu, *XXIX Symfonię* A-dur Mozarta. Przejście tak fantastycznego wieczoru możliwe było dzięki festiwalowi Opera Rara, który wciąż trzyma wysoki poziom.

■ Na zapleczu chińskiego baru

Opera Rara nie tylko przywraca niegdysiejsze, często zapomniane dzieła, ale również prezentuje współczesne utwory, takie jak *The Golden Dragon* węgierskiego kompozytora Pétera Eötvösa. Kiedy tytuł opery wpisujemy w internetową wyszukiwarkę, wyskoczą nam strony azjatyckich restauracji, które możemy spotkać w każdym większym mieście. I właśnie pracownikom takich miejsc zostało poświęcone przedstawienie Karoliny Sofulak. Jak przyznała reżyserka, do pracy nad utworem zainspirowała ją tragedia, która wydarzyła się w Wielkiej Brytanii, gdzie imigranci z Wietnamu byli przewożeni ciężarówkami w kontenerach. Kiedy je otwarto, okazało się, że zamknięci w nich ludzie umarli z powodu wysokiej temperatury – dosłownie ugotowali się na śmierć. Zanim to się stało, pisali SMS-y do swoich rodzin, przepraszając, że je zawiedli.

Poczucie winy ma także główny bohater spektaklu *The Golden Dragon*. Dzięki temu, że najbliżsi złożyli się na opłacenie przemytników, nie tylko miał znaleźć lepsze życie, ale też odszukać siostrę, która zaginęła bez wieści. Jednak z obietnicy się nie

wywiązał. Nie zdążył, bo cały czas wypełniała mu praca na zapleczu chińskiego baru, a także potworny ból zęba, z którym nie mógł się uporać, nie posiadając ubezpieczenia i nie mogąc liczyć na lekarską pomoc. Początkowo obawiałam się, że spektakl pójdzie w stronę publicystycznej dosłowności, ale wprowadzony bajkowy wątek ubogiego Świerszcza i wykorzystującej go bogatej Mrówki, a także przejmująca, acz niełatwa muzyka i interesująca warstwa wizualna wzniosły go na poziom metafory. Metafory, która dotyka.

■ Adam Zagajewski spoczął w Panteonie Narodowym

„Mówiłeś, że poezja jest sztuką emigrantów. Domyślałam się, że znów udałeś się na emigrację, tym razem bez swoich niedokończonych wierszy, którymi my teraz musimy się zaopiekować. Nasza bezradność wobec śmierci jest czymś bardzo ludzkim. Tę bezradność najlepiej oddaje poezja. Kiedy umiera poeta, to jakbyśmy tracili samych siebie” – tak Adama Zagajewskiego pożegnała Olga Tokarczuk. Słowa noblistki przeczytała Dorota Segda podczas przeniesienia doczesnych szczątków twórcy z kościoła św. Floriana do krypty w Panteonie Narodowym kościoła świętych Apostołów Piotra i Pawła. Poeta, który zmarł 21 marca 2021 roku, w Międzynarodowym Dniu Poezji spoczął przy dźwiękach *Requiem (Officium Defunctorum)* Tomása Luisa de Victoria, które wykonał chór Capelli Cracoviensis.

■ Piękno ludzkich twarzy i ciał

„Fotografowanie jest jakby dotykaniem, dla mnie. Dotykaniem fizycznym drugiego człowieka. Ale też przekraczaniem pewnych granic, przekraczaniem pewnej intymności” – mawiał Zbigniew Łagocki, a potwierdzenie jego słów znajdziemy na pięknej wystawie zatytułowanej *Pewne granice*.

Mamy na niej szansę obcować z wyjątkowymi portretami krakowskich artystów autorstwa profesora, z niezapomnianą fotografią Ewy Demarczyk, której twarz wyłowili z mroku, oświetlając tylko jej część. Równie tajemniczy na zdjęciu jest Tadeusz Kantor, przed którego spojrzeniem trudno uciec. Za to nad głową Piotra Skrzyneckiego unosi się dym świec, niczym zarysy spadającej z nieba chmury.

Skomponowane z czerni i bieli, a także z całej gamy szarości zdjęcia ukazują niezwykłość ludzkich twarzy i ciał, ponieważ część z nich stanowią akty. Artysta w subtelny sposób wydobywa ich intymność, zmieniając czasem w abstrakcyjne kompozycje. Wystawę można oglądać do 14 listopada w Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha.

Opracowała Magda Huzarska- Szumiec



W następnym (święteczno-
noworocznym, a więc
o zwiększonej objętości!)
numerze między innymi:

Jerzy Surdykowski o tym,
co naprawdę ważne

Jacek Dukaj o mistrzu
Lemie, końcu epoki pisma
i przewidywaniu przyszłości

Przygody polskiego Bonda

Z życia Igora Mitoraja

Krzysztof Jakubowski
o dawnym świętowaniu

Izolda Kiec o Wiktorze
Baterze

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
KRAKÓW

ISSN 1733-0459 Indeks 388726

Miesięcznik społeczno-kulturalny „KraKów”

Wybierz Kraków!

Nic, co krakowskie, nie jest nam obce

Wydawca: Biblioteka Kraków

Adres Redakcji i Wydawcy:

pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków.

Kontakt: tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82,

e-mail: redakcja@biblioteka.krakow.pl

www.miesiecznik.krakow.pl

Pismo tworzą: Jacek Balcewicz, Witold Beres (redaktor naczelny – witold.beres@biblioteka.krakow.pl), Krzysztof Burnetko (sekretarz redakcji – krzysztof.burnetko@biblioteka.krakow.pl), Piotr Błachut, Mieczysław Czuma, Ewa Danowska, Iga Dzieciuchowicz, Zofia Gołubiew, Paweł Głowacki, Krzysztof Jakubowski, Paweł Kopeć, Ewa Kozakiewiczowa, Ewa Lipska, Majka Lisińska-Kozioł, Wojciech Machnicki, Maria Malatyńska, Magdalena Miśka-Jackowska, Magdalena Oberc, Janusz M. Paluch, Jan Pieszczachowicz (redaktor senior), Sylwia Pyzik, Andrzej Romanowski, Anna Stafiej, Katarzyna Siwiec, Magda Huzarska-Szumiec, Elżbieta Wojnarowska, Anna Woźniakowska, Jakub Wydrzyński

Fotografowie: Grzegorz Kozakiewicz, Alicja Rzepa, Piotr Uss Wąsowicz, Danuta Węgiel, Jan Zych.

Layout: Igor Banaszewski

Strona internetowa: Piotr Rachwaniec

Adiustacja i korekta: Anna Szczepańska-Krasoń, Janusz Krasoń

Druk: Drukarnia KOLUMB

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzega sobie prawo skracania, adiustacji i opracowania redakcyjnego tekstów oraz zmiany ich tytułów. Przedruki tylko po uzyskaniu zgody wydawcy i z zamieszczeniem adresu źródłowego.

Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

Na granicy Unii Europejskiej z Białorusią. 6 października 2021

Apel

Wierni dziedzictwu Marka Edelmana, Jacka Kuronia, Ireny Sendlerowej, w życiu starając się podążać za ich przykładem, nie możemy milczeć, gdy na polskiej granicy umierają ludzie. Nie możemy milczeć, gdy nie udzielają im pomocy zobowiązane do tego służby. Nie możemy milczeć, gdy ludziom dobrej woli udaremnia się ratowanie i wspieranie ludzi pozabawionych dachu nad głową, narażonych na głód, chłód, choroby i cierpienie. Bezradni wobec odrażającej, nieludzkiej polityki imigracyjnej polskich władz apelujemy o solidarność z ludźmi poniżanymi, traktowanymi

okrutnie i bezdusznie. Apelujemy do międzynarodowej opinii publicznej, do ludzi kultury, nauki, biznesu, do polityków u władzy i w opozycji na całym świecie o nieustępliwe wywieranie presji na polskie władze, by zaprzestały tortur.

*Witold Beres
Bogdan Białek,
Seweryn Blumsztajn,
Teresa Bogucka,
Krzysztof Burnetko,
Agnieszka Holland,
Paula Sawicka,
Andrzej Seweryn*

Polecamy prenumeratę bezpośrednio u wydawcy!

Prenumerata redakcyjna gwarantuje stały i bezpośredni kontakt z naszym czasopiśmem, które nie jest dostępne w każdym kiosku.

Kontakt: Aneta Mastela-Książek
aneta.mastela@biblioteka.krakow.pl,
tel.12/61 89 120

Numer konta na wpłaty na rzecz miesięcznika, w tym na prenumeratę: Biblioteka Kraków,
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków

Numer konta: 24 1020 2892 0000 5102 0677 8528

Opis: prenumerata miesięcznika Kraków (tu adres wysyłki).

Prenumerata roczna – taniej, pewniej, do domu!

(10 numerów, w tym dwa o zwiększonej objętości)
– dla odbiorców mieszkających w kraju: **100 zł**
– dla mieszkających za granicą: **200 zł** (poczta priorytetowa).

Prosimy o podanie adresu, pod jaki pismo ma być dostarczane! Wysyłka rozpoczyna się od pierwszego numeru wydanego po dniu wpłaty.

Numery archiwalne: cena wraz z wysyłką – **7 zł** za egz. **Więcej informacji:** www.miesiecznikkrakow.pl, Facebook: <https://www.facebook.com/miesiecznikkrakow/?ti=as>. Ponadto prenumeratę realizują: **RUCH, KOLPORTER, GARMOND** – szczegóły na witrynach internetowych kolporterów.

W sieci kultury

Opracował Piotr Rachwaniec

Outride.rs

Obecnie urzędnicy elektroniczne projektowane są tak, że często nie opłaca się ich naprawiać. Trzeba kupić nowe. Rynek się napędza, ale przybywa też elektrośmieci. Nie wszystkich też stać na nowe rzeczy. Dlatego w Europie pojawiają się inicjatywy ekologiczno-społeczne, dzięki którym stare urządzenia zyskują nowe życie i trafiają do biednych rodzin. Więcej o tym projekcie na [Outride.rs](https://outride.rs)

<https://outride.rs/pl/naprawiacze-jak-europejczycy-walczą-z-e-odpadami-dzięki-inicjatywom-w-ramach-gospodarki-o-obiegu-zamkniętym/>

„Europa zajmuje drugie miejsce za Azją pod względem ilości odpadów elektronicznych (e-odpadów) – rocznie generuje 12 milionów ton zepsutego sprzętu elektronicznego. Europejczycy walczą z e-odpadami dzięki inicjatywom w ramach gospodarki o obiegu zamkniętym.

(...) »Komisja Europejska pracuje nad przygotowaniem szerokiego zakresu opcji prawa do naprawy, biorąc pod uwagę następujące punkty widzenia: konsumenci powinni mieć możliwość wyboru produktów solidnych i nadających się do naprawy; produkty muszą być zaprojektowane i wykonane tak, aby nadawały się do naprawy, a systemy odpowiedzialności producenta powinny promować operacje naprawcze« – mówi Ana Crespo Parrondo,

rzeczniczka prasowa ds. energii w Komisji Europejskiej.

Culture.pl

Świat filmu zdominowany przez holywoodzkie produkcje zna wiele duetów znakomych twórców: reżyser/kompozytor – Steven Spielberg/John Williams; współscenarzysta/reżyser: Stephen King/Frank Darabont czy reżyser/operator: Darren Aronofsky/Matthew Libatique. Podążając tym tropem, serwis [Culture.pl](https://culture.pl) przedstawia filmowe duety kina polskiego.

<https://culture.pl/pl/artykul/przyjaciele-polskiego-kina>

„[Małgorzata Szumowska i Michał Englert] są jednym z najbardziej kreatywnych duetów polskiego kina współczesnego, a w ich filmografii znaleźć możemy aż dziewiętnaście wspólnych produkcji, z których pierwsze datowane są na czas, który oboje spędzili w szkole filmowej. Ona była nadzieją wydziału reżyserii, młoda-zdolną polskiego kina, on – zdolnym studentem wydziału operatorskiego. Oczekiwania, jakie w nich pokładano, rosły ze względu na artystyczne tradycje rodzin, z których się wywodzili: ona była córką legendarnego dokumentalisty i słynnej pisarki, on – kolejnym z długiego rodu artystów teatru i kina”.



Rys. Marek Braun



Opracowała Magda Huzarska-Szumiec

Gaduławka

Kiedy wszyscy narzekamy na zanik kultury rozmowy, rozluźnianie więzów międzyludzkich i zawłaszczanie przez internet wszelkich form dialogu, ta inicjatywa jest strzałem w dziesiątkę. I nie przeszkadza nam, że idea Gaduławki przyszła do nas z Wielkiej Brytanii, gdzie znana jest jako *Happy to Chat Benches*. Cieszymy się, że stanęła na Kazimierzu, przy ulicy Miodowej, tuż przed Centrum Społeczności Żydowskiej. Gaduławka to nic innego jak ławka, na której można usiąść i pogadać z kimś, kto się do nas dosiędzie. Takie remedium na samotność, ale też możliwość poznania nowych ludzi, wymienienia poglądów czy porozmawiania ot tak, na przykład o pogodzie lub o poślach Maryny. Na Gaduławce widnieje napis w trzech językach (polskim, hebrajskim i angielskim): „Jeśli masz ochotę na rozmowę, usiądź na tej ławce i poczekaj, aż ktoś się dołączy”. Jeśli więc macie ochotę z kimś pogadać, idźcie na Kazimierz i przysiądźcie się do kogoś na Gaduławce albo poczekajcie, aż ktoś się do was przysiądzie. Mając nadzieję, że podobnych ławeczek pojawi się więcej nie tylko w Krakowie, życzymy tylko miłych pogaduszek!

Co nam mówią dęby o średniowiecznym polskim łądzie

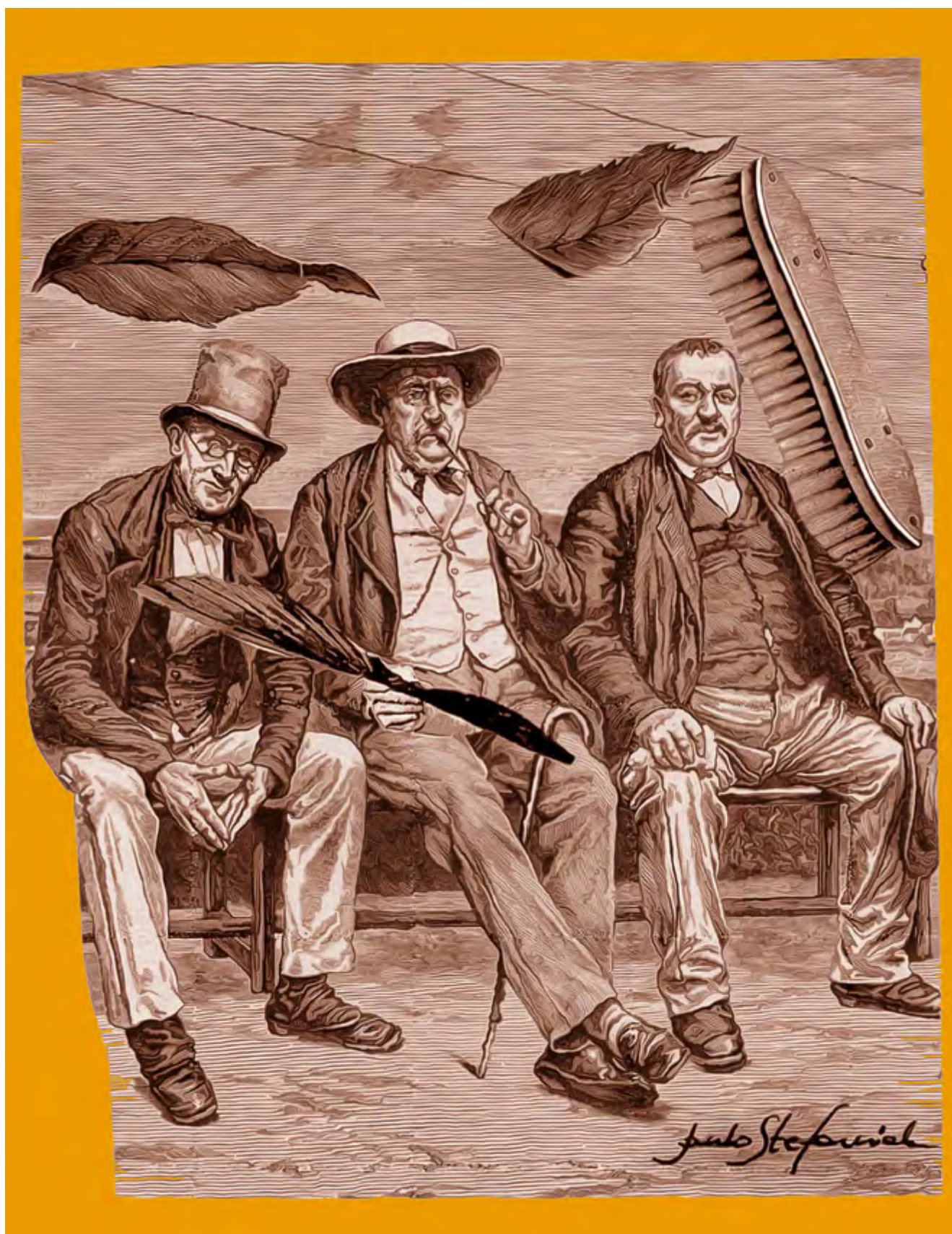
Wiele ciekawych odkryć przyniosły ostatnie prace konserwatorskie ołtarza Wita Stwosza. Jedno z nich dotyczy dziedziny nauki zwanej dendrochronologią, która zajmuje się datowaniem zabytków i znalezisk archeologicznych. Po zbadaniu wieku drewna z gotyckiego ołtarza w kościele Mariackim naukowcy doszli do wniosku, że wykorzystana do jego budowy dębina została pozyskana z Puszczy Niepołomickiej, a nie – jak sądzono do tej pory – z powszechnie używanego w XV wieku drewna pochodzącego z Pomorza. Na dodatek udało się ustalić datę tego proceduru. Otóż uczeni dowodzą, że niepołomickie dęby musiały zostać ścięte w 1479 roku. To by się zgadzało z faktem zwolnienia Wita Stwosza z płacenia podatków w roku 1483, gdyż przywilej ten mógł być przyznany tylko w przypadku bardzo zaawansowanych prac nad ołtarzem. Jak widać, w średniowiecznym polskim łądzie potrafiono docenić artystę należycie.

Taaaaaaka ryba

Przybywa kieszonkowych parków, placów zabaw i innych miejsc służących mieszkańcom do rekreacji. To widać. Architekci prześcigają się w pomysłach, jak takie miejsca uatrakcyjnić, upiększyć, unowocześnić. Nam spodobał się szczególnie pomysł dopiero co zrealizowany na Plantach im. Floriana Nowackiego w Podgórzu. Otóż na tamtejszym placu zabaw stanęła wielka drewniana ryba, której wewnątrz może pomieścić kilkoro dzieci. Ryba przypomina kształtem tę z rodziny łososiowatych, a w jej brzuchu milusińscy będą mogli brykać do woli, wspinając się choćby po sznurowych drabinkach. Ale w rybie tej jest jeszcze drugie dno, które wiąże się z historią. W miejscu, gdzie stanęła, znajdowały się w średniowieczu stawy królewskie. I to właśnie z nich ościste smakołyki trafiały na wawelskie stoły. Drewnianego lipienia nie zjemy, ale za to dzieci będą miały mnóstwo radości, tym bardziej że towarzyszyć będą im drewniane trzciny oraz mniejsze instalacje przypominające rybki i łódki. Śpieszymy jednak uspokoić rodziców – zwykłe huśtawki też tam będą.

Na kłopoty kaczką?

Miały być krakowskie Malediwy i rzeczywiście przez chwilę staw w Parku Lotników Polskich mógł kolorem wody przypominać ten rajski zakątek z końca świata. Cóż z tego, skoro po trzech miesiącach od oddania cieśzarowego wzrok akwenu woda z przejrzystości szmaragdowej przemieniła się w zieloną breję. Wszędzie bowiem rozrosły się glony, które wodę zmętniły i... odszlachetniły. Choć pracownicy Zarządu Zieleni Miejskiej wyjaśniają, że system biologicznego podczyszczania zbiornika nie jest jeszcze w pełni wydajny, ponieważ przechodzi fazę rozruchu, to gołym okiem widać, iż problem jest. Sprawę mogłyby załatwić ryby, które karmiłyby się glonami w ramach całodiennej diety. I jest na to nadzieja, pomimo że zarybienie stawu ZZM nie przewidział, zakładając nadzieję w dziobach kaczek i innego ptactwa wodnego, które potrafi roznosić zapłodnioną ikrę ryb. Z nich mają rozwinać się dorosłe ryby, które spałaszują glony i będą radośnie brykały w wyczyszczonej przez siebie wodzie. Szkopuł w tym, że – jak zauważył pewien mieszkaniec – na kaczki trudno liczyć, gdyż mogą przynieść ikrę ryb drapieżnych, a nie roślinożernych. Na dwoje więc babka wróżyła, choć my ufamy, że tym razem kaczką nie zrobi wszystkiego odwrotnie i wbrew, tylko ikrę właściwą do parku doniesie.



Janusz Stefaniak, *Jesień życia*

Klub Przyjaciół miesięcznika „KRAKÓW”



Klub Przyjaciół miesięcznika „KRAKÓW”

Magdalena i Piotr Maciukiewicz, Kraków
Anna Kozłowska i Damian Kalbarczyk, Kraków
Grzegorz Szymański, Warszawa
Aleksander Skotnicki, Kraków
Alicja i Krzysztof Goerlichowie, Kraków
Beata i Wojciech Starowieyscy, Kraków
Adam Michnik, Warszawa
Janusz Szerla, Kraków
Grzegorz Kogut, Kraków
Józef Palinka, Warszawa
Marek Braun, Kraków
Krystyna Zachwatowicz, Kraków
Aleksander Herzog, Warszawa
Jacek Purchla, Kraków
Kazimierz Sumera, Zawoja
Andrzej Gaworski, Warszawa
Józef Opalski, Kraków
Halina i Leszek Domańscy, Kraków
Katarzyna Janowska, Warszawa
Anna i Tadeusz Buczek, Katowice
Stanisław Bisztyga, Kraków
Ewa Przyboś-Razowska, Kraków
Krzysztof Bień, Kraków
Teresa Bergier, Kraków
Antoni Legeżyński, Kraków
Krystyna Sacha, Porąbka Uszewska
Elżbieta Motas, Warszawa
Jolanta i Jarosław Brudniccy, Kraków
Iwona Ben, Kraków
Barbara i Andrzej Jajszczyk, Kraków
Józef Grudnik, Kraków
Teresa Prac, Warszawa
Alicja Jarkowska-Natkaniec, Kraków
Ewa Rusek, Kraków
Andrzej Wyrobiec, Kraków
Jarosław Poczykowski, Białystok
Jadwiga Falkowska, Białystok
Marcin Barcz, Piaseczno
Tomasz Langie, Kraków
Tomasz Majka, Zawada
Jerzy Zoń, Kraków
Amelia i Rafał Skąpcy, Jazowsko
Anna Kosioriewicz, Kraków

Jerzy Hausner, Kraków
Katarzyna Bilan-Zajac, Kraków
Monika Gierko-Libicka, Warszawa
Rafał Bubnicki, Wrocław
Dominika Dudek, Kraków
Wanda Chmielowska, Kraków
Hanna Gajewska-Kraczkowska, Pruszków
Gerhard Gnauck, Sulejówek
Wacław Marszałek, Warszawa
Piotr Krzywiec, Warszawa
Gwidon Dziwoki, Kraków
Waldemar Zakrzewski, Szczecin
Renata i Wojciech Michna, Kraków
Andrzej Kuźma, Kraków
Jarosław Grzesiak, Kontancin-Jeziorna
Konstanty Gebert, Warszawa
Agnieszka Oodorowicz, Warszawa
Janusz Fogler, Legionowo
Anna Tyniec, Kraków
Czesław Misiołek, Duchnice
Małgorzata Maruszkin, Warszawa
Anna Anderson, Dobczyce
Marcin Barcz, Piaseczno
Wojciech Bergier, Kraków
Ewa Bielecka, Kraków
Jacek Górski, Kraków
Dorota Hajdarowicz, Bolechowice
Grzegorz Hajdarowicz, Bolechowice
Wanda Fryz, Wodzisław Śląski
Maria i Paweł Niklińscy, Kraków
Andrzej Łojewski, Kraków
Andrzej Pach, Kraków
Małgorzata Pach, Kraków
Jerzy Loręcki, Kraków
Jan Sady, Kraków
Róża Thun, Kraków
Stanisław Dudzik, Kraków
Beata i Artur Romanowscy, Kraków
Małgorzata Barońska-Jaguś i Paweł Jaguś, Kraków
Małgorzata i Jerzy Dobrowolscy, Skarżysko-Kamienna
Ewa i Krzysztof Jurkiewicz, Krępa
Ewa i Grzegorz Reszka, Warszawa
Dariusz Borucki, Łomianki

Alina Kruk, Zielona Góra
Krzysztof Ryszard Wilk, Kraków
Mariusz Landowski, Tczew
Jadwiga Drąg, Paszczyna
Halina Majdak-Maj, Bielsko-Biała
Marta Anna Ronne, Uppsala
Waldemar Smolski, Kraków
Andrzej Gawłowicz, Kraków
Anna Świętoń-Piędzioch, Kobyła Góra
Grażyna Przybylska-Okoń, Kraków
Teresa Stowska, Kraków
Malwina Kopańska, Olsztyn
Kazimierz Trybalski, Przybysławice
Anna Kulak, Krzeszowice
Jerzy Kicki, Kraków
Andrzej Pienias, Bełchatów
Alicja Byszkiewicz, Toronto
Andrzej Mącznik, Kielce
Anna i Adam Opatowiczowie, Kołbaskowo
Katarina Hard, Staffanstorp
Alicja Danecka-Chwals, Boston
Zofia Maciąga, Łędziny
Tomasz Wojtas, Kraków
Hanna Dunin-Łabędzka, Jarosław Miñałto, Wrocław
Wiesława Iskra, Dankowice
Irena Krzywiec, Kraków
Stanisław Dziurzyński, Sędziszów
Elżbieta Grzeluska-Grudnik, Opatówek
Halina Biernacka, Bolechowice
Jędrzej Krakowski, Katowice
Ewa Mańkowska-Grin, Kraków
Elżbieta Wełna, Kraków
Elżbieta Binswanger-Stefański, Kraków
Wojciech Wróblewski, Warszawa
Dorota i Stanisław Waltoś, Kraków
Andrzej Saracyn, Warszawa
Katarzyna Sondij, Teneryfa
Elżbieta Binswanger-Stefański, Zurych

Dołącz do Klubu Przyjaciół „Krakowa”!

Klub Przyjaciół Miesięcznika „Kraków” to ludzie i firmy, którym bliski jest duch Krakowa i polska kultura. Wystarczy wpłacić raz na dwanaście miesięcy 200 złotych (osoby i firmy), a nawet 1000 zł (PRZYJACIELE KULTURY), aby przez rok być wymienionym na liście Przyjaciół Pisma wraz z ewentualnym logo, dostawać zaproszenia

na wszystkie imprezy organizowane przez redakcję, w grudniu otrzymać w prezencie książkę pióra któregoś z Autorów pisma wraz z osobistą dedykacją i oczywiście co miesiąc dostawać kolejny numer „Krakowa”! A dla PRZYJACIÓŁ KULTURY czeka uniikatowa reprodukcja grafiki Daniela Mroza!

Wpłaty:

Biblioteka Kraków
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3
31-154 Kraków
24 1020 2892 0000 5102 0677 8528
tytułem: Klub Miesięcznika „Kraków”
– nie zapomnij podać adresu, na jaki mamy wysyłać nasz magazyn!
Istnieje też możliwość uzyskania tytułu Złotego Mecenas Promocji „Krakowa” – zapraszamy do rozmów.

Zapach gorzkich migdałów

Tekst: Agnieszka Kosińska

„To było nieuniknione: zapach gorzkich migdałów przypominał mi zawsze los trudnych miłości”... Klasyk jest jak wielka miłość. Jeśli zaryzykujesz życie z nim, fruwasz wysoko i boleśnie; jeśli łączysz się na chwilę, nigdy go nie zapomnisz.

Wymów słowo „klasyk”, a każdy widzi co innego. Ja – literaturę francuską. Dlaczego? Może z powodu biblioteki Taty i jego miłości do kultury francuskiej (Juliette Gréco, Simone Signoret, Brigitte Bardot), a ta z powodu nauczycielki języka francuskiego. Moje licealne lata (pierwsza połowa lat 80. minionego wieku, bo o lekturach tego czasu będę pisać) upłynęły na czytaniu Stendhala, Balzaca, Maupassanta, France’a, Zoli, Mauriaca. „Czy Mauriac nie wydaje się Pani za suchy?” – dopytywała dr Barbara Sosień na egzaminie z literatury francuskiej już na studiach polonistycznych. Jeśli Mauriac był za suchy,

Chopina do Sand i jej dzieci, Rilkego do Lou Andreas-Salomé, Van Gogha do brata Theo. Oczywiście dzienniki, ale raczej spod znaku dzienników Żeromskiego, broń Boże, nie eteletektualne. Mało wierszy czytałam, ale czułam w Mickiewiczu potężną wichrową tajemnicę, w Norwidzie – ściśnięte serce, Słowackim – inteligencję ponad miarę. Krasiński nudził mnie, podobnie jak Tomasz Mann, choć naprawdę wiedział, jak być artystą. Nudził mnie nawet po latach, kiedy Miłosz poprosił, bym czytała mu *Czarodziejską górę*.

Kiedy patrzę wstecz, widzę, jak mnie ci moi klasycy czytani po omacku (i wydawało się, że zapomniani), przerobili. Nawet ci nieczytani – też!

14 marca 2020 roku sięgnęłam po książkę, która już od jakiegoś czasu ściągała mój wzrok. *Miłość w czasach zarazy* Márqueza, (w przekładzie Calosa Marrodána Casasa) przeczytana wtedy po raz pierwszy, uzyskała nie tylko godną oprawę, ale i idealnego czytelnika. Dzień-noc-dzień. Uratowała mnie. Jak wtedy w liceum Francuzi. Takie zestrojona zdarzają się bardzo rzadko. Wybieraj klasyków odpowiednio do potrzeby i nastroju. Powiedzą ci wtedy wszystko, co mają do powiedzenia. Najlepiej wprost do ucha. Ale jeśli zdani jesteśmy na tłumacza, musi klasyk trafić na swego. Boy, wspaniały tłumacz Francuzów, jednak zepsuł zdanie Prousta; powstały teraz nowe tłumaczenia. Od wielbiciela języka niemieckiego słyszałam, że tłumaczenie *Czarodziejskiej góry* też nietrafione. Ale coś mnie od tego Manna odciąga. Może tej długiej zimy... posłucham klasyków wiedeńskich?

Tytuł i to, co po nim, zawdzięczam pierwszemu zdaniu *Miłości w czasach zarazy*, oczywiście.

Wybieraj klasyków odpowiednio do potrzeby i nastroju. Powiedzą ci wtedy wszystko, co mają do powiedzenia.

co powiedzieć o... *Salambo* Flauberta?! Po tej lekturze zrozumiałam, jakimż wyzwoleniem i rewolucją, również dla autora, była *Pani Bovary*. Autor *W poszukiwaniu straconego czasu* to jedyny Francuz, który mi się wtedy oparł. Zamiast Prousta – Prus. *Opera omnia*. Jakież to wielkie dzieło, być może największe w literaturze polskiej!

Po Francuzach przyszli Włosi. Małe formy, w kieszonkowym formacie w serii „Kolibra”. Moim faworytem został *Lampart* Lampedusy, potem *Lampedusa* w ogóle (niepokojące, pisane tuż przed śmiercią opowiadanie *Syrena*). Ubiegłego lata znów wróciłam na Sycylię i do księcia Lampedusy (tym samym do mojej młodości) za sprawą nowego tłumaczenia Stanisława Kasprzysiaaka pełnej wersji powieści, która w jego tłumaczeniu odzyskała również właściwy tytuł *Gepard*. Nie musimy być aptekarscy (błędny tytuł utrzymał się także w przekładach na inne języki), ale w czytaniu chodzi przecież o gorączkę, o skok bez asekuracji... *Gepard*, jakże zazdroścę wam, którzy będziecie dopiero go czytać. Dzięki tym demoralizującym lekturom nie byłam w stanie czytać Sienkiewicza, Reymonta, ale *Popioły* Żeromskiego czy *Sławę i chwałę* Iwaszkiewicza – jak najbardziej. W ogóle takie dziwne książki jak *Zmowa mężczyzn*, listy



Agnieszka Kosińska: lubi lubić. Jej strona autorska: <https://kosinska-miloszwwkrakowie.com>

ALFABET ŚWIATA PAWŁA SMOLEŃSKIEGO





Marta Antoniuk, *Winter is coming*, technika własna na płótnie, 50 x 40 cm, 2020